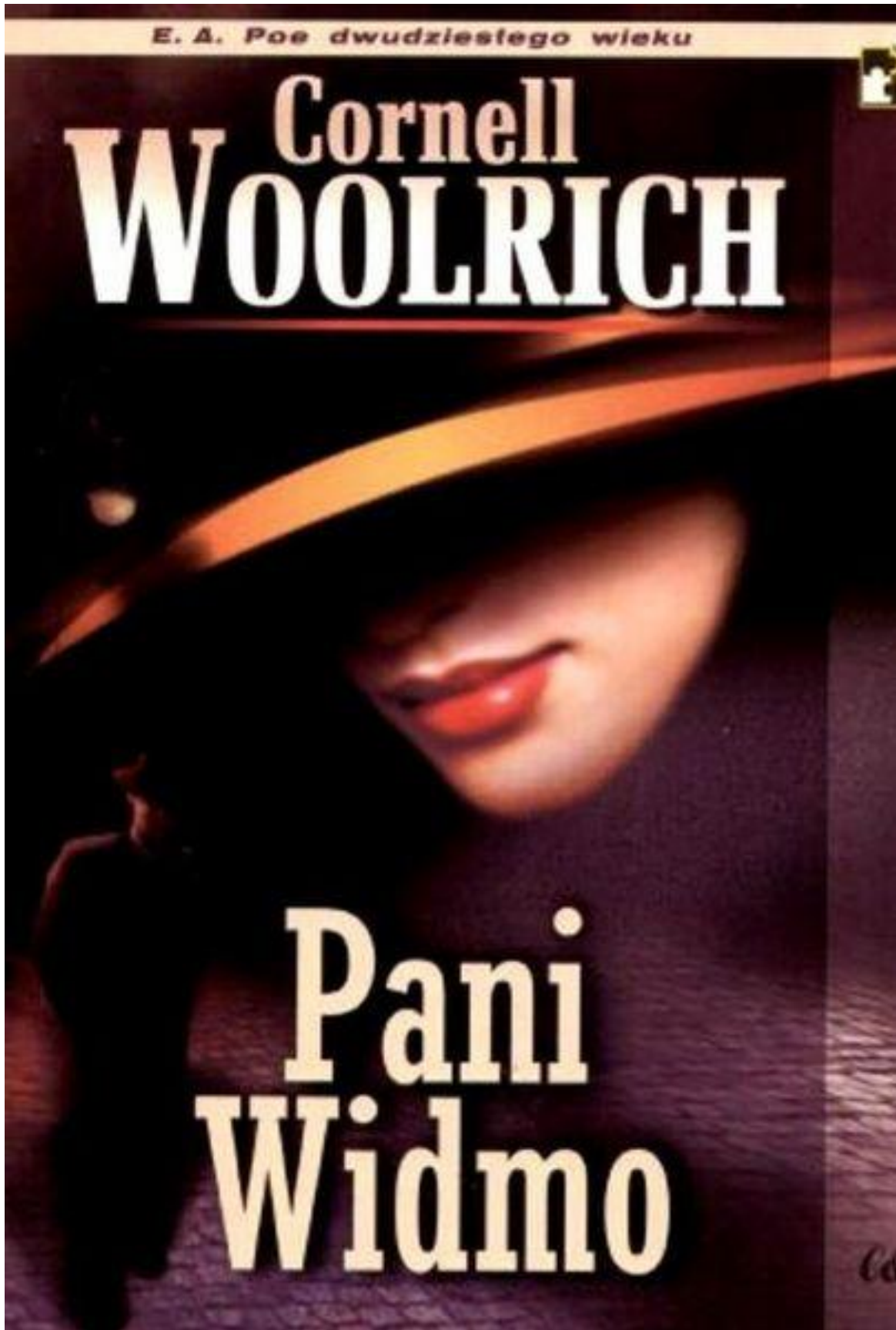


*E. A. Poe dwudziestego wieku*

Cornell  
**WOOLRICH**

**Pani  
Widmo**



# Woolrich Cornell

## Pani Widmo

**Scott Henderson, po kłótni z żoną, trafia do najbliższego baru. A tam spotyka bardzo miłą kobietę. Zabiera ją na kolację, a potem do teatru. Po powrocie do domu znajduje żonę uduszoną jego własnym krawatem. Detektywa zajmującego się sprawą interesuje więc alibi Scotta. Okazuje się jednak, że Scott nie potrafi przypomnieć sobie twarzy nowej znajomej, a ani barman, ani nikt inny nie pamięta żadnej kobiety u jego boku...!**

## ***I. Sto pięćdziesiąty dzień przed egzekmeją***

### **Godzina osiemnasta**

Wieczór był jeszcze młody — i on też. Lecz wieczór był uroczy, a on zgorzkniały. Już z daleka rzucał się w oczy posępny wyraz jego twarzy. Najwidoczniej nurtował go gniew, i to taki, który człowiek chciałby w sobie stłumić, a jednak tli się w nim godzinami. A szkoda, bo wcale nie harmonizował z otoczeniem.

Wieczór był majowy, godzina spotkań. Pora, w której połowa mieszkańców miasta poniżej trzydziestki przygląda włosy, napęnia portfele i maszeruje zamaszystym krokiem na umówione spotkania. A druga połowa, też poniżej trzydziestki, przypudrowuje noski, stroi się, a potem wesoło podąża w tym samym celu.

Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie spotykają się te dwie połowy miasta. Na każdym rogu ulicy, w każdej restauracji lub barze, w drugstore'ach, w hallach hotelowych lub też pod zegarem u jubilera — wszędzie, gdzie jeszcze pozostało trochę wolnego miejsca. I tak od wieków krążą owe pary, zawsze te same i wiecznie młode. „No, jestem. Długo czekasz?” „Ślicznie wyglądasz! Dokąd pójdziemy?”

A wieczór był jak wymarzony. Niebo od zachodu zabarwiło się czerwienią, jakby i ono również ustroiło się na spotkanie w wieczorową szatę. Rozmigotały już na całej ulicy neony i flirtowały sobie z przechodniami, jak zresztą wszyscy i wszystko tego wieczoru. Co chwila rozlegały się wesoło klaksony, każdy gdzieś dążył... Powietrze było jakieś inne niż zwykle, niczym musujący szampan nasycony zapachem perfum Coty'ego, i trzeba się było dobrze pilnować, by nie uderzyło do głowy lub nie przeniknęło do serca.

A wśród tego z posepną twarzą, psując cały obraz, szedł on. Ludzie spoglądali na niego ze zdziwieniem. Przecież nic nie powinno mu dolegać. Człowiek, który idzie tak sprężystym krokiem, musi być uosobieniem zdrowia. Sytuacja materialna też chyba nie wchodzi w rachubę. Mimo pozornej niedbałości widać było, że ubranie uszyte ma z pierwszorzędnego materiału. I nie wiek chyba. Jeżeli przekroczył trzydziestkę, to najwyżej o parę miesięcy, nie lat. Wyglądałby znacznie korzystniej, gdyby trochę się rozpogodził. Nie ulegało wątpliwości, że szpecił go tylko grymas. On jednak dalej podążał buntowniczo, z zaciśniętymi ustami. Płaszcz, przewieszony przez ramię, unosił się i opadał w rytm jego kroków. Zagnieciony kapelusz, jakby w pośpiechu wciśnięty na głowę, zsunął mu się do tyłu. I chyba tylko dlatego nie krzesał iskier z chodnika, że miał gumowe podeszwy.

Wszedł tam przypadkowo. Widać było, że nie miał zamiaru, bo zbyt raptownie zahamował. Trudno to inaczej określić. Miało się wrażenie, że nagle jakieś obręcze otoczyły mu nogi i całkiem go unieruchomiły. Może by nawet wcale nie zauważył tego miejsca, gdyby nie migocący neon, który właśnie w tej chwili zabłysnął. Jak czerwona pelargonia jarzył się napis „Anselmo”, a od jego blasku chodnik wyglądał tak, jakby ktoś rozlał butelkę pomidorowego soku.

Kierowany jakimś niewytłumaczonym impulsem, zboczył nagle i wszedł do środka. Znalazł się w długiej, niskiej sali, o trzy stopnie niżej poziomowi ulicy. Nie można powiedzieć, żeby była duża albo zatłoczona — przynajmniej w tym momencie. Oczy tu mogły wypocząć; oświetlenie w kolorze bursztynu było przyćmione i skierowane na sufit. Po obu stronach sali znajdowało się kilka niewielkich, jednakowych wnęk, w których poustawiano stoliki. Nie zwracał na nie uwagi i podszedł wprost do półkolistego baru naprzeciwko wejścia. Nie zainteresował się wcale, kto siedzi przy barze i czy w ogóle ktoś przy nim siedzi. Cisnął na stołek płaszcz, potem kapelusz, a sam usiadł na drugim. Zachowywał się tak, jakby zamierzał spędzić tu cały wieczór.

Zamazane kontury białej marynarki pojawiły się tuż ponad linią jego opuszczonego wzroku i jakiś głos powiedział:

— Dobry wieczór, sir.

— Jedną szkocką — zamówił — i trochę wody. Ale naprawdę mało.

Woda pozostała nietknięta, mimo że szklanka obok była już pusta.

Kiedy siadał, musiał podświadomie zerknąć na wazę z precelkami lub czymś podobnym, stojącą na prawo od niego, bo teraz, nie patrząc, wyciągnął rękę w tę stronę. Natknął się jednak nie na skręcony precelek, ale na coś prostego, gładkiego, co poruszyło się lekko.

Obrócił głowę, po czym cofnął rękę i mruknął:

— Przepraszam. Ja wezmę potem.

Odwrócił się i pograżył w myślach. Lecz po chwili znowu skierował spojrzenie w tę stronę, nadal ponury i czymś pochłonięty.

Miała na głowie przedziwny kapelusz. Z kształtu, wielkości, a nawet koloru przypominał dynię. Był tak płomiennopomarańczowy i tak jaskrawy, że aż raził oczy. Zdawał się rozświetlać cały lokal, niby zwisający nisko lampion na *garden-party*. Na samym czubku tego kapelusza sterczało długie, cienkie piórko kogucie, niby czułki jakiegoś owada. Niewiele kobiet odważyłoby się na ten kolor. Ona nie tylko się odważyła, ale bynajmniej nie była speszona. Co prawda zwracała na siebie uwagę, wyglądała jednak dobrze i wcale nie śmiesznie. Reszta jej stroju była spokojna, w czarnym kolorze, i prawie niknęła przy tym ognistym kapeluszu. Może widziała w nim symbol jakiegoś wyzwolenia, a może chciała przez to wyrazić swój nastrój: „Kiedy mam go na głowie, strzeżcie się! Świat należy do mnie!” Chrupała precelek i udawała, że nie dostrzega jego badawczego wzroku. Wreszcie przestała chrupać, a był to jedyny znak, że zauważyła, jak podniósł się ze stołka i stanął tuż przy niej.

Skłoniła lekko głowę, nastawiając ucha, jakby zamierzała powiedzieć: „Jeśli chce pan mówić, proszę bardzo. Ale jak się do tego ustosunkuję, jeszcze nie wiadomo. Zobaczymy, co ma pan do powiedzenia”.

— Czy ma pani wolny wieczór? — spytał rzeczowo i bezpośrednio.

— I tak, i nie.

Odpowiedź jej była taktowna, ale nie zachęcająca. Nie uśmiechnęła się ani też nie wydała się skłonna do nawiązania kontaktu. Trzymała się godnie; nie wiedział, kim jest, z pewnością jednak nie była tania.

Ale i on nie wyglądał na uwodziciela. Mówił dalej żywo, choć raczej obojętnie:

— Jeżeli pani już jest zajęta, proszę powiedzieć. Nie chciałbym być natrętny.

— Jak do tej pory nie jest pan natrętny. — Stanowisko swoje sprecyzowała dość jasno: jeszcze się waha z decyzją.

Spojrzał na zegar wiszący nad barem, na wprost nich obojga.

— Proszę spojrzeć, jest teraz dziesięć po szóstej. Podniosła wzrok na zegar.

— Prawda — przyznała obojętnie.

Wyjął tymczasem portfel, a z jednej z przegródek niewielką, podłużną kopertę, z której wy dostał dwa małe kartoniki łososiowego koloru, oddzierając jeden od drugiego.

— Mam dwa doskonałe bilety na dzisiejszy wieczór do „Casino”. Rząd pierwszy A, siedzenia boczne. Nie miałyby pani ochoty pójść ze mną?

— Szybko pan działa.

Z biletów przeniosła wzrok na niego.

— Muszę działać szybko. — Stał się znowu ponury. Nawet nie patrzył na nią, tylko na bilety, i to z jakąś urazą. — Jeżeli pani już jest zajęta, proszę powiedzieć, spróbuję znaleźć kogoś innego.

W jej oczach zamigotała iskierka zainteresowania.

— A więc te bilety za wszelką cenę muszą być wykorzystane?

— To kwestia zasady — odparł ponuro.

— Można by to uznać za dość nieokrzesany sposób zawierania znajomości — oznajmiła. — Myślę jednak, że tak nie jest, robi to pan zbyt bezpośrednio i zwyczajnie, chyba więc nic się za tym nie kryje.

— Na pewno nie — odparł z kamiennym wyrazem twarzy. Obróciła się na stołku w jego stronę. Przyjęła zaproszenie, wyjaśniając:

— Zawsze chciałam, żeby mnie coś takiego spotkało. Chyba więc skorzystam.

Szansa może się nieprędko nadarzyć po raz drugi, przynajmniej tak oryginalna jak ta.

Położył rękę na jej ramieniu.

— Ale może, zanim wyruszymy, zawrzemy układ? Sytuacja będzie jaśniejsza potem, kiedy skończy się przedstawienie.

— Zobaczymy, jakie będą warunki.

— Jesteśmy znajomymi tylko na dzisiejszy wieczór. Po prostu dwoje ludzi, którzy razem zjadają kolację i oglądają występy w „Casino”. Nie przedstawiamy się, nie podajemy adresów, nie mówimy o sobie żadnych, nawet nieistotnych szczegółów.

Po prostu...

Uzupełniła:

— Po prostu dwoje ludzi, którzy razem oglądają przedstawienie. Znajomi na jeden wieczór. Myślę, że to słuszne, a na pewno konieczne i rozsądne rozwiązanie, więc zostanmy przy nim. Unikniemy w ten sposób wielu kłopotliwych sytuacji, a może i okolicznościowego kłamstwa. — Podała mu rękę i wymienili krótki uścisk dłoni. Po raz pierwszy się uśmiechnęła. Miała dosyć przyjemny uśmiech; raczej powściągliwy, nie zanadto przesłodzony.

Skinął na barmana, żeby zapłacić za oba drinki.

— Jeszcze nim pan przyszedł, zapłaciłam za siebie. I przy tym jednym tak siedzę. Barman wyjął z kieszeni mały bloczek, napisał u góry: jedna szkocka — 60 centów, wydarł i wręczył mu rachunek.

Zauważył, że rachunki były ponumerowane, a na swoim, w rogu u góry, zobaczył wielką, czarną, złowieszczą cyfrę 13. Skrzywił się w uśmiechu, oddał rachunek wraz z należnością i podążył za nią do wyjścia.

Szła w kierunku drzwi. Jakaś dziewczyna, ukryta ze swym towarzyszem we wnęce, wychyliła się teraz do przodu, żeby popatrzeć na ten płomienny kapelusz. Widział to, bo szedł z tyłu.

Na ulicy przyjrzała mu się badawczo.

— Teraz pan prowadzi.

Skinął na taksówkę czekającą w niewielkiej odległości. W tym momencie nadjechała druga, dla której sygnał wcale nie był przeznaczony, i usiłowała tamtą wyprzedzić. Pierwszej jednak udało się udaremnić ten manewr. Błyskawicznie zajechała od przodu, nie obyło się jednak bez odrapania błotników i soczystej wiązanki szoferskiej. Nim przycichła sprzeczka, a pierwszy kierowca ochłonął na tyle, by zainteresować się pasażerami, ona ulokowała się już w taksówce.

Towarzysz jej zaczekał, żeby podać szoferowi kierunek.

— „Maison Blanche” — rzucił i też wsunął się do środka.

Wewnątrz paliło się światło, którego i oni nie zgasili. Może po prostu dlatego, że mrok mógłby sugerować większą intymność, a żadne z nich nie sądziło, żeby to było potrzebne.

Nagle usłyszał rozradowany chichot, a idąc za jej spojrzeniem, też się roześmiał.

Fotografie na licencjach taksówkarzy rzadko kiedy bywają okazem piękności, ale ta była dosłownie karykaturą: uszy juk

u dzbana, cofnięty podbródek, wylupiaste oczy. Imię i nazwisko wbijały się w pamięć dzięki swej krótkości i ałiteracyjności: Al Alp. Zauważył to i szybko zapomniał.

„Maison Blanche” był lokalem o charakterze raczej kameralnym, słynącym z wybornego jedzenia. Nawet w godzinach szczytu panował tu nastrój cichego uznania. Niedozwolona tu była ani muzyka, ani żadne inne rozrywki, żeby nie zakłócać spokoju smakoszom.

W foyer zatrzymała się.

— Pozwoli pan, że odejdę na chwilę i naprawię szkody poczynione przez czas? Niech pan zajmie stolik, znajdę pana na pewno. — Wchodząc do toalety, uniosła ręce, jakby zamierzała zdjąć kapelusz. Ale drzwi się zamknęły, nim zdążyła to zrobić. Uznał, że po prostu musiało jej zabraknąć odwagi, że odłączyła się od niego i chciała zdjąć kapelusz, aby wejść na salę sama, już po nim, i możliwie jak najmniejszą zwrócić na siebie uwagę.

Na progu restauracji powitał go starszy kelner.

— Jedno miejsce, sir?

— Nie, mam stolik zarezerwowany na dwie osoby. — I zaraz podał swoje nazwisko:

— Scott Henderson.

Starszy kelner spojrzał na listę: — Ach, tak. — Wychylił się ponad ramieniem Hendersona. — Sam pan jest, proszę pana?

— Nie — odparł wymijająco.

Tylko jeden stolik w zasięgu wzroku był wolny. Stał odosobniony we wnęce, z trzech stron osłonięty tak, że osoby siedzące przy nim widać było tylko od frontu. Kiedy pojawiła się w drzwiach, nie miała na głowie kapelusza. Henderson zdumiony był zmianą. Jak dużo dodawał jej ten kapelusz! Wyglądała teraz jakoś pospolicie. Blask przygasł; była bez życia i bez wyrazu. Jak jedna z wielu kobiet o ciemnobrązowych włosach i w czarnej sukience. Nie brzydka i nie ładna, nie wysoka i nie niska, nie szykowna, ale też i nie zaniedbana; pospolita, bezbarwna, przeciętna kobieta, jakich wiele. Nijaka. Bez stylu.

Nikt się za nią nie obejrzał. Nikt spośród tych, co obrócili się w jej stronę, nie zachował jej w pamięci.

Starszy kelner zajęty był w tym momencie przyprawianiem sałatek, nie mógł więc podprowadzić jej do stolika. Henderson podniósł się, żeby go mogła zobaczyć, nlo nie przeszła wprost przez salę, tylko skie-



rowała się nieśmiało na bok i tuż przy ścianie, dłuższą drogą, lecz za to nie ściągając na siebie niczyich spojrzeń, dotarła do stolika.

Kapelusz, który niosła w rękę, położyła na wolnym krześle i przykryła go obrusem, pewnie żeby się nie poplamiał.

— Często pan tu bywa? — spytała. Najwyraźniej udał, że nie słyszy.

— Och, przepraszam — zreflektowała się — to już zalicza się do spraw osobistych. Henderson zauważył, że kelner, który podawał im do stołu, miał pieprzyk na brodzie.

Zamówił kolację, nie zasięgając jej rady. Słuchała uważnie, a kiedy skończył, skinęła głową z uznaniem.

Wcale niełatwo było nawiązać rozmowę. Skrępowana wieloma ograniczeniami, jeśli chodzi o dobór tematów, musiała jeszcze przełamać jego ponury nastrój. Aon, jak przystało mężczyźnie, chętnie złożył na nią cały ciężar. Mimo że pozornie słuchał, myślami był gdzie indziej. I dopiero kiedy roztargnienie stawało się już tak wyraźne, że zakrawało na rażącą nieuprzejmość, powracał do rzeczywistości, ale z takim wysiłkiem, że sprawiało mu to niemal fizyczny ból.

— Nie chce pani zdjąć rękawiczek? — zapytał w pewnym momencie. Były czarne jak cały jej strój, z wyjątkiem kapelusza. Kiedy piła w rękawiczkach cocktail czy jadła puree, nie wydawało się to dziwne, ale podano właśnie solę z plasterkiem cytryny, który usiłowała wycisnąć widelcem.

Nie namyślając się dłużej, zdjęła prawą rękawiczkę. Z lewą jakoś nie mogła sobie poradzić i już zdawało się, że ją zostawi, ale w końcu, jakby rzucając wyzwanie, ściągnęła ją także.

Umyślnie rozglądał się, żeby nie patrzeć na jej rękę. Przekonany był jednak, że ona zauważyła jego obrączkę.

Świetnie prowadziła rozmowę, nie siląc się wcale na efekty. Zręcznie potrafiła uniknąć tego, co oczywiste, banalne czy jałowe. Nie mówiła więc ani o pogodzie, ani o nagłówkach w gazecie, ani o jedzeniu.

— Na przykład ta zwariowana aktorka z Południowej Ameryki, Mendoza, którą dziś mamy oglądać... Kiedy widziałam ją po raz pierwszy, a było to chyba rok temu, miała kiepski akcent. A teraz, im więcej tu występuje, tym gorzej mówi po angielsku. Jeszcze jeden sezon, a już zupełnie przejdzie na hiszpański.

Uśmiechnął się blado. Była niewątpliwie kulturalna. Tylko ktoś naprawdę kulturalny mógł sobie tak świetnie radzić i nie przeholować w jednym lub drugim kierunku. Równowaga zastępowała bądź to przyzwoitość, bądź lekkomyślność. Ale gdyby choć trochę przechyliła szalę, bardziej utkwiliby w pamięci, stałaby się bardziej określona. Gdyby nie była tak dobrze wychowana, miałaby pikanterię i wulgarność parweniuszki. Ale gdyby otrzymała trochę lepsze wychowanie, mogłaby być błyskotliwa — i dzięki temu godna pamięci.

Już pod koniec kolacji zauważył, że patrzy na jego krawat. I on spojrzał uważnie. — Niedobry? — spytał.

Krawat był gładki, bez żadnego deseni.

— Nie, sam w sobie całkiem dobry — zapewniła spieszenie. — Tylko że nie bardzo pasuje do ubrania, po prostu nie gra z całością. Och, przepraszam... nie chciałam krytykować — dodała.

Jeszcze raz spojrzał na krawat z wyrazem obojętnego zaciekawienia, jakby do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, który właściwie założył. Nawet trochę się zdziwił, że w ogóle ma krawat. Aby złagodzić dysonans kolorów, schował do kieszeni róg wystającej chusteczki.

Zapalili, posiedzieli chwilę przy koniaku, po czym wyszli.

Dopiero w foyer, przy wysokim lustrze, założyła znowu kapelusz. Natychmiast zbudziło się w niej życie, stała się znowu czymś i kimś. „Przedziwne — pomyślał — jak bardzo zmienia ją ten kapelusz. Tak jakby kandelabr rozbłysnął nagle światłem”. Ledwie zdążyli zajeżdżać przed teatr, otworzył im drzwi taksówki olbrzymi portier, wysoki co najmniej na sześć stóp i cztery cale. Na widok kapelusza, który przed nim mignął, w oczach jego odbiło się dość zabawne przerażenie. Miał białe wąsy niczym kły morsa i zupełnie przypominał rysunkową postać z *New Yorkera*. Kiedy wysiadła z taksówki, a potem go mijala, oczy omal mu nie wyszły z orbit.

Henderson zauważył tę krótką, zabawną scenkę, prędko ją jednak zapomniał. Jeżeli, oczywiście, można o czymś całkiem zapomnieć.

Zupełnie opustoszały hall najdobitniej świadczył, jak późno przybyli. Nawet bileter zdążył opuścić swe stanowisko przy drzwiach. Kiedy wchodzili na salę, przystąpiła do nich jakaś postać, odcinająca się na tle oświetlonej sceny, zapewne bileter.

Sprawdził bilety przy latar-

ce, a następnie powiódł ich w dół, osłaniając blask dłonią i świecąc im pod nogi. Mieli miejsca w pierwszym rzędzie. Chyba nawet trochę za blisko. Dopóki oczy nie przywykły do tej bliskości, scena oślepiła pomarańczową luną.

Patrzyli spokojnie, jak następowały poszczególne sceny rewiiowe, oddzielone od siebie tylko nieznacznym ściemnieniem świateł. Ona uśmiechała się od czasu do czasu, a niekiedy nawet wybuchała głośnym śmiechem. On zdobywał się na wymuszony uśmiech. Gwar, barwy i jasność osiągnęły crescendo, po czym kurtyna opadła i nastąpiła przerwa.

Na sali zapaliły się światła, zrobiło się gwarno, publiczność zaczęła wstawać i wychodzić.

— Zapalimy? — spytał.

— Zostańmy tutaj. Siedzimy i tak krócej od wszystkich. Podniosła do góry kołnierz płaszcza. Pewnie tylko po to, żeby się ukryć przed oczami ciekawskich, bo na sali było już duszno.

— Widział pan znajomych aktorów? — zagadnęła z uśmiechem. Spojrzał w dół i zorientował się, że palce jego zajęte są zaginaniem prawych górnych rogów kartek programu. Zagięte kartki zachodziły małymi trójkątami jedna na drugą.

— Zawsze to robię, od lat już mam taki nerwowy odruch. Nigdy sobie z tego nie zdaję sprawy. Chyba można by to porównać z bazgraniem na kartce w czasie posiedzeń.

Otworzyły się drzwiczki pod sceną i orkiestra zaczęła zajmować miejsca, szykując się do drugiej części programu. Najbliżej, bo prawie przy samej barierce, siedział perkusista. Było to indywidualium podobne do gryzonia, a wyglądało tak, jakby od dziesięciu lat nie wychodziło na świeże powietrze. Skórę miał naciągniętą na kościach policzkowych, a włosy przylizane i lśniące; przypominały mokry czepek kąpielowy z białym szwem pośrodku. Miał tak małe wąsiki, że można było sądzić, iż cieknie mu z nosa.

Z początku nie patrzył na salę, zajęty ustawianiem krzesła i poprawianiem czegoś przy swoim instrumencie. Wreszcie usiadł, odwrócił się leniwie i natychmiast zainteresował się nią i jej kapeluszem.

Tak jakby nagle coś mu się stało. Twarz jego, wyprana z inteligencji i jałowa, nagle zastygła w bezruchu, niczym zahipnotyzowana. Ry-

bie wargi rozchyliły się i tak już zostały. Najwyraźniej chciał nie zwracać na nią uwagi, ale tak zaprzętała mu myśli, że nie potrafił skupić się na czymś innym i ciągle wędrował spojrzeniem w jej stronę.

Henderson przyjmował to zrazu z obojętnym raczej i rozbawionym zaciekawieniem, lecz widząc, że ją zaczyna to mocno krępować, posłał perkusiście wymowne spojrzenie, pod którym ten natychmiast, i już na dobre, wrócił do swych muzycznych męczarni. Ale mimo że patrzył już w innym kierunku, znać było, choćby po tym, jak sztywno trzymał głowę, że nie przestaje o niej myśleć.

— Zdaje się, że zrobiłam na nim wrażenie — zaśmiała się cicho.

— Taki doskonały perkusista stracony na dzisiejszy wieczór — dodał Henderson. Publiczność zajęła już miejsca. Światła przygasły, zabłyśły reflektory i orkiestra rozpoczęła uverturę do drugiej części. Henderson znów w zamyśleniu zaginał kartki programu.

W pewnym momencie, mniej więcej w połowie drugiej części, orkiestra zabrzmiała pełnym crescendo, po czym nagle umilkła. Na scenie rozległy się egzotyczne bębny i grzechotki i pojawiła się sławna południowoamerykańska aktorka, Estela Mendoza, największa atrakcja wieczoru.

Sąsiadka trąciła go łokciem, nim zdążył sam dokonać tego odkrycia. Spojrzał na nią, nic nie rozumiejąc, potem znów na scenę. Obie kobiety uświadomiły już sobie fatalny zbieg okoliczności, który umknął początkowo uwadze mężczyzny. Usłyszał tylko tajemniczy szept:

— Proszę spojrzeć na nią. Jakie to szczęście, że siedzimy w teatrze, bo chyba by mnie zabiła.

Czarne, pełne wyrazu oczy aktorki rozbłyśły nienawiścią, zbyt jaskrawo kontrastującą z uroczym uśmiechem, kiedy spostrzegła identyczne nakrycie głowy u towarzyszki Hendersona, siedzącej dumnie w pierwszym rzędzie, gdzie nie sposób jej było nie zauważyć.

— Teraz już wiem, skąd wziął się pomysł tego modelu — wyszeptała strapiona.

— I cóż w tym złego? Myślę, że powinno jej to pochlebiać.

— Trudno się ludzić, aby mężczyzna mógł to zrozumieć. Niech pan zapamięta, że kobieta strawi identyczną biżuterię u drugiej, złote koronki na zębach, ale nigdy kapelusz. A na dodatek stanowi on nie

odłączną część jej roli, niemal znak firmowy. Model został po prostu ściągnięty, bo nie sądzę, żeby się zgodziła...

— Może to jakiś rodzaj plagiatu?

Przyglądał się teraz z większym zainteresowaniem, chociaż nadal nie pochłaniało go to całkowicie.

Estela Mendoza grała z dużą prostotą. Jak prostą bywa zawsze prawdziwa sztuka i jako takiej wiele uchodzi bezkarnie. Śpiewała po hiszpańsku jakąś liryczną piosenkę, która nawet w tym języku niewiele zawierała treści. Jej refren brzmiał: *Czika, czika, bum, bum. Czika, czika, bum, bum...*

I tak w kółko. Błyskała oczyma, przy każdym kroku kołysząc biodrami, i rzucała paniom na sali małe bukietki z płytkiego koszyka przewieszzonego przez ramię. Nim skończyła dwie zwrotki, wszystkie panie w pierwszych dwóch, a nawet trzech rzędach zostały obdarowane tymi kwietnymi emblematami. Wszystkie oprócz współtowarzyszki Hendersona.

— Ona specjalnie mnie omija, żeby się zemścić za kapelusz — szepnęła domyślnie. I rzeczywiście, ilekroć podrygująca i przytupująca tancerka zbliżała się ku nim, jej rozplamione oczy, przesuwając się po kapeluszu, rzucały jakieś złowieszcze błyski; zdawało się, że sypią iskry elektryczne.

— Proszę patrzeć, upomnę się o bukietek — oznajmiła przyciszonym głosem.

Złożyła ręce w kształt imadła tuż pod brodą. Ta aluzja została zignorowana.

Wyciągnęła więc ręce przed siebie i trzymała tak w błagalnym geście.

Oczy Mendozy zwęziły się w szparki, ale już po chwili odzyskały naturalny kształt i powędrowały w innym kierunku.

Nagle Henderson usłyszał, że jego sąsiadka pstryknęła palcami. Pstryknęła tak głośno, żeby muzyka nie mogła jej zagłuszyć. Mendoza wreszcie spojrzała na nią, z jakimś szaleńczym błyskiem w oczach. Wyjęła jeszcze jeden bukietek, rzuciła, ale nie do niej.

— Ja nie godzę się tak łatwo z porażką — mruknęła uparcie. Nim zdołał się zorientować, już stała przy swoim krześle, uśmiechając się przymilnie i cierpliwie domagając swojej należności.

Na moment obie zastygły w bezruchu. Ale stawka była nierówna. Aktorka, mimo wszystko, zdana była na łaskę tego dziwnego widza, za wszelką cenę musiała zachować do końca uśmiech pełen czaru i słodyczy.

Zmiana pozycji znajomej Hendersona miała także inny nieprzewidziany skutek. Reflektor, który posłusznie sunął za kołyszącą biodrami artystką, oświetlił nagle głowę i ramiona intruza sterczącego natarczywie przy orkiestrze. Teraz już wszyscy musieli zwrócić uwagę na dwa identyczne kapelusze. Krąg komentarzy zataczać jął coraz szersze kręgi, jakby rzucono nagle kamień w spokojną dotychczas toń wody. Estela Mendoza skapitulowała, i to dość szybko, żeby tylko położyć kres nienawistnemu porównywaniu kapeluszy. Wymuszony szantażem bukiecik uleciał wdzięcznie w górę, a następnie opadł ku niej w blasku reflektorów. Aby wynagrodzić przeoczenie, Mendoza zrobiła skruszoną minę, jakby chciała powiedzieć: „Pominałam panią? Och, proszę mi wybaczyć, naprawdę nie chciałam”. Ale przez tę grzeczność przebijała śmiertelna, tropikalna furia. Znajoma Hendersona zręcznie złapała bukiecik i osunęła się na krzesło z miłym uśmiechem. Tylko on jeden usłyszał słowa rzeczywiście wypowiedziane: — Dziękuję, ty... ty latynoska wszo. — I o mało się nie zakrztusił.

Zwyciężona aktorka opuszczała powoli scenę w spazmatycznych podrygach, a i muzyka milkła, tak jak milknie stukot kół oddalającego się pociągu.

Sala huczała jeszcze od oklasków, gdy oczom wszystkich ukazał się dość osobliwy widok. Mendoza wyrywała się z powrotem na scenę, a męskie ramiona tylko w koszuli, należące prawdopodobnie do dyrektora teatru, siłą ją powstrzymywały. Oczywiście było, że nie dlatego chce wybiec, aby podziękować za oklaski. Ręce jej, które niewidoczny mężczyzna musiał trzymać niemal w niedźwiedzim uścisku, zaciśnięte były w pięści i aż się rwały do zemsty. Nagle pogasły światła i rozpoczęły się dalsze występy.

Kiedy wstali po zakończeniu rewii, Henderson bezmyślnie rzucił program na krzesło. Ku jego zdziwieniu podniosła go i złożyła razem ze swoim.

— Na pamiątkę — wyjaśniła.

— Nie myślałem, że jest pani sentymentalna — powiedział, idąc za nią zatłoczonym przejściem.

— Ściśle mówiąc, wcale nie sentymentalna. Po prostu lubię czasem wspominać swoją impulsywność, a takie rzeczy to ułatwiają.

Impulsywność? Pewnie dlatego, że zdecydowała się spędzić z nim wieczór, mimo że wcale go nie znała. Wzdrygnął się — chociaż niedostrzegalnie.

Kiedy przeciskali się przed teatrem do taksówki, nastąpiło dość dziwne i niefortunne zdarzenie. Właśnie mieli wsiadać, gdy zbliżył się niewidomy żebrak i stanął tuż przy niej z niemą prośbą, prawie że trącając ją puszką. Trzymała akurat zapalonego papierosa i ktoś musiał ją szturchnąć, może nawet sam żebrak, w wyniku czego papieros wpadł do puszki. Henderson zauważył to, ona nie. Nim jednak zdążył zapobiec wypadkowi, ufny nieszczęśnik wsadził rękę do puszki i natychmiast wyciągnął ją, sycząc z bólu.

Henderson momentalnie wydobył niedopałek i żeby wynagrodzić krzywdę, wsunął żebrakowi dolara do ręki.

— Wybacz, staruszkule, to niechcący — szepnął cicho. Ale widząc, że żebrak wciąż jeszcze żałośnie dmucha na oparzony palec, wsunął mu drugi banknot, zwłaszcza że zdarzenie to można było uznać za dość ordynarny żart. Był jednak przekonany, że nie zrobiła tego umyślnie.

Wsiadł za nią do taksówki i ruszyli. — Czyż nie było to patetyczne? — powiedziała tylko.

Nie podał jeszcze taksówkarzowi kierunku.

— Która godzina? — spytała.

— Kwadrans po jedenastej.

— A gdybyśmy tak wrócili do Anselma, tam gdzieśmy się spotkali? Napijemy się jeszcze i potem się rozstaniemy. Pan pójdzie w swoją stronę, ja w swoją. Lubię, kiedy koło się zamyka.

Przyszło mu na myśl, że koło jest zwykle puste w środku, ale nie powiedział tego, żeby nie wydać się nieuprzejmym.

U Anselma było teraz o wiele tłoczniej niż o godzinie szóstej. Ale udało mu się jakoś zdobyć dla niej stółek przy końcu baru, przy ścianie, a sam stanął tuż obok.

— A więc — powiedziała, unosząc kieliszek do góry i spoglądając na niego w zamyśleniu — bądź zdrów i zegnaj. Miło mi było poznać pana.

— Jest pani bardzo uprzejma.

Wypili — on do dna, ona zostawiła trochę.

— Posiedzę tu jeszcze chwilę — powiedziała, podając mu rękę na pożegnanie. — Dobranoc, wszystkiego dobrego. — Krótco uścisnęli sobie dłonie, jak przystało na znajomych jednego wieczoru.

Już miał odejść, kiedy nagle zmrużyła oczy, jakby przypomniała sobie coś ważnego.

— A teraz, skoro już się pan wreszcie otrząsnął, czy nie byłoby dobrze, gdyby wrócił pan do niej i spróbował się pogodzić?

Spojrzał na nią trochę zdziwiony.

— Cały czas o tym wiedziałam — dodała spokojnie.

Z tym się rozstali. On poszedł w kierunku wyjścia, ona schyliła się nad kieliszkiem. I tak skończył się ten epizod.

Jeszcze raz rzucił na nią spojrzenie od drzwi wychodzących wprost na ulicę. Nadal siedziała przy barze pod ścianą i chyba postukiwała leniwie palcami w nóżkę kieliszka. Poprzez szparę między ramionami dwóch osób, układającą się w literę V, widać było jaskrawopomarań-czowy kapelusz.

I pozostało mu to ostatnie wspomnienie — pomarańczowy kapelusz majaczący w smugach papierosowego dymu, tak daleko za nim, jak we śnie, jak w scenie, która nie jest i nigdy nie była rzeczywista.

## *2. Sto pięćdziesiąty dzień przed egzekucją*

### **Polnoc**

**W** dziesięć minut później, osiem przecznic dalej — to znaczy siedem jadąc prosto przed siebie i jedna w kierunku na lewo — wysiadł z taksówki na rogu przed domem. Włożył resztę do kieszeni, otworzył drzwi własnym kluczem i wszedł do hallu.

Kręcił się tu jakiś mężczyzna, widocznie na kogoś czekając. Spacerował w tę i z powrotem, bez celu, jak zwykle, kiedy na kogoś się czeka. Nie mieszkał w tym domu: Henderson nie widział go tu nigdy. Nie



czekał też na windę, bo światelko się nie paliło — pewnie winda stała gdzieś wysoko.

Henderson minął nieznajomego, nie patrząc już na niego, po czym nacisnął guzik windy.

Mężczyzna znalazł teraz jakiś obrazek na ścianie i przyglądał mu się z przesadnym zainteresowaniem. Stał odwrócony tyłem do Hendersona. Zachowywał się tak, jakby nikogo w hallu nie dostrzegał — co oczywiście było przeszarżowane.

Hendersonowi przyszło na myśl, że musi mieć nieczyste sumienie. Obrazek nie był wart takiego zainteresowania. Z pewnością czeka na kogoś, kogo nie ma prawa stąd uprowadzić.

„Właściwie po diabła się nad tym zastanawiam, co mnie to wszystko obchodzi?” — pomyślał Henderson.

Wszedł do windy, która właśnie nadjechała. Ciężkie, okute drzwi zatrzasnęły się za nim. Nacisnął guzik szóstego, a zarazem ostatniego piętra. Winda ruszyła i tylko przez małą szybkę w drzwiach zobaczył, jak mężczyzna, widocznie zniecierpliwiony długim czekaniem, oderwał się od obrazka i postąpił w stronę centrali telefonicznej. Mignęło mu to i więcej się nad tym nie zastanawiał...

Wysiadł na szóstym piętrze i sięgnął po klucz. W korytarzu panowała grobowa cisza, przerywana tylko dźwiękiem przesypywanych monet, kiedy szukał klucza. Otworzył drzwi swego mieszkania, na prawo od windy. Światła były pogaszone i panowały zupełne ciemności. Na ten widok, nie wiadomo czemu, chrząknął z pogardliwym niedowierzaniem. Przekręcił kontakt i nagle mały, schludny przedpokój nabrał życia. Ale lampa oświetlała tylko przedpokój, podczas gdy dalej w mieszkaniu wciąż jeszcze zalegał nieprzenikniony mrok.

Zamknął za sobą drzwi, rzucił na krzesło kapelusz i płaszcz. Najwyraźniej irytowała go ta ciemność i cisza. Twarz jego znowu stała się posępna, jak wtedy, kiedy szedł ulicą. W rozpościerającą się przed nim ciemność zawołał: — Marcella! — tonem niecierpliwym i niezbyt przyjaznym.

Ciemność milczała.

Wkroczył w nią, mówiąc dalej tym samym ostrym, natarczywym tonem:

— Skończcie z tym wreszcie! Przecież nie śpisz, kogo chcesz oszukać? Przed chwilą widziałem z ulicy światło w twojej sypialni. Bądź mądrzejsza, to do niczego nie doprowadzi!

Znów odpowiedziała mu tylko cisza.

Przeszedł na ukos w kierunku tak dobrze znanego mu punktu na ścianie i zaczął utyskiwać głosem mniej szorstkim:

— Nie spałaś przecież do tej pory. Jak tylko usłyszałaś moje kroki, zaczęłaś udawać, że śpisz. Wymigujesz się!

Wyciągnął przed siebie rękę, lecz nim zdążył dotknąć kontaktu, zalał go strumień światła; nastąpiło to tak nagle i nieoczekiwanie, że aż podskoczył.

Spostrzegł, że ręka jego była zaledwie o kilka cali od kontaktu; nie nacisnęli go jednak równocześnie. Właśnie czyjaś ręka cofała się po ścianie. Oczy jego pobiegły wzdłuż rękawa marynarki i zatrzymały się na twarzy mężczyzny.

Zaniepokojony odwrócił się, ale wyrósł przed nim drugi mężczyzna. Instynktownie zrobił pół obrotu i okazało się, że tuż za nim stoi trzeci. Wszyscy trzej stali obojętnie i nieruchomo jak posągi, otaczając go półkolem.

Przez moment był tak oszołomiony tą potrójną, śmiertelnie cichą zjawą, że rozejrzał się po pokoju, szukając jakiegoś znaku czy wskazówki na potwierdzenie, iż naprawdę wszedł do swojego mieszkania.

Oczy jego spoczęły na ciemnoniebieskiej lampie stojącej na stoliku pod ścianą. Tak, to jego lampa. Niskie plecione krzesło w rogu — też jego. Dalej fotografie na biurku. Z jednej ramki spoglądała twarz pięknej dziewczyny o wydatnych ustach i łagodnych oczach, z burzą falujących włosów; drugie zdjęcie było jego. Dwie twarze spoglądały w przeciwnych kierunkach, pełne rezerwy, jedna daleko od drugiej.

A więc wrócił do swojego domu.

To on pierwszy zaczął mówić. Zdawało się, że oni nie odezwą się nigdy i że będą tak stać i przyglądać mu się całą noc.

— Co panowie robią w moim mieszkaniu? — wybuchnął. Nie odpowiedzieli.

— Kim jesteście? Milczenie.

— Czego tu chcecie? Jak się tu dostaliście? — A jednocześnie znów ją zawołał, domagając się niejako wyjaśnienia ich obecności. Ale drzwi,

w kierunku których obrócił głowę, znajdujące się tuż przy przedpokoju, pozostały zamknięte. Zagadkowo, skrycie zamknięte. Wreszcie przemówili. Spojrzał w ich stronę.

— Czy to pan jest Scott Henderson? Półkole zacieśniło się nieco.

— Tak. — W dalszym ciągu patrzył na zamknięte drzwi. — Co to znaczy? Co się tu stało?

Lecz oni z niezmiennym, doprowadzającym do pasji uporem zadawali pytania, zamiast odpowiadać.

— Mieszka pan tutaj, prawda?

— Oczywiście.

— I jest pan mężem Marcelli Henderson?

— Tak, ale chciałbym wiedzieć, o co właściwie chodzi.

Jeden z mężczyzn zrobił znaczący ruch ręką, ale Henderson nic nie zrozumiał. Uświadomił to sobie dopiero po fakcie.

Spróbował podejść do drzwi, ale jeden z nich zastąpił mu drogę.

— Gdzie ona jest? Czy wyszła?

— Nie, nie wyszła, panie Henderson — odpowiedział spokojnie.

— Więc skoro tam jest, dlaczego nie wychodzi? — pytał coraz bardziej rozgorączkowany. — Mówcie! Słyszycie? Powiedzcie coś!

— Ona nie może wyjść, panie Henderson.

— Chwileczkę, ale czy to, coście mi teraz pokazali, to policyjna odznaka?

— Panie Henderson, niechże się pan nie denerwuje. — Wszyscy czterej zdawali się wykonywać jakiś zbiorowy taniec. Henderson przesunął się trochę w lewo, oni także, on w prawo, i oni w prawo.

— Nie denerwować się... Ale ja chcę wiedzieć, co się stało! Okradziono nas?

Zdarzył się jakiś wypadek? Może przejechał ją samochód? Puśćcie mnie, muszę tam wejść, rozumiecie!...

Ale oni mieli trzy pary rąk, on tylko jedną. I kiedy już zdawało się, że radzi sobie z jedną parą, dwie pozostałe zaraz przychodziły jej na pomoc. Wpadł w gorączkowe podniecenie. Gotów był za chwilę podnieść pięści. Ciszę pokoju wypełniały przyśpieszone oddechy czterech mężczyzn.

— Ja tu mieszkam! To jest mój dom! Co to ma znaczyć? Jakim prawem zabraniaacie mi wejść do sypialni mojej żony?

Wreszcie zrezygnowali. Środkowy dał znak temu, który stał blisko drzwi, i z nutą niechętnego pobłażliwości rzekł:

— Joe, niech wejdzie!

Ręka przytrzymująca drzwi opadła tak nagle, że Henderson przestąpił próg pokoju, chwiejąc i potykając się z lekka.

Wszedł do przybytku subtelnego piękna i miłości. Pokój utrzymany był w tonie błękitnoperłowym. W powietrzu unosił się znany mu zapach. Lalka w szeroko rozpostartej błękitnej krynolinie patrzyła na niego z toaletki oczami rozszerzonymi trwogą. Jeden z dwu kryształowych pręcików, podpierających niebieskie jedwabne abażury, leżał teraz w poprzek jej kolan. Na dwu łózkach niebieskie satynowe narzuty. Jedna równa i gładka jak tafla lodowa, druga otulająca jakiś kształt, jakby kogoś śpiącego czy może chorego, od stóp do głów okrytego materia, spod której u wezglowia łóżka wysuwało się kilka brązowych pukli wijących się włosów. Zatrzymał się raptownie. Na twarzy jego pojawił się wyraz bezgranicznego przerażenia.

— Ależ ona... dna chyba coś sobie zrobiła! Och, to głuptas!

W panice spojrział na nocną szafkę pomiędzy łózkami, ale nie dostrzegł tam ani szklanki, ani buteleczki, ani też pudełka po proszkach. Szedł w stronę łóżka na uginających się nogach. Pochylił się nad nią i wyczuwszy pod narzutą jej ramię, potrząsnął nim mocno, wołając:

— Marcello, co z tobą!

Weszli za nim do pokoju. Miał nieodparte wrażenie, że obserwują go i notują wszystko, cokolwiek robi. Ale w tej chwili oprócz niej nic go nie obchodziło.

Trzy pary oczu obserwowały, jak palce Hendersona posuwają się po narzucie, zatrzymują, a potem uchylają jej róg.

Przez chwilę — krótką, straszną, nieprawdopodobną — serce nieomal zamarło mu w piersiach, gdy zobaczył jej uśmiech. Uśmiechała się jakimś trupim grymasem zastygłym na wargach. Włosy rozsypały się po poduszce na kształt rozpostartego wachlarza.

Czyjeś ręce odciągnęły go. Cofał się, wlokąc nogę za nogą.

Narzuta opadła i twarz zniknęła na dobre — na zawsze.

— Ja przecież nie chciałem *tego*... Ja... ja nie spodziewałem się *tego*... — mówił załamującym się głosem.

Trzy pary oczu wymieniły spojrzenia, notując wszystko na kartkach pamięci. Poprowadzili go do przyległego pokoju, w kierunku kanapy. Usiadł zaraz. Jeden z nich cofnął się i zamknął drzwi.

Henderson siedział tak, przysłoniwszy oczy dłonią, jakby raziło go zbyt ostre światło. Udawali, że nie patrzą na niego. Jeden stał przy oknie, spoglądając w próżnię, drugi przy stoliku przerzucał kartki pisma. Naprzeciwko Hendersona przysiadł trzeci, ale też zajęty był pilnie wydlubowaniem brudu zza paznokci. Sądząc po minie, w danym momencie była to dla niego sprawa najistotniejsza. Henderson odjął rękę od oczu. Przyłapał się, że spogląda na jej zdjęcie. Patrzyła na niego. Wyciągnął rękę i zasłonił fotografie.

Trzy pary oczu wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

Brzemienna ołowiem cisza zdawała się coraz bardziej przygniatać ich swym ciężarem. W końcu ten, który siedział naprzeciwko Hendersona, przerwał milczenie:

— Chcielibyśmy pomówić z panem.

— Może za chwilę — odparł cicho. — Jestem tak oszołomiony... Mężczyzna siedzący w fotelu pokiwał głową ze zrozumieniem. Ten, który stał przy oknie, nadal gdzieś patrzył, a trzeci nie przestawał oglądać pism. Wreszcie Henderson przetarł kąciki oczu i odezwał się po prostu: — Już przeszło. Możecie, panowie, zaczynać.

Zaczęli tak towarzysko i tak bezceremonialnie, że nawet trudno powiedzieć, czy w ogóle to nastąpiło. Można rzec, że była to taktowna pogawędka, mająca pomóc im w wyświetleniu kilku podstawowych faktów.

— Ile pan ma lat, panie Henderson?

— Trzydzieści dwa.

— A pańska żona?

— Dwadzieścia dziewięć.

— Jak dawno po ślubie?

— Pięć lat.

— Pański zawód?

— Jestem pośrednikiem handlowym.

— O której wyszedł pan dziś z domu?

— Między wpół do szóstej a szóstą.

— Czy nie potrafi pan bliżej określić czasu?

— Owszem, mogę. Tylko nie potrafię powiedzieć co do minuty, o której zamknąłem drzwi za sobą. Powiedzmy, między za kwadrans a za pięć szóstą. Przypominam sobie, że gdy doszedłem do rogu, zegar z kapliczki w sąsiedztwie bił szóstą.

— Ach, tak. Był pan już po kolacji?

— Nie. — I po ułamku sekundy: — Nie zjadłem nic.

— W takim razie jadł pan poza domem?

— Tak.

— Sam?

— Ani w domu, ani z żoną.

Mężczyzna przy stoliku przestał przeglądać pisma, ten przy oknie zaś interesować się widokiem, od strony fotela rozległ się głos trzeciego, który mówił z pełną taktu, przesadną emfazą, jakby obawiał się obrazić indagowanego:

— No, ale chyba nie miał pan zwyczaju stale jadać poza domem, i do tego bez żony?

— Nie, nie miałem.

— W takim razie, skoro pan tak mówi, dlaczego właśnie dziś pan to zrobił?

Detektyw, nie patrząc na niego, zajęty był strząsaniem popiołu z papierosa do popielniczki.

— Dziś wieczór postanowiliśmy oboje zjeść poza domem. Ale w ostatniej chwili żona powiedziała, że niedobrze się czuje, że boli ją głowa, więc poszedłem sam.

— A może pokłóciliście się?

Tym razem zadano pytanie prawie niedosłyszalnie, wręcz zdawkowo.

— Troszkę. Wie pan, jak to bywa — odpowiedział takim samym tonem Henderson.

— Oczywiście. — Detektyw zdawał się doskonale orientować, jak wyglądają takie małżeńskie sprzeczki. — Ale chyba nic poważnego, prawda?

— W każdym razie nic takiego, co by ją skłoniło do tego czynu, jeśli to pan ma na myśli... — Przerwał i z budzącą się nagle czujnością zadał pytanie: — Co to właściwie było? Jeszcze mi nie powiedzieliście... Co było przyczyną...?

W tym momencie otworzyły się drzwi wejściowe i Henderson urwał raptownie. Patrzył osłupiały, dopóki nie zamknęły się drzwi sypialni. Po chwili uniósł się z kanapy.

— Czego *oni* tu chcą? Kto to jest? Co tam robią?

Detektyw wstał z fotela i położywszy mu rękę na ramieniu, posadził go z powrotem na kanapie. Zrobił to nie dlatego, by wyrzucić presję, lecz raczej w odruchu współczucia.

Mężczyzna przy oknie, odwracając się, zauważył:

— Trochę pan zdenerwowany, panie Henderson, prawda? Jakaś naturalna, instynktowna godność, która tkwi w każdym człowieku, przysła Hendersonowi z pomocą.

— Jakże mogę nie być zdenerwowany? — W głosie jego brzmiała gorzka nagana.

— Przecież wróciłem do domu i stwierdziłem, że żona nie żyje.

A więc w końcu to wypowiedział.

Interlokutor przy oknie najwyraźniej nie miał nic do dodania.

Drzwi sypialni otworzyły się ponownie. Panowało tam jakieś dziwne zamieszanie. Oczy Hendersona, rozszerzone przerażeniem, wolno powędrowały w stronę przedpokoju. Tym razem zdołał podnieść się na nogi, dokonawszy spazmatycznego zrywu.

— Nie, nie w ten sposób! Spójrzcie, co oni robią! Jak worek kartofli! I te jej piękne włosy szargają po podłodze. Tak o nie dbała!

W jego stronę wyciągnęły się ręce i przytrzymały go. Doszło ich stłumione trzaśnięcie drzwi wejściowych. Z pustej sypialni doleciał go lekki zapach, zdając się mówić: „Pamiętasz? Pamiętasz, jak mnie kochałeś?”

Gwałtownie usiadł na kanapie i ukrył twarz w drżących dłoniach. Ciszę pokoju wypełnił jego głośny, przyspieszony oddech. Odejmując ręce od twarzy, powiedział z bezradnym zdumieniem:

— A zawsze myślałem, że mężczyźni nie płaczą...

Detektyw z *vis-à-vis* podsunął mu papierosa i podał ogień. W blasku zapalniczki zabłyśły oczy Hendersona.

Nie wiadomo, czy dlatego, że śledztwo zostało przerwane, czy może temat się wyczerpał, dość że nie zadawano już więcej pytań. Rozmowę prowadzono dalej na tematy nieistotne, błahe, po prostu dla zabicia czasu, ot tak, aby tylko coś powiedzieć.

— Elegancko się pan ubiera, panie Henderson — mówił od niechcienia detektyw siedzący w fotelu.

Henderson spojrział na niego omal z pogardą i nic nie odpowiedział.

— To wielka sztuka tak umieć sobie wszystko dobrać.

— Sztuka sama w sobie — przyłączył się do rozmowy ten, który do niedawna tak pilnie przeglądał pisma.

— Skarpetki, koszula, chusteczka w kieszonce...

— Wszystko oprócz krawata — rozległ się głos od strony okna.

— Ale dlaczego musimy teraz dyskutować na takie tematy? — nieśmiało zaprotestował Henderson.

— Powinien być granatowy, tak jak wszystko, prawda? To aż rzuca się w oczy. Nie jestem specjalnie czuły na tym punkcie, ale jak patrzę, to aż mi się tam... — Po czym niewinnie ciągnął dalej: — Że też pan mógł pomylić się w tak ważnej sprawie, jak dobór krawata, skoro nie zapomniał pan o innych szczegółach garderoby. Czyżby nie miał pan granatowego krawata?

Henderson zaprotestował prawie że błagalnie: — Do czego, panowie, zmierzacie?

Czy nie możecie zrozumieć, że nie potrafię mówić o takich błahostkach, jak...

Powtórzono pytanie tym samym bezbarwnym głosem:

— Czy rzeczywiście nie ma pan granatowego krawata? Henderson przesunął ręką po włosach.

— Chyba chcecie doprowadzić mnie do szaleństwa! — Mówił bardzo spokojnie, chociaż te rozmówki przekraczały granice jego wytrzymałości. — Owszem, mam granatowy krawat. Powinien wisieć w szafie na wieszaku.

— Jak to się stało, że ubierając się, zapomniał pan o nim? Przecież aż prosi się o ten krawat! — Detektyw rozłożył ręce rozbijającym gestem. — Z pewnością zawiązał go pan; ale potem, w ostatniej minucie, zmienił pan zamiar i założył ten, który ma pan w tej chwili na sobie.

— Ale cóż to za różnica? Dlaczego przywiązujecie do tego taką wagę? —

Henderson nieznacznie podniósł głos. — Moja żona nie żyje! Jestem zdruzgotany. I co za różnica, jakiego koloru mam krawat...

Lecz pytania padały niepowstrzymanie, jak krople wody, jedno po drugim.

— Czy jest pan pewien, że nie zakładał go pan na początku, a potem nie zmienił zamiaru?...



— Tak, jestem pewien. Wisi tam na wieszaku — odpowiedział Henderson zduszonym głosem.

Detektyw powiedział otwarcie:

— Nie, nie wisi na wieszaku. Dlatego właśnie pytam. Wie pan, na tym podłużnym wieszaku, co trochę przypomina grzbiet ryby! Ustaliliśmy, na której poprzeczce wisiał ten krawat, bo to była jedyna pusta poprzeczka. Do tego jeszcze najniższa w całej tej drabince. Innymi słowy, wszystkie krawaty zwisające z górnych poprzeczek musiały go całkowicie zakrywać. Widzi więc pan, że ten krawat wyciągnięto spod innych, co oznacza, że musiał go pan specjalnie wybrać, a nie wziąć pierwszy lepszy z wierzchu. Zastanawia mnie tylko, dlaczego, zadawszy sobie trud, żeby wyciągnąć go spod spodu, nagle zmienił pan zamiar i włożył z powrotem ten, w którym chodził pan przez cały dzień, a który wcale nie pasuje do wieczorowego garnituru?

Henderson trzepnął się boleśnie w czoło wierzchem dłoni. Poderwał się z miejsca.

— Dość! Dłużej tego nie zniosę! Mówcie, co macie do powiedzenia, i skończcie z tym wreszcie! Jeśli nie wisi na wieszaku, to gdzie wobec tego jest? Ja go nie wkładałem. Gdzie jest? Mówcie, jak wiecie! A właściwie co za różnica, gdzie jest.

— O, i to wielka różnica, panie Henderson.

Zaległa długa cisza. Henderson pobladł, nim jeszcze usłyszał następne słowa.

— Był mocno zaciśnięty na szyi pańskiej żony, tak mocno, że pozbawił ją życia i żeby go zdjąć, trzeba było posłużyć się nożem.

### ***3. Sto czterdziesty dziewiąty dzień przed egzekucją***

#### **Swit**

Potem posypały się tysiące pytań... Błady świt przeniknął już przez szyby i zmienił wygląd pokoju, mimo że wszystko pozostało takie samo, nawet ludzie. Mogłoby się wydawać, że odbywała się tutaj cała noc

na zabawa. Stosy niedopałków wysypywały się nie tylko z popielniczek, ale z każdego niemal naczynia. Ciemnoniebieska lampa stała na swoim miejscu, ale dziwnie wyglądała w brzasku poranka, rozsiewając przytłumione światło. I fotografie znajdowały się tam, gdzie dotąd, tylko że jej nie była teraz odbiciem prawdy, a po prostu podobizną kogoś, kto już nie istnieje.

Wszyscy wyglądali i zachowywali się jak po przepiciu. Pozdejmowali marynarki i kamizelki, porozpinali kołnierzyki u koszul. Jeden poszedł do łazienki, żeby orzeźwić się trochę zimną wodą. Poprzez uchylone drzwi dochodziło jego prychnięcie. Dwaj pozostali detektywi palili papierosy i nieustannie krążyli po pokoju. Tylko Henderson był spokojny. Całą noc przesiedział na sofie. Miał wrażenie, że spędził na niej życie i że poza tym pokojem nigdzie nie był. Ten w łazience, nazwiskiem Burgess, stanął w drzwiach. Chyba zanurzył całą głowę w umywalce, bo wyciskał wodę z włosów.

— A gdzie są w tym domu ręczniki? — spytał Hendersona z dość zaskakującą bezpośredniością.

— Ja też nigdy nie mogłem znaleźć ręcznika na wieszaku — powiedział Henderson ze smutkiem. — Ona... po prostu za każdym razem mi podawała i do dziś nie wiem, gdzie się znajdują.

Detektyw rozglądał się bezradnie, a woda skapywała na próg.

— Pozwoli pan, że wytrę się w zasłonę od prysznica? — spytał.

— Proszę bardzo — odparł Henderson ze wzruszającą gorliwością. Znowu posypały się pytania. I tak cały czas. Ilekroć zdawało się, że już wreszcie koniec, wszystko zaczynało się od początku.

— Przecież nie poszło o bilety do teatru? Dlaczego upiera się pan przy tym i chce, żebyśmy w to wierzyli?

Henderson podniósł oczy na detektywa, ale okazało się, że to nie on zadał pytanie. Przyzwyczajony był, że jeśli ktoś do kogoś mówi, to jednocześnie na niego patrzy. Tymczasem mówił to inny detektyw, wcale na niego nie patrząc.

— Ależ tak. Jak mogę podawać inne powody, skoro ich nie było? Czy naprawdę nigdy nie słyszał pan, żeby się dwoje ludzi posprzeczało z powodu biletów do teatru? Zdarza się tak, przyzna pan.

Do rozmowy wtrącił się drugi detektyw:

— Już dosyć tego, Henderson. Niechże pan zostawi te brednie. A co z tamtą?

— O kim pan mówi?

— Może wreszcie pan z tym skończy — powiedział zniecierpliwiony detektyw. — Znow musimy się cofnąć w śledztwie, i to do momentu, przy którym byliśmy ze dwie godziny temu, tak około czwartej nad ranem. Co może pan powiedzieć o tamtej?

Henderson ze znużeniem przeczesał palcami włosy, głowa opadła mu bezradnie. Z łazienki wyszedł Burgess, wpychając koszulę za pasek. Wyjął z kieszeni zegarek i zapiął go na rękę. Spojrzał na niego od niechcienia, po czym, jak gdyby bezwiednie, skierował się do przedpokoju. Musiał chyba telefonować, bo słyhać było, jak mówi: — W porządku, Tierney. — Nikt nie zwracał na to uwagi, a już najmniej Henderson. Siedział wpatrzony w dywan i prawie usypiał z otwartymi oczami. Burgess wrócił i kręcił się po pokoju, jakby nie wiedział, co ze sobą zrobić. W końcu stanął przy oknie. Rozsunął trochę zasłony, żeby wpuścić więcej światła. Na parapecie siedział ptaszek i przechylił porozumiewawczo główkę. Burgess zwrócił się do Hendersona:

— Proszę podejść do okna. Co to za ptak? — Ponieważ Henderson się nie poruszył, dodał przynaglająco: — Niechże się pan pospieszy, bo ucieknie. — Tak jakby to była najważniejsza sprawa na świecie.

Henderson podniósł się i stanął obok detektywa, tyłem do pokoju.

— Wróbel — oznajmił krótko.

Spojrzał na Burgessa wymownie, jakby chciał mu powiedzieć: „Nie o to przecież panu chodziło”.

— Tak też myślałem — przyznał Burgess i żeby go zatrzymać przy oknie, dodał: — Całkiem ładny stąd widok.

— Może go pan sobie zabrać razem z tym ptakiem — odparł z goryczą Henderson. Zapanowała znacząca cisza. Ustały wszelkie pytania.

Henderson odwrócił się i stanął jak wryty. Na sofie siedziała dziewczyna, dokładnie w tym samym miejscu, co on przed chwilą. Wcale nie było słyhać, jak weszła. Ani drzwi nie skrzypnęły, ani nie zaszeleściła jej sukienka.

Sposób, w jaki trzej detektywi utkwili oczy w jego twarzy, powinien był krwią zabarwić mu policzki. Ale zebrał się w sobie, opanował. Czuł, że twarz jego zastygła w maskę, i pilnował, by nie drgnęła.

Dziewczyna spojrzała na niego, on na nią. Była ładna, miała urodę typowo anglosaską, jakiej już dziś się nie spotyka; oczy niebieskie, włosy w kolorze karmelu, proste, szesane na czoło, z wyraźnym przedziałkiem, jaki miewają tylko mężczyźni. Płaszcz z wielbłądziej wełny narzuciła na ramiona, była bez kapelusza, a w rękę trzymała torebkę. Jeszcze młoda, w tym wieku, kiedy to wierzą one w miłość i ufają mężczyznom. A może jest idealistką i zawsze będzie wierzyć? Można ją było o to posadzić, widząc, z jakim uwielbieniem na niego patrzy.

Zwilżył wargi i ledwie dostrzegalnie skłonił głowę, jak przed daleką znajomą, której nie chciałby okazać lekceważenia, ale nie może sobie przypomnieć, jak się nazywa ani nawet w jakich okolicznościach ją poznał.

Potem wydawało się, że przestał na nią zwracać uwagę. Stojący za nim Burgess musiał dać jakiś tajemniczy znak detektywom, bo nagle zostali tylko we dwoje. Chciał ją uprzedzić, żeby się nie zbliżała, ale nie zdążył. W kącie sofy pozostał tylko płaszcz po niej, składający się powoli. Ona sama pomknęła do niego jak strzała. Próbował się usunąć, odskoczyć na bok.

— Daj spokój. Bądź ostrożniejsza. Przecież na to tylko czekają. Na pewno podsłuchują każde nasze słowo.

— Nie mam się czego obawiać. — Chwyciła go za ramię i potrząsnęła lekko. — A ty? A ty? Odpowiedz!

— Przez całe sześć godzin starałem się, żeby nie wplątać ciebie w tę historię. Jak to się stało? Skąd się o tobie dowiedzieli? — Uderzył się mocno po ramieniu. — Dałbym sobie uciąć prawą rękę, żeby ciebie w to nie wciągnęli.

— Aleja chcę być w tym wszystkim, skoro ty musisz. Widzę, że nie znasz mnie dobrze.

Pocałunek powstrzymał go od dalszych słów. Po chwili znów zwrócił się do niej:

— Pocałowałaś mnie, zanim się dowiedziałas, czy...

— O nie, na pewno nie! — powiedziała z całym przekonaniem, z ustami tuż przy jego twarzy. — Nie mogłabym się tak pomylić. To niemożliwe. Gdybym miała być aż tak naiwna, moje serce należałoby umieścić w instytucie dla niedorozwiniętych. Ale moje serce się nie myli.

— Powiedz więc swojemu sercu, że ma rację — odezwał się smutno. — Nie czułem nienawiści do Marcelli. Po prostu nie kochałem jej na tyle, żeby z nią żyć, i to wszystko. Ale nigdy bym jej nie zabił. Nikogo bym nie zabił... nawet mężczyzny... Skryła głowę na jego piersi z wdzięcznością.

— Nie musisz mi tego mówić. Doskonale pamiętam twoją twarz, jak szliśmy kiedyś ulicą i pies się do nas przybłąkał. Albo jak zobaczyłeś konia zaprzęgniętego do ciężkiej platformy. Teraz jednak nie pora mówić o takich rzeczach. Ale jak myślisz, za co cię kocham? Za to, że jesteś przystojny? Chyba tak nie myślisz? Albo taki miły, wytworny? — Uśmiechał się, głaszcząc jej włosy, a od czasu do czasu wtulając w nie usta. — To, za co cię kocham, jest skryte tak głęboko, że tylko ja to widzę. Jesteś taki dobry, taki wspaniały... Ale to wszystko jest wewnątrz, ja jedna o tym wiem i chowam to dla siebie.

Podniosła głowę, a oczy miała wilgotne od łez.

— Och, nie płacz — powiedział łagodnie. — Niewart jestem tego.

— Już cię oszacowałam, więc nie obniżaj tej ceny — zganiała go. Spojrzała na drzwi, o których oboje zapomnieli, i twarz jej lekko spo-chmurniała. — A co oni? Czy posądzają, że...?

— Chyba w pięćdziesięciu procentach tak, przynajmniej jak dotąd. Inaczej nie wypytywaliby mnie tak długo. Ale w jaki sposób ciebie w to wciągnęli?

— Po powrocie dowiedziałam się, że dzwoniłeś o szóstej. Strasznie nie chciałam kłaść się spać, nie wiedząc, jak się wszystko skończy, więc zadzwoniłam do ciebie około jedenastej. Oni już tu byli i zaraz przysłali jednego do mnie. Od tej pory zresztą cały czas któryś mnie pilnował.

— To okropne, żeby tak całą noc nie dać ci się przespać — odezwał się z urazą w głosie.

— I tak bym nie spała, wiedząc, jakie masz kłopoty. — Palce jej wygładziły zmarszczkę na jego twarzy. — Tylko jedna rzecz jest teraz istotna. Wszystko inne nie ma znaczenia. To się wyjaśni, to się musi wyjaśnić. Przecież muszą w końcu wykryć sprawcę. Co już im powiedziałaś?

— O nas? Nic. Staralem się nie wspominać o tobie.

— A więc tu pewnie tkwi przeszkoda. Przecież doskonale wiedzieli, że coś ukrywasz. Ale skoro już i tak jestem wplątana, chyba lepiej będzie wszystko im powiedzieć? Nie mamy się czego wstydzić ani oba-

wiać. Im prędzej wszystko wyjawisz, tym prędzej się to skończy. A zresztą, prawdopodobnie z mojego zachowania już zdążyli się zorientować, co nas łączy... Urwała. Burgess wrócił do pokoju. Wyglądał na człowieka zadowolonego z siebie, bo wreszcie dopiął swego. Zaraz za nim weszli dwaj pozostali detektywi i Henderson zdążył zauważyć, że Burgess mrugnął do jednego porozumiewawczo. — Na dole czeka auto, które odwiezie panią do domu, panno Rich-man. Henderson ruszył w stronę Burgessa. — Czy nie można by w tym wszystkim jakoś pominąć panny Richman? Ona naprawdę nie ma z tym nic wspólnego. — Zależy to tylko i wyłącznie od pana — odparł Burgess. — Sprowadziliśmy pannę Richman dlatego, że musieliśmy panu przypomnieć pewne... — Powiem wszystko, co tylko wiem i co tylko mogę powiedzieć — zapewnił szczerze Henderson — jeżeli przyrzeknie mi pan, że nie będą jej napastować dziennikarze, że jej nazwisko nie dostanie się do gazet i nie narobią wokół tego wielkiego szumu. — Ale pod warunkiem, że wyzna pan całą prawdę — odparł Burgess. — Oczywiście, wyznam wszystko. — Zwrócił się teraz do niej łagodniejszym nieco głosem: — Idź już, Carol! Prześpij się i nie martw, wszystko będzie dobrze. Pocałowała go w obecności detektywów, jakby była dumna ze swego uczucia i chciała, żeby oni to widzieli. — Odezwiesz się? Dasz mi znać, jak tylko będziesz mógł, jeszcze dzisiaj, dobrze? Burgess poszedł za nią i zwrócił się do policjanta stojącego na posterunku przy drzwiach: — Powiedz Tierneyowi, że nikomu nie wolno zbliżać się do tej młodej damy. Nie podawać jej nazwiska, nie udzielać informacji ani odpowiedzi na żadne pytania. — Dziękuję — powiedział z wdzięcznością Henderson, kiedy Burgess wrócił. — Poczciwy z pana chłop. Detektyw spojrzał na niego, wcale nie okazując, że go to obeszło. Usiadł, wyjął notatnik, przekreślił dwie albo trzy gęsto zapísane stronicie i zaczął od czystej kartki.

— Zaczynamy? — spytał.

— Zaczynamy — zgodził się Henderson.

— A więc powiedział pan, że się posprzeczaście. Czy obstaje pan przy tym?

— Tak.

— Z powodu biletów do teatru?

— Z powodu biletów do teatru i rozwodu, tak naprawdę.

— Ach, to się jeszcze dołącza? Były więc kiepskie stosunki w domu?

— Właściwie żadne, ani dobre, ani złe. Można to raczej nazwać zobojętnieniem. Już kiedyś prosiłem ją o rozwód. Wiedziała o panie Richman. Mówiłem jej. Nic nie ukrywałem. Chciałem załatwić wszystko uczciwą drogą. Odmówiła mi. Porzucać jej nie chciałem, bo zależało mi, żeby panna Richman została moją legalną żoną. Staraliśmy się być od siebie jak najdalej, ale to było piekło, nie mogłem już tego dłużej znosić. Czy to wszystko panu potrzebne?

— Bardzo.

— Przedwczoraj wieczorem rozmawiałem na ten temat z panną Richman.

Wiedziała, że mam już tego dosyć. W pewnym momencie zwróciła się do mnie:

„Pozwól, może ja spróbuję z nią pomówić”. Nie zgodziłem się. Poradziła mi więc:

„Spróbuj sam jeszcze raz. Ale teraz inaczej. Porozmawiaj z nią rozsądnie, postaraj się ją przekonać”. Nie należało to do najprzyjemniejszych rzeczy, ale w końcu się zdecydowałem.

Rano zarezerwowałem telefonicznie stolik na dwie osoby w lokalu, gdzie dawniej często bywaliśmy. Kupiłem też dwa bilety do teatru, pierwszy rząd, miejsca boczne. Prawie w ostatniej chwili zrezygnowałem z pożegnalnego spotkania z moim najlepszym przyjacielem. Nazywa się Jack Lombard, wyjeżdża na kilka lat do Ameryki Południowej. To była moja ostatnia możliwość, żeby się z nim zobaczyć przed odjazdem. Ale nie chciałem odstąpić od pierwotnego zamiaru i za wszelką cenę postanowiłem być dla niej miły.

Kiedy jednak wróciłem do domu, nic z tego nie wyszło. Nie była skłonna do żadnego porozumienia. Odpowiadało jej to, co było, i nie miała zamiaru niczego zmieniać. Złość mnie ogarnęła, przyznaję. Wybuchnąłem. Czekiła do ostatniej chwili — aż się wykąpie i zmienię ubranie. A potem usiadła i roześmiała się.

„Dlaczego to z *nią* nie idziesz?”

— zaczęła dogadywać. — Po cóż masz na mnie tracić pieniądze?" Z miejsca więc, przy niej, zatelefonowałem do panny Richman.

Ale nawet i tej satysfakcji mieć nie mogłem. Nie było jej w domu. Marcella zaśmiewała się. Dotknęło mnie to do żywego.

Wie pan chyba, jak człowiek się czuje, kiedy ktoś się z niego wyśmiewa. Całkiem jak głupi. Byłem tak rozdrażniony, że nie wiedziałem, co robię. Krzyknąłem: „Wychodzę, pójdę z pierwszą lepszą dziewczyną, jaka się tylko napatoczy, byleby miała wysokie obcasy i była uczesana". I wcisnąwszy na głowę kapelusz, trzasnąłem za sobą drzwiami.

Głos jego urwał się jak tykanie nie nakręconego zegara.

— I to wszystko. Nic więcej nie mogę już dodać, nawet gdybym chciał. Bo to jest prawda, a prawdy nie da się ulepszyć.

— A potem, gdy pan wyszedł, wszystko było tak samo, jak pan mówił? — spytał Burgess.

— Tak samo. Z tą tylko różnicą, że nie byłem sam. Zrobiłem tak, jak powiedziałem, wychodząc. Podszedłem do jakiejś dziewczyny i zaprosiłem ją. Przyjęła zaproszenie i spędziłem z nią cały wieczór. Rozstaliśmy się na jakieś dziesięć minut przed moim powrotem do domu.

— O której mniej więcej godzinie pan ją spotkał?

— Parę minut po wyjściu z domu. Wstąpiłem do jakiegoś baru na Pięćdziesiątej Ulicy i tam właśnie ją spotkałem. — Zrobił nieokreślony ruch ręką. — Chwileczkę, właśnie sobie przypomniałem. Mogę podać dokładny czas. Oboje spojrzeliśmy na zegar, kiedy pokazywałem jej bilety do teatru. Było dokładnie dziesięć po szóstej. Burgess przesunął paznokciem po brodzie. — Co to był za bar?

— Nie mogę dokładnie określić. W tej chwili przypominam sobie tylko, że widziałem nad nim czerwony neon.

— Może pan udowodnić, że był pan tam rzeczywiście dziesięć po szóstej?

— Przecież już powiedziałem. Dlaczego? Dlaczego to takie istotne? Burgess odezwał się, wolno cedząc słowa:

— No cóż, mógłbym pana zwodzić, ale nie mam takiego zwyczaju. Zaraz to panu wyjaśnię. Pańska żona zmarła dokładnie *osiem po szóstej*. Kiedy padała, zegarek, który miała na ręku, uderzył o toaletkę i stanął dokładnie... — Odczytał z jakiejś kartki: — Szósta osiem i piętnaście sekund. — Znów ją odłożył. — A więc żadne stwo-



rzenie dwunożne ani nawet dwuskrzydłe nie mogłoby być tutaj w tym czasie, a w minutę i czterdzieści pięć sekund na Pięćdziesiątej Ulicy. Niech pan udowodni, że był tam dziesięć po szóstej, a wszystko będzie w porządku.

— Ale przecież tak było. Spojrzałem na zegar.

— To jeszcze nie dowód, to tylko niczym nie poparte oświadczenie.

— A jakie poparcie jest potrzebne?

— Dowody.

— Dlaczego jednak dowody muszą być stamtąd, czy tutejsze nie wystarczą?

— Wszystkie tutejsze dowody wskazują, że pan to zrobił. Inaczej nie siedzielibyśmy tu całą noc.

Dłonie Hendersona zwisły bezwładnie z kolan.

— Rozumiem — zaczerpnął oddech. — Rozumiem... Na chwilę pokój ogarnęła zupełna cisza. Wreszcie Burgess znowu się odezwał:

— Czy ta kobieta może potwierdzić, że był pan tam dziesięć po szóstej?

— Tak. Razem ze mną spojrzała na zegar. Musi pamiętać. Tak, ona może potwierdzić.

— Doskonale, o to właśnie chodzi. Załóżmy, że nam to wystarczy, że będzie zeznawać w dobrej wierze i że nie przygotował jej pan uprzednio. Gdzie ona mieszka?

— Nie mam pojęcia. Rozstałem się z nią w tym samym barze, w którym ją spotkałem.

— A jak się nazywa?

— Też nie wiem. Nie pytałem, a sama mi nie mówiła.

— Nie powiedziała, jak ma na imię, choćby zdrobniale? Przecież był pan z nią przez sześć godzin, jakże się więc pan do niej zwracał?

— Per pani — odparł Henderson ponuro. Burgess znowu wyciągnął notatnik.

— A więc niech pan opisz, jak wyglądała. Sami musimy ją odszukać i sprowadzić. Zapanowała długa cisza.

— No więc?

Twarz Hendersona z każdą minutą stawała się bledsza. Z trudem przełykał ślinę.

— Mój Boże, nie potrafię — wybuchnął w końcu. — Zupełnie jej nie pamiętam, całkiem zatarł mi się jej obraz. — Rozpaczliwym ruchem ręki zatoczył krąg tuż przed twarzą. — Pewnie mógłbym coś o niej powiedzieć, jak tylko wróciłem wieczorem, ale teraz nic nie pamiętam. Zbyt wiele się wydarzyło... Szok z powodu Marcelli, a potem wałkowaliście mnie przez całą noc. Tak jak na prześwietlonym filmie, zupełnie zatarł mi się jej obraz. Może dlatego, że zanadto byłem pochłonięty własnymi sprawami i nie bardzo się jej przyglądałem. — Patrzył po kolei na wszystkich, jakby szukając pomocy. — Mam całkowitą pustkę.

Burgess próbował mu pomóc:

— Niech się pan nie spieszy. Proszę się zastanowić. Może oczy? Henderson bezradnie rozłożył zaciśnięte do tej pory ręce.

— Nie? A może włosy? Co o włosach? Jakiego były koloru? Przycisnął ręce do oczu.

— I to też uleciało z pamięci. Już wydaje mi się, że wiem, jaki kolor, a zaraz widzę inny; kiedy chcę wymienić właśnie ten drugi, znowu wydaje mi się, że chyba ten pierwszy. Nie wiem, pewnie musiał być jakiś pośredni. Nie brązowy, nie czarny. Zresztą prawie stale miała włosy schowane pod kapeluszem. — W oczach jego zabłysł cień nadziei: — Najlepiej ze wszystkiego pamiętam kapelusz.

Pomarańczowy kapelusz, może to się na coś przyda? Tak, na pewno pomarańczowy.

— A jeżeli miała go na głowie tylko wczoraj wieczorem i przez następne pół roku nigdzie się w nim nie pokaże? Co wtedy? Czy o niej samej nic pan nie wie?

Henderson tarł skronie, beznadziejnie wyęzając pamięć.

— Była tęga? Szczupła? Wysoka? Niska? — zasypał go pytaniami Burgess.

Henderson przechylał się z boku na bok, jakby chciał od nich uciec.

— Nie mogę sobie przypomnieć. Nic nie pamiętam.

— Wydaje mi się, że coś pan kręci — odezwał się z kamiennym spokojem jeden z detektywów. — Przecież to było wczoraj wieczorem. Nie w zeszłym tygodniu ani w zeszłym roku.

— Ja nigdy nie miałem pamięci do twarzy, nawet kiedy byłem spokojny i nie nękały mnie żadne zmartwienia. Och, ona miała twarz, wydaje mi się...

— Naprawdę? — zadrwił detektyw, który przejął funkcję skrzydłowego. Henderson coraz bardziej się pograżał, bo niestety, myślał głośno, zamiast kontrolować swoje słowa.

— Wyglądała jak wiele innych kobiet, i to wszystko, co mogę o niej powiedzieć. To wystarczyło. Twarz Burgessa wydłużyła się, ale nie objawił żadnych cech okrucieństwa. Był niewątpliwie flegmatykiem. Zamiast jednak wsadzić pióro z powrotem do kieszeni, cisnął je z wściekłym rozmachem o ścianę, jakby rzucał do celu, po czym wstał i podniósł je. Twarz mu mocno poczerwieniała. Nałożył marynarkę i poprawił krawat.

— Chodźmy, chłopcy — rzucił gburowato — już czas na nas, robi się późno. — Zatrzymał się na moment w drzwiach do przedpokoju i mierząc Hendersona ostrym wzrokiem, warknął: — Za co nas pan uważa? Chce pan nas wystrychnąć na dudków? Spędza pan z kobietą bite sześć godzin, i to nie dalej jak wczoraj, a nie potrafi pan powiedzieć, jak wyglądała! Siedzi pan tuż obok niej przy barze, potem naprzeciwko niej przy stoliku, od przystawek aż po kawę, potem przez trzy godziny siedzi pan z nią w teatrze, jedzie razem taksówką w tę i z powrotem — a jej twarz jest dla pana białą plamą pod pomarańczowym kapeluszem! I łudzi się pan, że damy się na to złapać? Próbuje pan uraczyć nas bajką, zjawą, o której nic nie potrafi pan powiedzieć: ani jak się nazywa, ani jakiej jest budowy czy wzrostu, jakie ma włosy lub oczy. Absolutnie nic. A my mamy uwierzyć na słowo, że kiedy pańska żona została zamordowana, pana nie było w domu. Muszę powiedzieć, że nie budzi to zaufania. Dziesięcioletnie dziecko by się na tej grze poznało. Istnieją dwie możliwości. Albo nie był pan wcale z taką osobą, a po prostu zmyślił ją sobie, albo też, co jest bardziej prawdopodobne, widział ją pan w tłumie tego wieczoru i usiłuje nam pan teraz wmówić, że spędziliście ze sobą kilka godzin, kiedy tak wcale nie było. Najprawdopodobniej dlatego odtwarza pan teraz tak zamazany obraz i nie możemy znaleźć nitki, która by nas doprowadziła do kłębka.

— No, chodź pan — rozkazał Hendersonowi jeden z detektywów zgrzytliwym głosem. — Burgess nieczęsto się wścieka — dodał jakby żartobliwie — ale jak już, to porządnie.

— Jestem aresztowany? — zwrócił się Henderson do Burgessa, prowadzony w kierunku drzwi przez jednego z detektywów.

Burgess nie odpowiedział wprost. Odpowiedź zawierała się w poleceniu, jakie rzucił przez ramię trzeciemu detektywowi:

— Zgaś światło, Joe! Przez dłuższy czas nikomu nie będzie potrzebne.

#### ***4. Sto czterdziesty dziewiąty dzień przed egzekucją***

##### **Godzina osiemnasta**

Samochód stał przy rogu, gdy na niewidzialnej dzwonnicy zegar zaczął wybijać godzinę.

— No, nareszcie — odezwał się Burgess. Około dziesięciu minut czekali na to w samochodzie, nie wyłączając silnika.

Henderson, przebywający w areszcie śledczym, siedział teraz z tyłu między Burgessem a jednym z tych detektywów, którzy poprzedniego wieczoru i rano prowadzili dochodzenie i przesłuchanie w jego mieszkaniu.

Trzeci, którego nazywali Dutch, stał na chodniku przy samochodzie, pogrążony w pozornie bezmyślnym próżniactwie. Przyklęknął na chodniku, by zawiązać sznurowadło, gdy rozległo się pierwsze uderzenie zegara.

Wyprostował się.

Dzisiejszy wieczór niczym nie różnił się od poprzedniego. Znowu była ta sama godzina spotkań, niebo na zachodzie tak samo zabarwione czerwienią, wszyscy gdzieś spieszyli...

Henderson siedział między swoimi stróżami bez ruchu. Przyszło mu pewnie w tej chwili na myśl, ile zmian może nastąpić w ciągu kilku godzin.

Dom jego znajdował się zaledwie parę kroków dalej, za następnym rogiem, ale on już tam nie mieszkał; zajmował celę w więzieniu podległym głównej komendzie policji.

Zwrócił się teraz posepnie do Burgessa:

— To było trochę wcześniej. Doszedłem właśnie do wystawy z damską bielizną, kiedy rozległo się pierwsze uderzenie. Teraz, jak patrzę na nią i słyszę dzwon, znów sobie przypominam...

Burgess przekazał to mężczyźnie na chodniku.

— Zawróć do tego sklepu i stamtąd zaczynaj, Dutch! Tak. Świetnie, zaczynaj! Dzwon uderzył po raz drugi. Burgess pokręcił coś przy trzymanym w ręku stoperze. Wysoki, smukły, rudowłosy mężczyzna stojący na chodniku ruszył teraz naprzód. W tym samym momencie samochód zaczął wolno sunąć tuż obok niego. Dutch początkowo był trochę skrepowany, nogi jego poruszały się cokolwiek za sztywno, stopniowo jednak odprężył się.

— Jak z szybkością? — spytał po chwili Burgess.

— Wydaje mi się, że szedłem prędzej — odpowiedział Henderson. — Zauważyłem, że jak mnie coś gnębi, idę szybko, a wczoraj to chyba dobrze pędziłem.

— Większe tempo, Dutch! — rzucił Burgess. Dutch przyspieszył trochę. Rozległo się piąte, potem szóste i ostatnie uderzenie zegara.

— A jak teraz? — spytał Burgess.

— Chyba tak szedłem — przyznał Henderson.

Dojechali do skrzyżowania, na którym zatrzymało ich światło — ale nie Dutcha. Poprzedniego wieczoru Henderson zlekceważył światła. Samochód dogonił Dutcha w połowie drogi do następnej przecznicy.

Byli teraz na Pięćdziesiątej Ulicy. Minęli jedną przecznicę, potem drugą.

— Poznaje pan?

— Nie. A jeżeli tak, to coś tu się nie zgadza. Był bardzo czerwony, czerwiejszy niż ten. Cały chodnik, wyglądał jak pomalowany na czerwono.

Minęli trzecią przecznicę, potem czwartą.

— Widzi pan?

— Coś się nie zgadza.

Burgess odezwał się ostrzegawczym tonem:

— Niechże pan dobrze uważa. Przecież nie sposób tego tak długo przeciągać. W końcu nawet pańskie teoretyczne alibi okaże się nic

niewarte. Już powinien pan być w środku. Jest osiem i pół minuty po szóstej.

— Co za różnica, jeżeli i tak mi nie wierzycie! — powiedział Henderson sucho.

— Nie zaszkodzi dokładnie obliczyć, ile czasu zajęło panu przejście z domu do tego miejsca — wtrącił się mężczyzna siedzący obok Hendersona. — Może uda się nam określić, kiedy pan naprawdę tam zaszedł, a wtedy wystarczy po prostu dokonać odejmowania.

— Minęło dziewięć minut — obwieścił Burgess.

Henderson nisko pochylił głowę i uważnie obserwował z auta przesuwaną się wolno domy.

Przejechali koło nie zapalonego neonu. Henderson odwrócił się szybko.

— Jest! Myślę, że to tu, ale się nie pali. „Anselmo”, coś takiego, jestem prawie pewien. Tak, coś obcego...

— Wchodź, Dutch! — zawołał Burgess. Przyciśnięciem palca zatrzymał stoper. — Dziewięć minut, dziesięć i pół sekundy — oznajmił. — Na różne przeszkody, jak przeciskanie się przez tłum, przechodzenie na skrzyżowaniach, które nigdy nie bywa dwa razy takie samo, odchodzą te sekundy. Pozostaje dziewięć minut na przejście od rogu pańskiego domu do tego baru i jeszcze dodatkowo jedna minuta na dojście z mieszkania do rogu, gdzie usłyszał pan pierwsze uderzenie zegara. To już wypróbowaliśmy. Innymi słowy — mówił dalej, odwróciwszy się do Hendersona i uważnie patrząc na niego — musi pan znaleźć teraz sposób, by udowodnić, że wszedł pan do tego baru nie później jak *siedemnaście* minut po szóstej, a tym samym automatycznie oczyści się pan z zarzutu.

— Gdybym tylko znalazł tę kobietę, mógłbym udowodnić, że byłem w barze już dziesięć po szóstej — powiedział Henderson. Burgess otworzył drzwiczki auta.

— A więc chodźmy! — rzekł.

**Czy** widział pan kiedy tego mężczyznę? — spytał Burgess. Barman potarł podbródek.

— Wygląda mi na znajomego — przyznał. — Ale w moim zawodzie stale tylko ogląda się twarze, twarze, twarze...

Dali mu trochę czasu do namysłu.

Barman przyjrzał się Hendersonowi z przodu, następnie obszedł go i znów przyglądał mu się z drugiej strony.

Wreszcie, w dalszym ciągu pełen wątpliwości, powiedział:

— Nie wiem.

Burgess zauważył sentencjonalnie:

— Czasami rama tyleż jest warta, co obraz. Spróbujmy z innej beczki. Niech pan stanie za kontuarem, barmanie.

Wszyscy podeszli bliżej.

— Na którym stołku pan siedział, panie Henderson?

— Na jednym z tych tutaj. Zegar wisiał vis-à-vis mnie, a waza z precelkami stała z boku.

— Świetnie! Niech pan tu siada. A pan, barmanie, niech się zastanowi. Niech pan zapomni o naszej obecności i dobrze mu się przyjrzy.

Henderson zwiesił ponuro głowę, wpatrzony w kontuar jak poprzedniego wieczoru. Poskutkowało. Nagle barman strzelił palcami. — Oczywiście. Ponury Gucio. Teraz to sobie przypominam. I to nie dalej jak wczoraj. Należy do takich, co to wpadają na jednego i nie odsiadują zbyt długo, żeby się nie przyzwyczajać.

— A o jakiej to mogło być porze?

— Chyba w pierwszej godzinie mojej zmiany. Było jeszcze niedużo gości. Późno się wczoraj zaczęło. Ano, czasem i tak się zdarzy...

— A która to jest pierwsza godzina po zmianie?

— Od szóstej do siódmej.

— Ba, ale my chcemy wiedzieć, ile to było minut po szóstej. Barman potrząsnął głową.

— Przykro mi, panowie. Ja, niestety, na zegarek patrzę tylko pod koniec pracy, nigdy na początku. Mogła to być godzina szósta, może wpół do siódmej, a równie dobrze i za kwadrans siódma. Trudno mi powiedzieć.

Burgess spojrział na Hendersona, uniósłszy nieznacznie brwi, po czym znów zwrócił się do barmana:

— Proszę nam teraz powiedzieć coś o kobiecie, która w tym czasie też tu była.

Barman spytał z zastraszającą prostotą:

— O jakiej kobiecie?

Twarz Hendersona pokryła się śmiertelną bladością.

Burgess nieznacznym ruchem ręki nakazał mu milczenie.

— Nie widział pan, jak podszedł do tej kobiety i z nią rozmawiał?

— Nie, proszę pana, nie widziałem. Nie mogę przysiąc, ale, o ile się nie mylę, w barze nie było nikogo, z kim by rozmawiał...

— A czy widział pan siedzącą samotnie kobietę?

Henderson wskazał bezradnie o dwa stołki barowe dalej. — W pomarańczowym kapeluszu — powiedział, nim Burgess zdołał mu przeszkodzić.

— Proszę tego nie robić — ostrzegł detektyw.

Nagle z niewiadomego powodu barman zaczął objawiać zdenerwowanie.

— Zrozumcie, panowie, człowiek pracuje w tym zawodzie trzydzieści siedem lat.

Już rzygać się chce na widok tych cholernych gęb, noc po nocy tylko otwierających się i zamykających, i stale ululanych. Po coście tu przyszli? Żeby pytać, jakie kolory kapeluszy noszą albo czy się wzajemnie podrywają? Dla mnie ważne są tylko ich zamówienia, ich drinki, rozumiecie! Tylko drinki... Powiedzcie, co zamawiała, a powiem wam, czy była tutaj, czy nie. Trzymamy wszystkie rachunki. Mogę je wziąć od kierownika.

Wszyscy zwrócili teraz spojrzenia na Hendersona, który powiedział:

— Zamówiłem szkocką i wodę, jak zawsze. Muszę się chwilę zastanowić, żeby sobie przypomnieć, co ona zamawiała. Zostało jej już tylko na dnie.

Barman powrócił z metalowym pudełkiem. Henderson ciągnął dalej, pocierając czoło:

— Na dnie kieliszka leżała wiśnia.

— Jest sześć możliwości. Zaraz panu pomogę. Czy kieliszek był na nóżce, czy bez? A jaki kolor miał trunek? Jeśli to Manhattan, to ciemnozłoty i kieliszek na nóżce.

— Tak. Kieliszek, którym się bawiła, był na nóżce, ale płyn miał kolor, powiedziałbym, różowy — odparł Henderson.

— Jack Rose — ożywił się barman. — Mogę zaraz to sprawdzić. Zaczął przeglądać rachunki, co zajęło trochę czasu. Musiał ich sporo przerzucić, te wcześniejsze znajdowały się na spodzie.

— Bo widzicie, panowie, one są w bloczku ułożone po kolei i każdy numerowany u góry.



Henderson drgnął i pochylił się do przodu.

— Niech pan zaczeka — powiedział, z trudem chwytając powietrze — to mi coś przypomina. Pamiętam, że na moim kwicie też był numer. Trzynastka, pechowa cyfra. Pamiętam, że przyglądałem się jej, kiedy podawano mi rachunek.

Barman położył przed nimi dwa rachunki.

— Miał pan rację. Oto one. Ale na rachunku z trzynastką jest tylko jedna szkocka plus woda sodowa. A trzy razy Jack Rose na siedemdziesiątym czwartym. To rachunek ze zmiany popołudniowej, poznaję pismo Tommy'ego. I z tą kobietą musiał być jakiś drugi facet, bo zamawiał trzy razy Jack Rose i rum, a przecież nikt, kto ma trochę oleju w głowie, nie miesza tych dwóch trunków.

— A więc? — wtrącił delikatnie Burgess.

— A więc zrozumiałe, że nie pamiętam kobiety, bo obsługiwał ją Tommy, nie ja. Ale jeżeli ona rzeczywiście dłużej została, to na podstawie trzydziestosiedmioletniego doświadczenia śmiało mogę powiedzieć, że nikt się do niej nie mógł dosiadać, bo ona już była z facetem. A jeszcze i to, że facet siedział z nią do końca, bo nikt nie zamawia trzech Jack Rose'ów, po osiemdziesiąt centów jeden, żeby potem odejść i zostawić miejsce innemu.

Stanowczym ruchem przetarł ścierką bufet. Henderson zwrócił się do niego roztrzęsionym głosem:

— Ale przecież mnie pan pamięta! A skoro pamięta pan mnie, to ją też musi pan sobie przypominać. Ona bardziej rzucała się w oczy.

Barman odpowiedział ze złośliwą logiką:

— Zrozumiałe, że pana pamiętam, bo mam pana przed oczami. Niech mi pan też przyprowadzi tę kobietę, a przypomnę ją sobie na pewno. Inaczej nic nie mogę powiedzieć.

Henderson oparł się rękami o bar jak pijany, ledwie trzymając się na nogach.

Burgess, ująwszy go za ramię, mruknął:

— Chodźmy, panie Henderson!

Ale ten drugą ręką czepiał się kontuaru, nalegając na barmana.

— Niech mi pan tego nie robi! — prosił zdławionym głosem. — Wie pan, o co jestem oskarżony? O morderstwo!

Burgess gwałtownie położył mu dłoń na ustach.

— Zamknij się pan! — rzucił krótko.

Skierowali się w stronę drzwi wyjściowych. Henderson niechętnie odchodził od baru.

— Niewątpliwie wyciągnął pan trzynastkę — mruknął cierpko jeden z detektywów, gdy wyprowadzali Hendersona na ulicę, otaczając go ciasnym kręgiem.

Gdyby nawet przyszła tu później, i tak niewiele by to panu pomogło — uprzedził Burgess Hendersona, kiedy czekali, aż zostanie odnaleziony i sprowadzony kierowca taksówki. — Musiałaby się tu zjawić do godziny siedemnaście po szóstej. Ale ciekaw jestem, czy pokaże się później, a jeżeli tak, to o której. Właśnie dlatego chcieliśmy odtworzyć cały tamten wieczór, wszystkie pańskie posunięcia, krok za krokiem, od początku do końca.

— Musi się zjawić, musi — obstawał Henderson. — Na pewno *ktoś* ją sobie przypomni, przecież tego wieczoru byliśmy w tylu miejscach. Jak już raz na nią traficie, to powie wam sama, gdzie i o której godzinie mnie poznała.

W tej chwili podszedł do nich mężczyzna, którego Burgess wysłał z jakimś poleceniem.

— „Sunrise Company” ma na tej trasie dwóch kierowców. Sprowadziłem ich obu. Jeden to Budd Hickey, drugi Al Alp.

— Alp — powtórzył Henderson. — To jest to śmieszne nazwisko, które próbowałem sobie przypomnieć. Opowiadałem przecież, jak nas rozśmieszyło.

— Przyślij Alpa. Ten drugi może nie przychodzić.

Alp wyglądał w rzeczywistości równie zabawnie, jak na zdjęciu w samochodzie, a może nawet jeszcze zabawniej, bo w całej swej okazałości.

— Czy miał pan wczoraj wieczorem kurs do „Maison Blanche”? — zagadnął go Burgess.

— „Maison Blanche”... „Maison Blanche”... — Początkowo zdawał się niepewny.

— Tyle razy w ciągu nocy nic tylko zabieram gości i odwożę, zabieram i... — Nagle na pomoc przyszła mu jego własna metoda przypominania sobie pewnych faktów.

— „Maison Blanche”... pewnie sześćdziesiąt pięć centów, jak wieczorem — mruknął. Po czym już głośniejszym głosem powiedział: — Ależ tak, miałem! Ten kurs za sześćdziesiąt

pięć centów miałem między jednym i drugim trzydziestocentowym klientem.

— Niech się pan przyjrzy. Nie widzi pan tu tego wczorajszego klienta?

Szofer prześliznął się wzrokiem po twarzy Hendersona, ale po chwili znów spojrzął.

— To o tego chodzi, prawda?

— My pytamy pana, a nie odwrotnie. Przestał zadawać pytania.

— Tak, to ten.

— Czy był sam, czy z kimś?

Zastanowił się, po czym wolno potrząsnął głową.

— Nie, nie przypominam sobie, żeby był z kimś. Raczej chyba sam. Henderson zachwiał się jak ktoś, kto nagle skręcił kostkę.

— Pan musiał ją widzieć. Wsiadała i wysiadała pierwsza, jak zawsze kobiety.

— Sza, spokojnie! — uciszył go Burgess.

— Kobieta! — odezwał się kierowca zboliałym głosem. — Pana przypominam sobie, przypominam doskonale, jak podjeżdżałem, zawadziłem błotnikiem...

— Tak, tak — przytaknął Henderson — pewnie dlatego nie widział pan jej, bo był pan odwrócony w tamtą stronę. Ale niewątpliwie jak dojechalśmy, to...

— Jak dojechalśmy — powtórzył tamten zaczepnie — na pewno nie odwracałem głowy, bo tego nie robi żaden kierowca, jak przyjmuje pieniądze. *I żadnej kobiety nie widziałem.* No i co pan na to?

— Przez całą drogę mieliśmy zapalone światło — obstawał przy swoim Henderson.

— Siedziała z tyłu za panem i przecież musiał ją pan widzieć w lusterku albo w przedniej szybie.

— Teraz to już jestem pewien — powiedział taksówkarz. — Nawet jeśli dotąd nie miałem na sto procent pewności, to teraz mam. Ostatecznie jeździ się już te osiem lat. Skoro światło było zapalone, był pan sam. Przyznam się, że nie widziałem nigdy faceta, żeby jechał z kobietą i trzymał zapalone światło. Mogę iść o zakład, że wtedy facet jedzie w pojedynkę.

Henderson z trudem wydobywał głos. Czuł, że mu w gardle coś przeszkadza.

— Jak pan może pamiętać mnie, a jej nie pamiętać? Burgess wtrącił się, nim kierowca zdążył odpowiedzieć.

— Przecież pan też nie może sobie przypomnieć jej twarzy, mimo że, jak sam pan mówi, był z nią bite sześć godzin. A kierowca zaledwie dwadzieścia minut, i do tego odwrócony tyłem. — Żeby zakończyć wywiad, zwrócił się do taksówkarza: — W porządku, Alp. A więc to wszystko, co może nam pan powiedzieć?

— Tak. Stwierdzam, że mężczyzna ten *był sam*, gdy wiozłem go poprzedniego wieczoru.

Kiedy dojechali do „Maison Blanche”, robiono tam porządki. Obrusy ze stolików były pozdejmowane, lokal opuszczali ostatni goście. Obsługa, sądząc po szczęku naczyń i sztućców, posilała się w kuchni.

Usiedli przy jednym z ogołoconych stolików, ustawiając krzesła jak na ucztę duchów, bez widocznej zastawy i potraw.

Starszy kelner tak nawykł do uniżoności, że nawet teraz, chociaż już po pracy, zwrócił się do nich w ukłonach. Ukłon jednak nie wypadł jak należy, bo kelner był bez krawata i kołnierzyka, a jeden policzek wypchany miał jedzeniem.

Burgess od razu zwrócił się do niego:

— Czy widział pan już kiedy tego człowieka?

Głęboko osadzone oczy zatrzymały się na Hendersonie. Odpowiedź była szybka jak trzaśnięcie z bicza: — Tak, oczywiście.

— A kiedy po raz ostatni?

— Poprzedniego wieczoru.

— Gdzie siedział?

Kelner bez namysłu wskazał stolik we wnęce.

— Przy tym stoliku.

— Niech pan mówi dalej — powiedział Burgess.

— Co mówić dalej?

— Z kim był?

— Nikogo z nim nie było. Hendersona jakby coś nagle poraziło.

— Widział pan, jak wchodziła kilka minut po mnie. Widział pan, jak siedziała tutaj przez cały czas. Musiał ją pan widzieć. Raz nawet przechodził pan blisko i kłaniając się, powiedział: „Czy może czegoś potrzeba, monsieur?”

— Oczywiście, to należy do moich obowiązków. Chociaż raz w ciągu wieczoru podchodzę do każdego stolika. Pana to sobie dobrze przypominam, bo, jakby to powiedzieć, był pan wyraźnie niezadowolony. Doskonale pamiętam, że po obu pana stronach stały wolne krzesła. O ile się nie mylę, to jedno nawet postawiłem prosto. I właśnie w tym momencie spytałem pana, czy czegoś nie trzeba. Skoro powiedziałem „monsieur”, to już świadczy samo za siebie, że nikogo z panem nie było. Bo jak jest mieszane towarzystwo, to zwracam się per „monsieur et dame”. Zawsze.

Utkwił w twarzy Hendersona dwa nieruchome punkciki oczu, jak dwie kuleczki śrutu. Zwrócił się do Burgessa:

— Jeżeli są jakiegokolwiek wątpliwości, mogę pokazać listę zamówień z poprzedniego wieczoru. Sam pan zobaczy.

Burgess, przesadnie wolno cedząc słowa, co oznaczało, że bardzo mu ta propozycja przypadła do gustu, odpowiedział:

— Sądzę, że nie zaszkodzi...

Kelner przeszedł przez salę, otworzył szufladę w bufecie i wyjął stamtąd książkę. Nie wychodził z sali, cały czas więc mieli go na oku. Podał im książkę zamkniętą, żeby sobie sami mogli ją otworzyć, i powiedział:

— Daty są wypisane na górze.

Wszyscy oprócz niego pochyłili się nad książką, utworzył się wianuszek z głów. Adnotacje robione były prowizorycznie ołówkiem, ale to wystarczyło. Na jednej stronie widniała data 20 maja, wtorek.

Cała strona przekreślona była wielkim „X”, co oznaczało, że ten dzień już minął. Mimo to zapis nie przestał być czytelny. Wpisano około dziesięciu nazwisk, jedno pod drugim.

*Stół nr 18 — Roger Ashley, na cztery osoby (skreślone)*

*Stół nr 5 — Pani Rayburn, na sześć osób (skreślone)*

*Stół nr 24 — Scott Henderson, na dwie osoby (nie skreślone).*

Przy tym trzecim nazwisku widniała w nawiasach cyfra 1. Kelner objaśnił:

— To mówi samo za siebie. Skreślenie oznacza, że rezerwacja została zrealizowana. Brak skreślenia znaczy, że goście się nie zjawili. Natomiast kiedy nie ma kreski, a dodana jest tylko jakaś cyfra, należy uważać, że część gości przyszła, a reszty można w każdej chwili

oczekiwać. Te zapiski w małych nawiasach są wyłącznie dla mojego użytku, wtedy wiem, gdzie mam posadzić gości, bez zadawania zbyt wielu pytań. A czy zjawią się przy deserze, czy też kiedy indziej, to już obojętne, bo i tak, dopóki nie przyjdą, nie robię kreski. Z tego, co panowie tu widzą, należy wnioskować, że monsieur miał rezerwację na dwie osoby, monsieur przyszedł sam, a druga osoba nie zjawiała się wcale.

Burgess wodził niezwykle wyczulonym koniuszkiem palca po tej części stronicy, czy czasem nie ma śladów ścierania gumką.

— Tekstura nie zniszczona — orzekł.

Henderson oparł łokieć o krawędź stołu, na wypadek gdyby musiał podtrzymać głowę.

Starszy kelner wyciągnął ręce do przodu.

— Ta książka jest wszystkim, na czym się opieram. Ona mi mówi, że pan Henderson był w tym lokalu sam zeszłego wieczora.

— Nam pańska książka mówi to samo. Proszę zapisać nazwisko, adres, to co zawsze, w wypadku gdyby sprawa wymagała dalszych wyjaśnień. Dziękuję, proszę następnego, Mitri Maloff— kelner.

Przed oczami Hendersona zmieniła się tylko postać, nic więcej.

Ten sen czy też żart, jakkolwiek to nazwać, trwał wciąż dalej i dalej... Zakrawało to nieomal na komedię. Oczywiście dla nich, nie dla niego. Zauważył, że jeden z nich coś pisze. Zaciśnął palce na kciuku, jak w tych starych ogłoszeniach reklamujących środek na porost włosów.

— Nie, nie tak. Bardzo panów przepraszam. Moje imię pisze się przez „D”, którego się nie wymawia.

— To po co pisać? — spytał ze zdziwieniem jeden z tamtych swego sąsiada.

— Nie obchodzi mnie litera w nazwisku — uciął Burgess. — Obchodzi mnie natomiast, czy obsługiwał pan stół dwudziesty czwarty.

— Wszystkie od dziesiątego do dwudziestego ósmego.

— A więc podawał pan temu panu przy dwudziestym czwartym? Kelner miał zamiar potraktować to jako towarzyskie spotkanie.

— Ach, naturalnie, oczywiście — rozpromienił się. — Dobry wieczór panu. Co dobrego? Mam nadzieję, że wkrótce znów nas pan zaszczyli...

Najwidoczniej nie poznawał w nich detektywów.

Burgess przerwał brutalnie:

— Nie, już nie zaszczyci.

Machnął ręką, nie pozwalając na jakikolwiek gest uprzejmości.

— Ile osób siedziało przy stoliku, kiedy pan podawał?

Kelner był wyraźnie zakłopotany, jak to bywa, kiedy człowiek chce jak najlepiej, ale nie wie, czego się po nim spodziewają.

— Siedział on i nikt więcej.

— Ąpani?

— Nie, nie było żadnej pani. Jakiej pani? — Po czym dodał z miną niewiniątka: — A dlaczego pytacie? Co, może stracił jakąś?

Rozległ się skowyt. Henderson otworzył usta i zaczerpnął głęboko powietrza, jakby go coś nieznośnie zabolalo.

— Zgadza się, stracił jedną — wygłupił się któryś.

Kelner zorientował się, że wypuścił celną strzałę, zamrugao nieśmiało oczyma, w dalszym ciągu jeszcze niepewny, czemu może przypisać swoje zwycięstwo.

Henderson odezwał się zgnębionym, złamanym głosem:

— Podsuwał jej pan krzesło. Podawał jej pan otwartą kartę. — Stuknął się kilka razy po głowie. — Przecież ja *widziałem* to wszystko, a pan mówi, że jej nie było!

Kelner, nie szczędząc gestykulacji właściwej ludziom Wschodu, zaczął snuć swoje wywody tonem, w którym wyczuwało się wymówkę, ale nie urazę.

— Przystawiam krzesło, owszem, jak mam komu. Czy myśli pan, że ustawiałbym krzesło dla ducha? Albo nie widząc twarzy otwierał kartę i podawał pod nos? Komu, pytam się?

— Proszę zwracać się do nas — rzucił krótko Burgess. — Ten człowiek jest aresztowany.

Sprawnie, jak zwykle, kelner zwrócił głowę w ich stronę.

— Zostawił mi półtora napiwku. Jak więc mógł być z kobietą? Czy myślicie, że byłbym dziś dla niego taki uprzejmy, gdyby mi zostawił półtora za dwie osoby? — Oczy zabłyśły mu słowiańskim ogniem. Zdawało się, że już samo przypuszczenie tak je rozplomienia. — Myślicie, że tak zaraz bym zapomniał? Będę pamiętał o tym dwa tygodnie! A jakże! Czy inaczej zapraszałbym go, żeby tu jeszcze przyszedł? — zachnął się wojowniczo.

— Co to znaczy półtora napiwku? — spytał Burgess zaciekawiony i rozbawiony.

— Od jednej osoby bierzemy pięćdziesiąt centów. Od dwóch — dolara. Ten gość dał mi siedemdziesiąt pięć centów, to znaczy za półtorej osoby.

— A może te siedemdziesiąt pięć centów dostał pan za dwie osoby?

— Nigdy! — wysapał urażony. — Bo wtedy tak to załatwiam...! Udał, że bierze nieistniejącą tacę w dwa palce, jakby była zadzu-

miona. Wbił swoje okrągłe oczy w wyimaginowanego gościa, którym w tym przypadku był Henderson. Wpatrywał się dostatecznie długo, by go pognać. Pełną dolną wargę wydał mu grymas szyderstwa i niedowierzania.

— Mówię wtedy: „Dziękuję, sir. Dziękuję uprzejmie, sir. Dziękuję jak najuprzejmiej, sir”. Pan pewnie też by tak zrobił? I jeśli jest z nim dama, to czuje się, jakby mu kto w twarz dał, i sięga po więcej.

— I ja bym tak zrobił — przyznał Burgess. Odwrócił głowę. — Henderson, ile mu pan dał napiwku?

Henderson odpowiedział ledwie dosłyszalnie:

— Tak było, jak mówi. Dałem siedemdziesiąt pięć centów.

— Jeszcze jedno pytanie — powiedział Burgess — żeby już zakończyć tę sprawę. Chciałbym zobaczyć rachunek. Trzymacie rachunki, prawda?

— Kierownik je ma. Musi się pan do niego zwrócić.

Kelner rozpromienił się, świadom swoich cnót i tego, że jego prawdomówność znajdzie teraz potwierdzenie.

Henderson w oczekiwaniu pochylił się do przodu, zniknęła gdzieś jego apatia.

Kierownik sam przyniósł rachunki. Trzymano je spięte w segregatorze, według dat, żeby przy końcu miesiąca łatwo było obliczyć. Rachunek, o który im chodziło, znaleźli bez trudu.

Przeczytali, co następuje:

*Stół 24, kelner 3. 1 Table d'hôte — 4.25*

Pod tym przystawiono owalną jasnioletową pieczętkę: „Zapłacono 20 maja”. W tym dniu były jeszcze dwa rachunki ze stolika dwudziestego czwartego. Jeden opiewał na sumę 75 centów za herbatę w porze popołudniowej, drugi na cztery kolacje dla osób, które późno przyszły, zapewne tuż przed zamknięciem lokalu.



Musieli mu pomóc przy wsiadaniu do auta. Szedł jak ogłuszony. Zdawało mu się, że nogi ma z waty. I znów przesuwwały się przed nim widziane jak gdyby we śnie domy i ulice, jakieś nierealne, niczym cienie odbite w szybie.

On sam wybuchnął nagle:

— Wszyscy kłamią, oni uwzięli się, by mnie zgubić! Co im takiego zrobiłem...?

— Wiem, co mi to przypomina — usłyszał głos jednego z detektywów. — Te filmy o duchach, które na ekranie to znikają, to pojawiają się tuż przed oczyma. Widziałeś kiedy coś takiego, Burgess?

Henderson wzdrygnął się mimo woli i opuścił głowę.

**Do** ciasnego pokoiku biurowego dochodziły z zewnątrz przytłumione odgłosy odbywającego się właśnie przedstawienia. Słychać było muzykę, śmiech i od czasu do czasu okłaski.

Dyrektor usiadł blisko telefonu. Interesy szły dobrze, starał się więc być dla nich uprzejmy. Rozkoszując się cygarem, siedział przechylony głęboko w fotelu na biegunach.

— Nie ulega wątpliwości, że wykupione były dwa miejsca — rzekł uprzejmie. — Wszystko, co mogę powiedzieć, to że nie widziano z nim tej drugiej osoby... — Przerwał, nagle zaniepokojony. — Ależ jemu robi się niedobrze. Proszę, zabierzcie go, panowie, jak najszybciej, bo nie chcę mieć zamieszania w czasie spektaklu. Otworzyli drzwi i wyprowadzili Hendersona, prawie go niosąc. Śpiew dobiegał coraz wyraźniejszy.

*Czika, czika, bum, bum... Czika, czika, bum, bum...*

— Dostyc już, dostyc! — odezwał się zdławionym głosem. — Nie zniosę tego dłużej.

Osunął się na tylne siedzenie policyjnego auta, skrzyżował dłonie i wpatrzony w detektywów szukał u nich potwierdzenia, że jest przy zdrowych zmysłach.

— Niechże pan wreszcie ustąpi i przyzna, że nie było z panem żadnej kobiety — próbował przekonać go Burgess. — Prościej by wszystko wyglądało.

Henderson chciał odpowiedzieć rozsądnie i ze spokojem, ale głos mu drżał. — A wyobraża pan sobie, jakie skutki by to za sobą pociągnęło, gdybym tak powiedział, gdybym *mógł* się przyznać, jak pan proponuje? Musiałbym chyba postradać zmysły. Już nigdy w życiu nie byłbym niczego pewien. Nie może pan zaprzeczyć prawdzie takiej, jak na przykład, że nazywam się Scott Henderson albo — klepnął się w udo — że to jest moja noga<sup>^</sup> Z chwilą gdy zaczyna się wątpić, następuje zachwianie całej równowagi psychicznej. Ta kobieta była ze mną przez sześć godzin. Dotykałem jej ramienia, szliśmy pod rękę. — Chwycił Burgess-a za muskularne ramię. — Słyszałem szelest jej sukni, słowa, które wypowiadała, wdychałem woń jej perfum. Słyszałem, jak jej łyżka zadzwieczała, uderzając o talerz z zupą, jak podnosząc się, stuknęła krzesłem o podłogę. Czułem, jak lekko drgnęło podwozie taksówki, gdy wysiadała. Gdzieżby się podział trunek, który podnosiła do ust? Kiedy stawiała kieliszek na stole, był pusty. — Uderzył pięścią w kolano, trzy, cztery, pięć razy. — Ona była, była, była! — Prawie płakał, a przynajmniej twarz miał wykrzywioną grymasem. — A teraz usiłują mi wmówić, że jej nie było!

Samochód sunął poprzez urojony świat, jak od początku wieczora.

Nagle powiedział coś, co chyba niewielu przed nim więźniów kiedykolwiek wypowiedziało, a może nawet żaden z nich. Wyrzucił to z głębi serca, całkowicie tego świadom:

— Boję się. Zawieźcie mnie z powrotem do więzienia, do celi, dobrze? Błagam was, ludzie, zabierzcie mnie! Chcę być znów w czterech ścianach, żebym mógł ich dotknąć. Takich grubych, solidnych, których się nie da naruszyć.

— On drży — zauważył jeden z detektywów z pewnego rodzaju zaciekawieniem.

— Powinien się czegoś napić — powiedział Burgess. — Zatrzymajcie się na chwilę. Niech no który skoczy i przyniesie mu trochę whisky. Nie mogę patrzeć, jak facet się tak męczy...

Henderson wychylił potem whisky łąpczywie, jakby się bał, że nie zdąży, po czym znów opadł ciężko na siedzenie.

— Jedźmy z powrotem, odwiedźcie mnie już — prosił.

— Całkiem jak nawiedzony przez duchy — zachichotał któryś.

— Tak to jest, jak się je wywołuje.

Nie rozmawiali już. Wyszli z samochodu i skierowali kroki w stronę gmachu głównej komendy policji. Henderson potknął się o stopień i o mało nie upadł, ale Burgess go podtrzymał.

— Niech pan się zdrowo prześpi — poradził. — I postara o dobrego adwokata. Potrzeba panu i jednego, i drugiego.

### ***5. Dziewięćdziesiąty pierwszy dzień przed egzekucją***

**...Panie** i panowie słyszeli, jak obrońca usiłował dowodzić, że oskarżony spotkał pewną kobietę w barze Anselma dziesięć minut po szóstej owego wieczoru, kiedy popełniono morderstwo. Innymi słowy, w niecałe dwie minuty od momentu śmierci ofiary, ustalonego przez policję śledczą. Bardzo sprytnie. A jeżeli znajdował się w barze Anselma dziesięć po szóstej, to oczywiście nie mógł być we własnym domu na tę dokładnie minutę i czterdzieści pięć sekund przedtem. Żadne stworzenie dwunożne nie przebyłoby tej odległości w takim odstępie czasu. Ani pojazdem mechanicznym, ani nawet na skrzydłach i ze śmigłem. Powtarzam więc: bardzo sprytnie. Ale nie dosyć sprytnie.

Wygodnie, prawda, że spotkał ją właśnie tego wieczora, nie kiedy indziej. Jakby przeczuwał, że będzie mu potrzebna. Dziwne te przeczucia! Słyszeli wszyscy, jak oskarżony, w odpowiedzi na moje pytanie, przyznał, że nie miał zwyczaju wychodzić wieczorem i zawierać znajomości z przygodnymi kobietami. Że przez cały okres małżeństwa ani razu mu się to nie zdarzyło. Proszę zwrócić uwagę, *ani razu*. To są słowa oskarżonego, nie moje. Słyszeliście na własne uszy, panie i panowie. Co więcej, nawet mu to nigdy nie przyszło do głowy. Nie miał takiego zwyczaju. To sprzeczne z jego naturą. A my mamy teraz uwierzyć, że zrobił to właśnie tego jednego wieczoru. Całkiem dogodny zbieg okoliczności, nieprawda? Tylko że...

Wzruszenie ramionami i dłuższa pauza.

— I gdzie jest ta kobieta? Cały czas czekamy, żeby ją zobaczyć. Dlaczego jej nie sprowadzono? Co stoi na przeszkodzie? A może jednak zeznawała?

Na chybił trafił, wskazawszy jednego z przysięgłych palcem, zapytał:

— Widział ją pan? Potem następnego:

— A pan?

I jeszcze w drugim rzędzie:

— Albo pan? Rozłożył ręce bezradnie.

— Czy ktokolwiek spośród nas ją widział? Czy chociaż raz wystąpiła w charakterze świadka? Nie, oczywiście, że nie, panie i panowie, ponieważ...

Znów zapadła długa cisza.

— Ponieważ nie ma takiej kobiety. I nigdy nie było. Trudno pokazać kobietę, która w ogóle nie istnieje. Nie można tchnąć życia w fikcję, w figurę retoryczną, mgłę, w coś, czego w ogóle nie ma. Tylko dobry Pan Bóg może stworzyć dorosłą kobietę, w pełni jej rozwoju, ale nawet i On potrzebuje na to osiemnastu lat, a nie dwu tygodni...

Śmiech rozległ się ze wszystkich stron sali. On też się uśmiechnął, wdzięczny za uznanie.

— Chodzi przecież o życie człowieka. Gdyby więc istniała ta kobieta, obrona nie omieszkałaby jej tutaj przyprowadzić, jak myślicie, panie i panowie? I czyż nie dopilnowaliby, żeby zajęła tu miejsce i we właściwym czasie złożyła zeznanie? Gotów jestem się założyć, że tak by było, gdyby...

Znowu pauza, pełna dramatycznego napięcia.

— ...gdyby istniała taka kobieta. Ale pomińmy w tym siebie. Jesteśmy teraz w sali sądowej, odległej o wiele mil od miejsc, gdzie oskarżony, jak twierdzi, był razem z nią tego wieczora. Upłynęło już od owego czasu parę miesięcy. Weźmy pod uwagę zeznania tych, którzy akurat przebywali o tym samym czasie i w tych samych miejscach, gdzie rzekomo był oskarżony i jego towarzyszką. Przecież ktoś powinien ją widzieć, jeżeli naprawdę była. A czy widział ktokolwiek? Jego widziano, owszem. Wszyscy, mniej lub bardziej mgliście, przypominają sobie jego, Scotta Hendersona. Ale na tym koniec. Tak jakby wszyscy zaniewidzieli na jedno oko. Czyż nie wydaje się to państwu podejrzanym? Bo mnie tak. Jeżeli dwoje ludzi gdzieś się wybiera, może zaistnieć tylko jedna z dwóch ewentualności. Albo nikt w ogóle nie zwróci na nich

uwagi, albo, jeśli już zauważy jedno, to i drugie także. Jak może ludzkie oko dostrzec tylko jedną osobę, a drugiej nie, skoro obie są razem? To podważa prawa fizyki. Jest nie do przyjęcia. Doprawdy, zadziwiające.

Wzruszył ramionami.

— A może są jeszcze jakieś inne możliwości? Zresztą nawet i ja skłonny jestem wysunąć kilka własnych pomysłów. Może jej skóra była tak przezroczysta, że przepuszczała światło, i po prostu dlatego nikt nie mógł jej dojrzeć?

Ogólny śmiech.

— Możliwe też, że wcale jej z nim nie było, i wtedy trudno się dziwić, że nikt jej nie zauważył.

Zmiana zachowania i tonu. Wzrost ogólnego napięcia.

— No, dosyć żartów. Mówmy poważnie. Przecież tu chodzi o życie człowieka. Wcale nie pragnę robić z tego farsy. Wydaje mi się, że jest tylko jeden sposób obrony. Odrzucimy hipotezy i teorie, a powrócimy do faktów. Przestańmy mówić o zjawach, o błędnych ognikach i cudach. Zamiast tego porozmawiajmy o kobiecie, w której istnienie nikt ani przez chwilę nie wątpił. Wszyscy widzieli Marcelłę Henderson za życia, wszyscy widzieli ją tak samo wyraźnie po śmierci. *Ona* nie była zjawą. Została zamordowana. Policja ma na dowód zdjęcia. To jest fakt pierwszy. Wszyscy widzimy tego mężczyznę, tam na ławie oskarżonych, z nisko spuszczoną głową — nie, teraz podnosi ją i wyzywająco na mnie spogląda. Sprawa toczy się o jego życie. To fakt drugi.

A na boku, poufnie i z teatralnym gestem, dodał: — Wolę zawsze fakty niż przywidzenia, a jak wy, panie i panowie? Są przynajmniej konkretne...

A fakt trzeci? Jest i fakt trzeci. On ją zamordował. Jest to fakt tak oczywisty i tak niezaprzeczalny, jak oba poprzednie. Każdy szczegół w tej sprawie jest faktem, już raz potwierdzonym tutaj, w tej sali. Wcale nie chcemy, byście wierzyli w zjawy, duchy, halucynacje, jak tego pragnie obrona.

Po czym dodał podniesionym głosem:

— Mamy dokumenty, zeznania i dowody na potwierdzenie każdej naszej tezy, punkt po punkcie.

Zaciśnięta pięść z hukiem opadła na poręcz tuż przed stołem sędziowskim.

Po pełnej napięcia przerwie ciągnął już spokojniej: — Wszyscy poznali okoliczności i stosunki domowe oskarżonego tuż przed popełnieniem morderstwa. Sam oskarżony niczemu nie zaprzecza. Słyszeli państwo, że wszystko potwierdził. Może tylko pod presją, nie dobrowolnie, ale w każdym razie ze wszystkim się zgodził. Nie złożono ani jednego fałszywego oświadczenia. Proszę zwrócić uwagę, że takie jest zdanie oskarżonego, nie moje. Pytałem o to wczoraj i wszyscy musieli słyszeć odpowiedź. Dla przypomnienia jeszcze raz powtórzę: Scott Henderson zakochał się w pewnej dziewczynie. Ale nie za to się tu znalazł. Dziewczyny tej nie ma na rozprawie. Jak dotąd nie padło nawet jej nazwisko, co niewątpliwie już wszyscy zdążyli zauważyć. Wcale jej tu nie sprowadzano, nie kazano składać zeznań, w żaden sposób nie powiązano z tym ohydny, niewybaczalnym morderstwem. Dlaczego? Bo ona nie ponosi żadnej winy. Nie ma nic wspólnego z tym morderstwem. My zaś, w sądzie, nie mamy zwyczaju karać niewinnych, nie chcemy więc narażać jej na rozgłos i nieuniknione poniżenie. Zbrodnię popełnił ten człowiek — którego macie przed oczami — on jeden. Dziewczyna nie ma z tym nic wspólnego. Jest niewinna. Była badana zarówno przez policję, jak i prokuratora, i stwierdzono, że nie przyczyniła się do zbrodni. Nie nakłaniała go do tego, bynajmniej, a dowiedziała się już po fakcie. Cierpi teraz za cudze winy. Co do tego wszyscy się zgadzamy, zarówno prokurator, jak i obrońca. Nazwisko jej jest nam znane, ale nazywamy ją po prostu „dziewczyną” i tak będziemy nazywać dalej.

Doskonale. A więc nim zdecydował się powiedzieć jej o swoim małżeństwie, był już w niej niebezpiecznie zakochany. Tak, podkreślam, niebezpiecznie — z punktu widzenia żony. Dziewczyna w takiej sytuacji nie chciałaby mieć z nim nic wspólnego. Była i jest na wskroś uczciwą, wspaniałą istotą. Kto tylko z nią rozmawiał, odniósł jak najlepsze wrażenie. Ja również, moi państwo. Wspaniała, ale nieszczęśliwa, bo spotkała, niestety, nieodpowiedniego człowieka. A więc kiedy poznała prawdę, postanowiła z nim zerwać. Nie chciała krzywdzić drugiej kobiety. On też doszedł do wniosku, że należy to rozstrzygnąć tak lub inaczej. Zwrócił się więc do żony o rozwód. Z zimą krwią, całkiem po prostu. Zona odmówiła. Dlaczego? Bo dla niej małżeństwo było czymś

świętym. Nie jakimś kaprysem, związkiem, który można zrywać przy lada zachciance. Dziwna żona, nieprawdaż? Kiedy powtórzył to dziewczynie, jeszcze raz zaproponowała, żeby ze sobą zerwali. On jednak nie mógł się z tym pogodzić. Znalazł się w potrzasku. Żona nie chciała wyrzec się jego, on nie chciał się wyrzec dziewczyny.

Zaczekał więc na właściwy moment, po czym raz jeszcze spróbował nakłonić żonę do rozwodu. I jeżeli określimy, że po raz pierwszy zachowywał się z zimną krwią, to co powiemy o jego drugim wystąpieniu? Postanowił zabawić żonę, ot tak, jak często agent handlowy zabawia zamiejscowego klienta, kiedy chce z nim przeprowadzić korzystną transakcję. To już dostatecznie jasno mówi o jego charakterze. Dla niego rozbite małżeństwo, zniszczone ognisko domowe i porzucona żona warte były tylko tej marnej rozrywki wieczorem.

Kupił dwa bilety do teatru, zarezerwował stolik w restauracji. Wróciwszy do domu, oznajmił żonie, że zabiera ją ze sobą. Była zdziwiona, skąd nagle ma dla niej tyle względów. Przez krótką chwilę łudziła się, że może nastąpi pojednanie. Usiadła przed lustrem i zaczęła się czesać.

W kilka minut później wszedł do pokoju i przekonał się, że nadal siedzi przed toaletką, wcale nie gotowa. Zrozumiała jego intencje.

Oznajmiła mu jeszcze raz, że się go nie wyrzeknie, że o wiele bardziej ceni dom niż bilety do teatru i kolację w lokalu. Innymi słowy, odmówiła rozwodu po raz wtóry, nie czekając nawet na ponowną propozycję. I to przeważało szalę.

Był prawie gotów do wyjścia. Trzymał w rękach krawat i miał go właśnie zawiązać, gdy nagle, pałając chęcią zemsty, w dzikiej i szaleńczej furii zarzucił go jej na szyję i zacisnął z nieprawdopodobnym okrucieństwem i siłą.

Funkcjonariusze policji zeznali już, w jaki sposób musieli rozcinać krawat, który tak mocno wpił się w delikatną szyję ofiary. Czy ktoś z państwa próbował kiedykolwiek rozerwać krawat z jedwabnego rypsu? Nie da się rozerwać!

Umarła, choć na początku próbowała się bronić. Zginęła z rąk swego męża, człowieka, który przysięgał ją kochać i otaczać opieką. Proszę o tym nie zapominać. Trzymał ją tak, wyprostowaną, przed lustrem, by mogła oglądać własną śmierć — a trwało to, powiedziałbym, długie minuty. Długie,

długie minuty. I dopiero po pewnym czasie pozwolił jej upaść. A kiedy był już pewien, że wreszcie nie żyje, że raz na zawsze zeszła mu z drogi — co wtedy robi? Czy stara się przywrócić ją do życia, czy może dręczą go wyrzuty sumienia albo zaczyna odczuwać żal? O nie! Zaraz powiem, jakie były dalsze jego kroki. Spokojnie odszedł i w tym samym pokoju skończył się ubierać. Wyjął drugi krawat na miejsce tamtego, którym udusił żonę. Następnie włożył kapelusz i płaszcz i przed wyjściem zadzwonił jeszcze do swojej ukochanej. Szczęśliwie dla niej — a to chyba największe szczęście, jakie mogło spotkać ją w życiu — akurat wyszła z domu. Nie miała o niczym pojęcia, dowiedziała się dopiero po paru godzinach. A dlaczego do niej zadzwonił rękami skalanymi morderstwem żony? Bynajmniej nie dlatego, że dręczyły go wyrzuty sumienia, że chciał jej wszystko wyznać i prosić o pomoc i radę. Nie, o nie! Po prostu chciał się nią posłużyć jako narzędziem, bez jej wiedzy stworzyć sobie alibi. Chciał prosić ją, by poszła z nim do teatru, na te same bilety, i siedziała w restauracji przy tym samym stoliku. Najprawdopodobniej cofnąłby wtedy zegarek, tuż przed spotkaniem z nią, i zrobił jakąś uwagę na temat czasu, żeby zapamiętała sobie i mogła służyć mu pomocą w dobrej wierze, i osłaniać go potem uczciwym świadectwem.

A więc, zdaniem państwa, jest on mordercą czy nie jest?

Plan się jednak nie udał, bo nie mógł się z nią skontaktować. Wobec tego wziął się na inny sposób. Wyszedł sam i sam odbył całą tę trasę, jaką zaplanował dla siebie i żony, nie pominąwszy po drodze nic, ściśle według planu, od godziny szóstej wieczorem do północy. Ale wtedy nie przyszło mu na myśl, by zrobić to, co zeznaje teraz, a mianowicie podłapać sobie kogoś i mieć dzięki temu alibi. Był po prostu zanadto podniecony i zdenerwowany. Może nawet pomyślał o tym, ale zabrakło mu odwagi albo też nie ufał obcej osobie. Mógł się też obawiać, że zdradzi się swoim zachowaniem. A może po prostu uznał, że już za późno, że na nic mu się to nie przyda, bo zbyt wiele czasu upłynęło od wyjścia z domu. Alibi mogło okazać się przydatne, ale mogło się też obrócić przeciw niemu, skoro morderstwo zostało popełnione już jakiś czas temu. Kilka zręcznych pytań i wykryto by prawdziwy czas spotkania, a nie ten, który chciałby każdemu wmówić. Wszystko to niewątpliwie brał pod rozwagę. Cóż więc można wymyślić lepszego?



Oczywiście fikcyjną towarzyszkę. Zjawę nieokreśloną, spowitą mgłą, by jej potem nie dało się odszukać i by ukryć prawdziwy czas spotkania. A teraz stawiam pytanie: co było dogodniejsze dla oskarżonego, czy alibi nie udowodnione, czy obalone?

Alibi nie udowodnionego nie można uznać, zawsze jednak pozostawia pewną wątpliwość. Obalone automatycznie zwróciłyby się przeciw niemu, nie pozostawiając możliwości obrony. Takie wyjście z sytuacji było więc najkorzystniejsze i stosownie do tego podjął decyzję.

Innymi słowy, świadomie wprowadził postać fikcyjną, wiedząc, że ona nie istnieje, że nigdy się jej nie znajdzie, co zresztą bardzo mu odpowiada, bo tylko w takiej sytuacji jego częściowe alibi może mu oddać jakąś przysługę.

Na koniec pozwólcie mi, panie i panowie, zadać jeszcze jedno proste pytanie. Jeżeli życie człowieka zależy od tego, czy pamięta, jak wygląda drugi człowiek, to czyż możliwe jest, aby nie był w stanie nic absolutnie sobie przypomnieć? Proszę zwrócić uwagę — ani jednego szczegółu! Nie pamięta koloru oczu ani koloru włosów, ani owalu twarzy, ani figury, absolutnie nic. Niechaj każdy postawi siebie na miejscu oskarżonego i zastanowi się, czy mógłby tak kompletnie wszystko zapomnieć, gdyby od tego zależało jego życie? Przecież wiadomo, jakim wspaniałym bodźcem dla pamięci może być instynkt samozachowawczy. Gdyby rzeczywiście chciał ją odnaleźć, to czyż jest prawdopodobne, aby nie potrafił sobie przypomnieć ani jednego szczegółu? Jeżeli, oczywiście, kobieta ta istnieje lub kiedykolwiek istniała. Pytanie to stawiam sędziom przysięgłym — sam nie mam już nic więcej do powiedzenia. Sprawa jest prosta. Nic jej nie zaciemnia.

Wyciągając rękę dramatycznym gestem, dodał:

— Prokurator oskarża Scotta Hendersona, którego tu wszyscy przed sobą widzą, o zamordowanie żony. Prokurator domaga się najwyższego wymiaru kary. Prokurator uważa postępowanie za skończone.

## **6. *Dziewięćdziesiąty dzień przed egzekucją***

Proszę, niech oskarżony wstanie i zwróci się do ławy przysięgłych.

— Proszę, niech wstanie przewodniczący ławy przysięgłych.

— Sędziowie przysięgli, czy werdykt jest gotów?

— Gotów, wysoki sędzie.

— Czy oskarżony winien jest zabójstwa żony, czy też nie winien?

— Winien, wysoki sędzie.

Od ławy oskarżonych dobiegł zdławiony głos: — Och, mój Boże, nie...!

## **7. *Osiemdziesiąty siódmy dzień przed egzekucją***

Czy oskarżony ma coś do powiedzenia, zanim sąd ogłosi wyrok?

— I cóż człowiek może powiedzieć, skoro wszyscy twierdzą, że popełnił zbrodnię, a on i tylko on jeden wie, że tak nie jest? I kto go będzie słuchał, kto mu uwierzy?

Wkrótce dowiem się, że muszę umrzeć. I jeżeli sąd tak postanowi, to naprawdę muszę. Nie boję się śmierci bardziej niż każdy inny człowiek. Boję się tak samo jak wszyscy. Nie jest lekko umierać, ale o ileż ciężiej jest umierać przez pomyłkę. Ja nie umrę dlatego, że zawiniłem, ale dlatego, że popełniono omyłkę. A to chyba najokropniejsza śmierć ze wszystkich. Jeżeli już przyjdzie mi umrzeć, postaram się to znieść jak najlepiej. I to chyba wszystko, co mogę uczynić.

Ale jeszcze raz powtarzam, i to wszystkim, którzy nie chcą słuchać i nie wierzą: ja tego nie zrobiłem, ja nie popełniłem tej zbrodni. Żadne wyroki sędziów przysięgłych, żadne procesy, żadne egzekucje na krześle elektrycznym — jak świat długi i szeroki — nie są w stanie dowieść tego, co nie jest.

Teraz, wysoki sędzie, gotów jestem wysłuchać wyroku.

Z ławy przysięgłych dobiegł głos współczucia:

— Bardzo mi przykro, panie Henderson. Chyba jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się słyszeć, żeby stojący przede mną oskarżony, w oczekiwaniu na wyrok, wygłosił tak wzruszające, tak pełne godności i męstwa przemówienie. Ale werdykt przysięgłych w tym przypadku nie daje mi żadnej alternatywy.

Po chwili rozległ się znów ten sam głos, tylko trochę donośniej:

— Ja, tutaj obecny, skazuję oskarżonego, Scotta Hendersona — który był sądzony i uznany winnym morderstwa pierwszego stopnia — na śmierć na krześle elektrycznym w więzieniu stanowym... w przeciągu tygodnia po dwudziestym października. Wyrok wykona strażnik więzienny. Niechaj Bóg okaże ci miłosierdzie.

### ***8. Dwudziesty pierwszy dzień przed, egzekucją***

Na korytarzu, w pawilonie śmierci, tuż pod drzwiami celi rozległ się niski głos:

— To tutaj. —A potem głośniej, zagłuszając brzęk kluczy: — Henderson, ktoś do was!

Henderson ani nie odpowiedział, ani się nie poruszył. Drzwi otworzyły się, potem zamknęły. Przez długą chwilę stali skrepowani, patrząc na siebie w milczeniu.

— Pewno mnie pan nie pamięta?

— Pamięta się ludzi, którzy zadają śmierć...

— Nie zadaję śmierci, panie Henderson. Ja tylko przekazuję zbrodniarzy tym, którzy mają za zadanie ich sądzić.

— A następnie przychodzi pan, aby się upewnić, że nie uciekli, że są tam, gdzie ich pan wsadził, i aby wbijać im to w głowę dzień po dniu, minuta po minucie. To musi pana niepokoić. Ale proszę spojrzeć. Jestem tu, i do tego bezpieczny, jak u Pana Boga za piecem. Teraz może pan odejść zadowolony.

— Gorycz przez pana przemawia, Henderson.

— Myśli pan, że to tak słodko umierać, mając trzydzieści dwa lata...?

Burgess nie odpowiedział. Nikt by nie potrafił odpowiedzieć. Zamrugał oczami na znak, że cios ugodził w sedno. Podszedł do wąskiego okienka i wyjrzał przez nie. — Małe, co? — spytał Henderson, nie odwracając głowy. Burgess gwałtownie odwrócił się od okna i odszedł, jakby się przed nim zatrzasnęło. Wyciągając coś z kieszeni, stanął przed pryczą, na której skurczony siedział Henderson.

— Może papierosa? Henderson spojrział na niego kpiąco.

— A cóż to ma znaczyć?

— Och, niechże pan przestanie! — zachnął się detektyw. Ciągłe trzymał papierosy w wyciągniętej dłoni.

Henderson w końcu wziął jednego z niechęcią, raczej na odczepne-gó, nie żeby miał ochotę zapalić. W oczach jego nadal widniała gorycz. Nim włożył papierosa do ust, wytarł demonstracyjnie ustnik o rękaw. Burgess podał mu ogień. Henderson spojrział pogardliwie na detektywa i już nie spuszczał z niego oka ponad małym płomykiem.

— Co to ma znaczyć, czyżby to już dziś miał być dzień egzekucji?

— Rozumiem, co pan w tej chwili czuje... — próbował łagodnie perswadować Burgess.

Henderson poderwał się z pryczy.

— *Pan* rozumie, co ja w tej chwili czuję! — wybuchnął. Strząsnął popiół pod nogi detektywa, jednocześnie wskazując na nie: — Te mogą chodzić wszędzie, gdzie tylko im się spodoba. — Dźgnął kciukiem własne nogi. — A te nie mogą! — Wykrzywił usta. — Proszę stąd iść! Proszę iść! Niech pan idzie zabijać kogo innego. Szukać nowej ofiary. Ja jestem z drugiej ręki, ze mną już raz się rozprawili. Osunął się na pryczę, wydmuchując kłęb dymu, który uniósł się wzdłuż ściany, tworząc coś na kształt grzyba u wezłowia pryczy, po czym opadł ponownie w dół. Przeszali patrzeć na siebie. Ale Burgess stał nadal i nie odchodził. Wreszcie odezwał się:

— Widać z tego, że odrzucono pańską apelację?

— Tak, odrzucono. Nie ma więc żadnych oporów, żadnych hamulców, nic nie powinno przeszkodzić w całopaleniu. Mogę stoczyć się po pochylni i nikt mnie nie zatrzyma. Kanibale nie będą musieli być głodni. Teraz mogą spełnić swoje zadanie, wykonać przyjemną, szybką

i czystą robotę. Prądem... — Odwrócił się i popatrzył na słuchacza. — A czemuż to pan wygląda tak żałobnie? Żałuje pan, że agonია nie może trwać dłużej? I że nie mogę umierać dwukrotnie?

Burgess wykrzywił się, jakby palił jakieś straszne paskudztwo. Rzucił papierosa i zdeptał go.

— Niech pan nie uderza poniżej pasa, Henderson. Nie jestem jeszcze gotowy do walki.

Henderson chwilę przyglądał mu się uważnie, jakby dojrzał w jego zachowaniu coś, czego od razu nie spostrzegł, zaślepiony wściekłością.

— A właściwie dlaczego pan przyszedł? — spytał. — Co pana tu sprowadza, i to po tylu miesiącach?

Burgess pogładził się po karku.

— Nie wiem, jak to panu powiedzieć. Przyznaję, że to trochę dziwne ze strony detektywa... Wiem, że zadanie moje skończyło się z chwilą, gdy został pan oskarżony przez sąd przysięgłych i zobowiązany do stawienia się przed sądem. Tak trudno to wyjaśnić — zakończył niepewnie.

— Czemu? Nie powinno być trudno. Jestem przecież skazańcem zamkniętym w celi...

— Właśnie dlatego tak trudno. Przyszedłem... to znaczy chciałem powiedzieć, że...

— Przerwał, po czym wygarnął prędko: — ...że wierzę w pańską niewinność. Cóż, tak sprawa wygląda, co jednak nie ma znaczenia ani dla pana, ani dla mnie. Nie sądzę, żeby pan to zrobił.

Długa chwila milczenia.

— No, niech pan coś powie. Niech pan nie siedzi i nie patrzy tak na mnie.

— Nie wiem, co odpowiedzieć, kiedy facet odkopuje trupa, którego pomagał grzebać, i mówi: „Bardzo mi przykro, staruszkule, ale chyba popełniłem omyłkę”. To raczej niech pan mi powie, co mam mówić.

— Sądzę, że ma pan rację. Chyba rzeczywiście nie ma o czym mówić. W dalszym ciągu jednak uważam, że inaczej postąpić nie mogłem, mając takie, a nie inne dowody. Powiem nawet, że gdybym jutro miał się tym jeszcze raz zająć, postąpiłbym tak samo. Moje osobiste uczucia nie wchodzi tu w rachubę, muszę opierać się na konkretach.

— A cóż spowodowało tę zasadniczą zmianę sądu? — spytał Henderson nie bez ironii.

— Trudno to powiedzieć i wyjaśnić, jak zresztą wszystko inne. Był to powolny proces, który dokonywał się we mnie przez tygodnie, miesiące. Tak wolno, jak woda przesącza się przez wielowarstwową bibułę. Przypuszczam, że zaczęło się już w sądzie. Rozprawa wywołała u mnie odwrotny proces. Najcięższe oskarżenia, które przeciw panu wytoczono, ja, po rozważeniu, tłumaczyłem całkiem inaczej. Nie wiem, czy pan rozumie, co mam na myśli. Wymyślone alibi są zawsze sprytnie, gładkie, roją się od pozornie prawdziwych faktów. Pańskie było słabe i nieprzekonujące. Nie mógł pan przypomnieć sobie najdrobniejszej rzeczy o tej kobiecie. Dziesięcioletnie dziecko potrafiłoby lepiej ją opisać. Kiedy siedziałem na sali, przysłuchując się rozprawie, powoli zaświtała mi myśl: „Jednak to chyba prawda, co on mówi; każde kłamstwo ma jakieś ręce i nogi. Tylko człowiek *niewinny* może tak zaprzepaszczać swoje szanse. Winni są sprytniejsi”. Szło przecież o pańskie życie, a pan na swoją obronę miał tylko dwa rzeczowniki i przymiotnik — „kobieta”, „kapelusz” i „śmieszny”. Pomyślałem sobie, że to takie ludzkie. Facet zirytowany awanturą domową podrywa w pierwszym lepszym miejscu kobietę, która zupełnie go nie interesuje. Po czym, jak grom z jasnego nieba, spada na niego wieść, że w jego domu popełniono morderstwo i że jego o to posądzają... — Zrobił wymowny ruch ręką. — Co jest bardziej prawdopodobne: czy że oskarżony przypomni sobie tego kogoś nieznanego z najdrobniejszymi szczegółami, czy też zatrze się pierwsze wrażenie tego spotkania i pozostanie zupełna pustka?

Nie dawało mi to spokoju, powracało ciągle ze zdwojoną siłą. Raz miałem już tu przyjść, ale zmieniłem zamiar i zawróciłem. Rozmawiałem potem z panną Richman chyba dwa razy...

Henderson wyciągnął szyję.

— Teraz zaczyna mi się rozjaśniać... Detektyw odpowiedział ostro i bez namysłu:

— Nie, nie jest tak, jak sobie pan wyobraża. Zapewne myśli pan, że ona przyszła do mnie i pod jej wpływem... Nie tak to było. Ja pierwszy ją odszukałem i poszedłem powiedzieć jej to samo zresztą, co mówię dziś panu. Przyznaję, że od tej pory przychodziła kilkakrotnie, nie do komendy, tylko do mnie do domu. Ale to nie ma znaczenia. Ani panna Richman, ani nikt nie może mieć wpływu na to, co myślę. Jeżeli mój punkt widzenia ulega zmianie, to tylko na skutek bodźców we-

wewnętrznych. I jeśli znalazłem się dziś tutaj u pana, to z własnego impulsu, a nie za czyjąś sugestią. Ona nawet nie wie, że tu jestem. I ja też nie wiedziałem — dopóki nie przyszedłem. Zaczął spacerować w tę i z powrotem.

— Ja już jednak z tym skończyłem. Nie chcę się cofać. Zrobiłem robotę, jak mogłem najlepiej i jak tego wymagały dowody. Trudno żądać więcej.

Henderson nie odzywał się. Patrzył ponuro w podłogę, pogrążony w zadumie.

Wydawał się już mniej zgorzkniały niż na początku. Co chwila przesłaniał go cień spacerującego Burgessa. Ale nie zatroszczył się, by spojrzeć na niego.

Po pewnym czasie cień zatrzymał się i do uszu Hendersona doszedł dźwięk potrząsanych w kieszeni monet.

Burgess rzekł:

— Musi się pan postarać o kogoś, kto mógłby panu pomóc. Kto by poświęcił cały swój czas dla pana. — Znowu zabrzączał monetami. — Ja, niestety, nie mogę, mam pracę. O, ja wiem, zdarzają się tacy osławieni detektywi w filmach, którzy swoje osobiste życie poświęcają dla sprawy. Ja mam żonę i dzieci. Muszę zarabiać. A poza tym jesteśmy sobie zupełnie obcy.

Henderson nie poruszył się.

— Nie prosiłem pana o to — mruknął cicho.

Burgess przestał wreszcie brząkać pieniędzmi i zbliżył się do Hendersona.

— Niech pan znajdzie kogoś bliskiego, kto by był panu całkowicie oddany. A ja ze swej strony — zacisnął pięść, wyciągając ją w geście obietnicy — będę go wspomagał w miarę możliwości.

Henderson na chwilę podniósł głowę, ale zaraz ją opuścił. Wypowiedział ze zniechęceniem jedno słowo: — Kogo?

— Trzeba, żeby to był ktoś, kto zabrałby się do tego z uczuciem, wiarą i zapałem. Ktoś, kto nie robiłby tego dla pieniędzy ani dla własnej kariery, ale dla pana, dla Scotta Hendersona. Dlatego, że pana lubi, a nawet kocha, i gotów jest poświęcić siebie, by pana ocalić. Kto nie zniechęci się porażką, kto nie będzie uważał, że jest za późno, chociażby było, i nie opuści rąk. Ta sprawa potrzebuje płomienia, iskry elektrycznej, żeby ruszyć z miejsca.

Ręka jego spoczęła na ramieniu Hendersona. Mówił dalej z życzliwą natarczywością:

— Wiem, że ma pan dziewczynę, która posiada te wszystkie przymioty. Ale jest tylko kobietą. Ma ten płomień, ale brak jej doświadczenia. Robi wszystko, co może, ale to nie wystarcza.

Po raz pierwszy ponura twarz Hendersona złagodniała trochę. Rzucił szybkie, pełne wdzięczności spojrzenie na detektywa, ale przeznaczone było dla niej.

— Powinienem się domyślić — mruknął.

— Ale tu potrzebny jest mężczyzna, i to taki, co zna się na rzeczy, a jednocześnie darzy pana takim samym uczuciem jak ona. Musi pan przecież mieć kogoś takiego! Każdy z nas ma!

— Tak, w młodości ma się dużo przyjaciół. I ja miałem, podobnie jak wszyscy. Ale w miarę jak się człowiek starzeje, przyjaciele powoli zapominają. A zwłaszcza kiedy się człowiek ożeni.

— Tacy, o których myślę, nie zapominają — nalegał Burgess. — Niezależnie od tego, czy jest się z nimi w kontakcie, czy nie. Jeśli raz ktoś jest przyjacielem, to już nim pozostaje.

— Kiedyś miałem kolegę, z którym zżyliśmy się jak bracia — przyznał Henderson.

— Ale to należy już do przeszłości.

— Dla przyjaźni nie istnieją granice czasu.

— Poza tym nie ma go tutaj. Kiedy się ostatni raz widzieliśmy, mówił mi, że następnego dnia wyjeżdża do Ameryki Południowej. Zawarł pięcioletni kontrakt z jakimś towarzystwem naftowym. — Zwrócił się w stronę detektywa: — Widzę, że mimo pańskiego zawodu pozostało panu trochę złudzeń. Przecież to byłoby nie tyle jaka prośba. Oczekiwać, żeby ktoś przekreślił swoją przyszłość i na jedno kiwnięcie palcem wrócił trzy tysiące mil, by ująć się za przyjacielem! I to dawnym! Niech pan pamięta, że z biegiem lat człowiek staje się bardziej gruboskórny. Ideały błędne. Mężczyzna trzydziestodwuletni nie jest już tym samym kumplem, co chłopak dwudziestopięcioletni...

Burgess przerwał jego wywody.

— Proszę odpowiedzieć mi na jedno pytanie. Czy kiedyś gotów byłby zrobić to dla pana?

— Tak, kiedyś tak.

— Wobec tego, jeśli kiedyś by to zrobił, i teraz nie odmówi. Jeszcze raz panu powtarzam, że wierność w przyjaźni nie zna granic czasu. Je-



śli był wiernym przyjacielem, to nadal nim pozostał. Ajak nie pozostał, to znaczy, że nigdy nim nie był.

— Jednak to chyba nie jest uczciwy test, stawia pan zbyt wielkie wymagania.

Burgess argumentował dalej: — Jeśli to facet, który bardziej cenić będzie swój pięcioletni kontrakt niż pańskie życie, wcale nie wchodzi w rachubę. Ale jeżeli jest inaczej — takiego panu właśnie trzeba. Dlaczego więc nie dać mu szansy, nie wypróbować go, nim będzie pan mógł powiedzieć, że odmówił?

Wyjął notes z kieszeni, wyrwał czystą kartkę i oparłszy stopę o krawędź pryczy, zaczął pisać na kolanie.

*NN2922 przez kabel północny 20 września... Pilne*

*John Lombard*

*Compañía Petrolera Sudamericana Zarząd Główny, Caracas, Wenezuela*

*Po twoim wyjeździe skazano mnie na śmierć za zamordowanie Marcelli. Trzeba odszukać świadka, który może mnie ocalić. Adwokat wyczerpał wszystkie możliwości. Proszę cię, przyjedź i pomóż. Nie mam do kogo się zwrócić ani jak uniknąć wykonania wyroku, wyznaczonego na trzeci tydzień października. Apelacja została odrzucona. Liczę na ciebie...*

*Scott Henderson*

## **9. Osiemnasty dzień przed egzekucja**

**Znać** jeszcze na nim było opaleniznę podzwrotnikowego słońca. Przyjechał prędko, więc zdążył przywieźć ją ze sobą. Tak się dzisiaj podróżuje; katar leci sobie od zachodnich wybrzeży Ameryki aż do wschodnich, a nim pęknie czyrak na szyi, który zbiera już od trzech dni, człowiek zdąży przenieść się z Rio na lotnisko La Guardia w Nowym Jorku.

Był w wieku, na jaki niedawno jeszcze, bo pięć czy sześć miesięcy temu, wyglądał Scott Henderson, nie ta wykrzywiona maska śmierci pokutująca teraz w celi, dla której godziny liczą się jak lata.

Miał na sobie ubranie, które włożył jeszcze w Ameryce Południowej. Śnieżnobiała panama wcale nie pasowała do pory roku tutaj na północy, a szary flanelowy garnitur był za lekki i za jasny jak na amerykańską jesień. Żeby nie wyglądał ekstrawagancko, potrzebne mu było olśniewające słońce Wenezueli.

Był średniego wzrostu, swobodny w zachowaniu, i doskonale radził sobie w każdej sytuacji. Można by go sobie wyobrazić, z jaką łatwością wskakuje do rozpędzonego tramwaju. Mimo tego wiosennego ubrania wyglądał dosyć niechlujnie. Jego wąsikom przydałyby się nożyczki, pozwijany kołnierzyk wymagał odprasowania. Odnosiło się wrażenie, że o wiele lepiej potrafi przewodzić gromadzie mężczyzn lub też ślęczeć nad warcabami, aniżeli obtańcowywać panie w balowej sali. Wskazywała na to pewna powaga, jaka go cechowała, o ile, oczywiście, można sądzić człowieka po wyglądzie zewnętrznym. W czasach, kiedy łatwiej było zaszeregować ludzi, nazwałoby się go stuprocentowym mężczyzną.

— Jak on to znosi? — spytał strażnika przyciszonym głosem, idąc za nim przez korytarz.

— Jako tako.

Miało to znaczyć: czego w tej sytuacji można się spodziewać?

— Jako tako, hm? — Potrząsnął głową, mruknąwszy: — Biedak.

Strażnik doszedł już do celi i właśnie otwierał zasuwę. Lombard zatrzymał się na moment, przełknął z wysiłkiem ślinę, jakby chciał dobrze zwilżyć sobie gardło, i spojrzął na kratę celi. Dopiero potem wszedł do środka z wymuszonym uśmiechem na twarzy i wyciągniętą z daleka ręką, jakby witał go w hallu wytwornego hotelu „Savoy-Pla-za”.

— Jak się masz, stary! — wycedził. — Cóż to za kawały urządzasz?

Henderson nie zareagował na to z taką goryczą jak wtedy, kiedy odwiedził go detektyw. Bądź co bądź to stary przyjaciel. Ściągnięta twarz Hendersona rozpogodziła się i powitał przybyłego z całą serdecznością.

— Mieszkam tutaj teraz. Jak ci się podoba?

Potrząsali dłońmi tak długo, jakby nigdy nie mieli skończyć. Strażnik zamknął drzwi i odszedł, a oni wciąż trzymali ręce w uścisku.

Ten uścisk dłoni przekazywał ich myśli. Nie potrzebowali mówić, bo doskonale się rozumieli. Henderson był bezgranicznie wdzięczny.

— Przyjechałeś! A więc przyjaźń to nie bujda. Lombard był serdeczny, dodawał ducha.

— Przyjechałem. Niech mnie diabli, jeżeli postawią na swoim. Zrazu jednak unikali istotnego tematu. Mówili o wszystkim, tylko

nie o tym, o czym naprawdę chcieli mówić. Opanowało ich pewnego rodzaju zażenowanie i niepokój, jakie często ogarniają człowieka w obliczu istotnego zagadnienia, które jest zbyt świeże, bolesne i drażliwe, by o nim mówić.

— Ale się wynudziłem w tym pociągu — zaczął Lombard.

— Dobrze wyglądasz, Jack. Widać, że ci tam służy — odpowiedział Henderson.

— Diabła tam służy. Lepiej o tym nie mówić. Parszywa, zakazana dziura. A co za jedzenie! I jakie moskity! Straszny ze mnie dureń, że się dałem naciągnąć na te pięć lat!

— Ale chyba nieźle płacą, co?

— Oczywiście, tylko co tam robić z pieniędzmi? Nie ma na co ich wydać. Nawet piwo ma tam zapach nafty.

— Mimo wszystko paskudnie z mojej strony, że cię musiałem oderwać — bąknął Henderson.

— Oddałeś mi tylko przysługę — zapewniał grzecznie Lombard. — A poza tym kontrakt jest dalej aktualny. Po prostu wydebiłem trochę urlopu.

Odczekał jeszcze chwilę, aż w końcu zdecydował się zapytać o to, co obu ich nurtowało. Nie patrzył na przyjaciela, wzrok utkwiał gdzie indziej.

— Ale właściwie jak to jest z tym, Henty? Henderson próbował się uśmiechnąć.

— No cóż, znalazł się taki w naszej paczce, który za dwa i pół tygodnia weźmie udział w elektrycznym eksperymencie. Co to mi napisali w szkolnej księdze pamiątkowej? „Najprawdopodobniej nazwisko jego będzie drukowane w gazetach”. Trafna przepowiednia. Będzie, i to chyba we wszystkich wydaniach tego samego dnia.

Lombard spojrzał na niego rozżłoszczony.

— Nie, nie będzie. Przestań już stroić żarty. Pół życia spędziliśmy ze sobą. Możemy chyba darować sobie te wszystkie ceregiele.

— Słusznie — przyznał Henderson zrezygnowany. — Cóż, u licha, życie jest takie krótkie. — Po chwili dopiero zauważył niezamierzoną trafność tych słów i uśmiechnął się z zażenowaniem.

Lombard oparł się biodrem o umywalkę, znajdującą się w kącie, nogę ujął w kostce obiema rękami i uniósł w górę.

— Tylko raz ją widziałem — powiedział zamyślony.

— Dwa — poprawił Henderson. — Pamiętasz, spotkaliśmy się wtedy na ulicy?

— O tak, przypominam sobie, pociągnęła cię z tyłu za rękaw, żebyś już szedł.

— Szliśmy kupić jej coś z ubrania, a wiesz, jakie są wtedy kobiety. Cały świat dla nich przestaje istnieć. — I tak usprawiedliwiał dalej kogoś, kto już nie żyje, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo to jest teraz nieważne. — Ciągłe właściwie mieliśmy zamiar zaprosić cię na obiad, ale tak jakoś schodziło... sam wiesz, jak to bywa.

— Doskonale wiem — przyznał Lombard z dyplomatyczną wyrozumiałością. — Żony na ogół nie lubią przyjaciół męża z czasów kawalerskich. — Wyjął paczkę papierosów i rzucił Hendersonowi przez całą szerokość celi. — Tylko nie przejmuj się, jak język ci spuchnie i pokryje się bąblami. Są stamtąd; mieszanka prochu strzelniczego i środków owadobójczych. Nie miałem jeszcze czasu wrócić do naszych.

Zaciągnął się w zamyśleniu.

— No cóż, opowiedz mi lepiej tę historię. Henderson westchnął głęboko.

— Tak, sądzę, że trzeba. Co prawda, powtarzałem to już tyle razy, że mogę trajkotać jak katarynka, nawet we śnie...

— Dla mnie to jedna wielka niewiadoma. Niczego więc, jeżeli możesz, nie pomijaj.

— Małżeństwo moje z Marcellą było tylko namiastką tego, czym być powinno.

Mężczyzna rzadko się do tego przyznaje, nawet przyjaciółom, ale teraz to już jest martwy dom i chyba nie ma sensu tego ukrywać. Mniej więcej rok temu nastąpiło wydarzenie rzutujące na całe moje życie. Ale, niestety, za późno. Nigdy jej nie widziałeś, nic o niej nie wiesz, nie ma więc potrzeby mówić, jak się nazywa. W sądzie zresztą byli na tyle przyzwoici, że nie wymienili jej nazwi-

ska. Przez cały czas nazywali ją dziewczyną. I ja też będę tak mówił: moja dziewczyna...

— Twoja dziewczyna — powtórzył Lombard.

Stał z założonymi rękami, papieros sterczał mu gdzieś poza łokciem, wzrok utkwił w podłodze, pochłonięty słuchaniem.

— Moja dziewczyna, moja biedna dziewczyna. To była prawdziwa miłość, to było właśnie to. Jeżeli nie masz żony, a to na ciebie przyjdzie, jesteś ocalony. A już jak małżeństwo okaże się właśnie tym, wtedy wygrałeś los na loterii. Jeśli jednak jesteś żonaty i to na ciebie wcale nie przyjdzie — też jesteś ocalony, mimo że wtedy żyjesz tylko połowicznie i nawet nie bardzo zdajesz sobie z tego sprawę. A bywa też tak, że przekonujesz się o tym za późno i wtedy chcesz nadrobić.

— Nadrobić... — szepnął Lombard w zadumie, przez którą przebijało współczucie.

— To była czysta miłość. Już za drugim razem, gdy zobaczyłem się z moją dziewczyną, powiedziałem jej o Marcelli. Miało to być nasze ostatnie spotkanie.

Przy dwunastym nadal postanawialiśmy, że to już ostatni raz. Staraliśmy się unikać nawzajem, ale było to tak, jakby opiłki stalowe broniły się przed magnesem.

Po miesiącu naszej znajomości dowiedziała się o niej Marcella. Nie chciałem ukrywać. Powiedziałem jej po prostu wszystko. Na pewno nie był to dla niej szok.

Uśmiechnęła się tylko i czekała. Jakby obserwowała dwie muchy przykryte szklanką.

Poprosiłem ją o rozwód, to był punkt zwrotny. Na twarzy jej znowu pojawił się ten powolny, zamyślony uśmiech. Aż do tej chwili nie zauważyłem, żeby okazywała mi jakieś szczególne przywiązanie. Zdawało mi się raczej, że niewiele ją obchodzi.

Tymczasem powiedziała, że musi się zastanowić. I zastanawiała się. Mijały tygodnie, potem miesiące. Przez cały czas myślała, trzymając mnie w niepewności. Widziałem ten leniwy, drwiący uśmieszek. Ona jedna z nas trojga zdawała się dobrze tym bawić.

Dręczyło mnie to okropnie. Ostatecznie jestem dorosły i chciałem być z moją dziewczyną. Nie miałem zamiaru pozwolić się wykiwać. Nie chciałem przygody; chciałem mieć żonę. A kobieta w moim domu nie była mi żoną... — Rozpostarte palce rąk, którymi zakrył sobie oczy, lekko drżały.

— Moja dziewczyna powiedziała mi wreszcie: „Musi się znaleźć jakieś wyjście. Ona trzyma nas w szachu i doskonale wie o tym. Twoje posepne milczenie to zła taktyka. Wywołuje u niej równie posepny opór. Zwróć się do niej jak do przyjaciela. Weź ją gdzieś wieczorem i szczerze porozmawiaj. Przecież musiało pozostać coś z uczucia, które was łączyło. Przynajmniej jakieś wspomnienie. Zaapeluj do jej dobrej woli czy też tych resztek serdeczniejszego uczucia. Spróbuj ją przekonać, że to najlepsze wyjście z sytuacji, tak dla niej, jak i dla nas”.

Kupiłem więc bilety do teatru i zarezerwowałem stolik w lokalu, w którym często bywaliśmy jeszcze przed ślubem. Przyszedłem do domu i zaproponowałem:

„Wybierzmy się gdzieś razem, tak jak dawniej, dobrze?”

Na jej twarzy znowu pojawił się ten powolny uśmiech. „Czemu nie?” — Poszedłem do łazienki, a ona zaczęła szykować się przed lustrem. Robiła makijaż, tak jak zawsze, znałem to już na pamięć. Pogwizdywałem pod prysznicem. Bardzo ją w tym momencie lubiłem. I wtedy zrozumiałem, na czym polegała cała trudność: po prostu zawsze ją lubiłem i wziąłem to za miłość...

Papieros wypadł mu z ręki, przydepnął go. Nie odrywał od niego oczu. — I dlaczego od razu nie odmówiła? I po co to wszystko, to pogwizdywanie w łazience, ten przedziałek we włosach zrobiony z takim trudem, to zadowolenie, z jakim patrzyłem na wystającą z kieszeni marynarki chusteczkę? Byłem szczęśliwy po raz pierwszy od pół roku. I dlaczego udawała, że chce iść, skoro od początku nie miała zamiaru? Bo taki już obrała sobie system. Uwielbiała trzymać mnie w niepewności. Tak w drobnych, jak i w poważniejszych sprawach.

Stopniowo zaczynałem wszystko pojmować. Jej uśmieszek odbity w lustrze... Ten cały makijaż... Trzymałem w ręku krawat i właśnie miałem go zawiązać. Ale ona całkiem przestała się malować, siedziała nieruchomo, nawet nie podnosząc ręki. Tylko ten uśmiech błąkał się po jej twarzy, uśmiech szydzący z zakochanego... Zakochany, zależny od jej łaski...

Są dwie wersje: ich i moja. Obie zgadzają się do tego momentu, nie ma nawet cienia rozbieżności. Nie wysunęli ani jednego szczegółu, który by nie był prawdziwy. Potwierdzają każdy mój ruch aż do tego momentu. Dobrze przeprowadzili śledztwo, nawet wspañiale. Ale od chwili, kiedy stanąłem za nią z krawatem w rękach, dwie wersje roz-

biegają się tak dalece, jak dwie wskazówki zegara o godzinie szóstej. Moja wiedzie w jedną stronę, ich w drugą. Teraz poprowadzę cię moją drogą, drogą prawdy.

Siedziała tak i czekała, żebym ją zapytał. Tylko zresztą po to siedziała. Uśmiech, spokojne ręce z powagą splecione na brzegu toaletki. Patrzyłem na nią przez chwilę, wreszcie spytałem: „Więc nie idziesz?”

Roześmiała się. Och, jak się śmiała. Głośno, długo, serdecznie. Nie przypuszczałem nigdy, że śmiech może być tak potężną bronią. Zobaczyłem w lustrze swoją pobladłą twarz.

Powiedziała tylko: „Ale nie zmarnuj biletów. Po cóż wyrzucać pieniądze? Weź ją ze sobą. Niech się zabawi, zje z tobą kolację. Niech ma ciebie blisko, *ale nie tak, jak by chciała*”. Taka była jej odpowiedź. I taka już miała pozostać, z czego wtedy zdałem sobie sprawę. Na zawsze, do końca życia. A to potwornie długi czas.

Teraz powiem ci, co było potem. Zacisnąłem zęby i zamierzyłem się, chcąc ją uderzyć prosto w twarz. Nie pamiętam, co się stało z krawatem. Musiał chyba upaść na podłogę. Wiem tylko na pewno, że nie owinął się dokoła jej szyi.

Ale jej nie uderzyłem. Nie mógłbym tego zrobić. Mimo że wyraźnie mnie prowokowała. Nie wiem właściwie dlaczego. Może dlatego, że czuła się bezpieczna i pewna, że jej nie uderzę? Widziała mnie w lustrze, oczywiście, nie musiała się więc odwracać. Drwiła: „Uderz, no już! Na co czekasz? Ale to ci nic nie pomoże. I tak nic nie wskórasz; ani prośbą, ani groźbą”.

Potem powiedzieliśmy sobie o wiele za dużo, jak zwykle w takich razach.

Nawymyślaliśmy sobie porządnie, i to wszystko. Ale ja jej nie dotknąłem. Spytałem tylko: „Przecież mnie nie chcesz, po kiego więc licha trzymasz się mnie tak kurczowo?”

„Chcę cię mieć pod ręką w razie jakiegoś włamania” — odparła na to.

„A więc od tej chwili tylko to nas będzie łączyło” — powiedziałem.

„Ciekawa jestem, czy zauważę różnicę” — dodała.

„Ach, przypomniało mi się. Przecież coś ci się należy. — Wyjąłem dwa dolary z portfela i rzuciłem na podłogę za jej plecami. — To zapłata za małżeństwo. A za przygrywki zapłacę przy wyjściu...”

Pewnie, że to było niskie, ohydne. Złapałem kapelusz i płaszcz i szybko wybiegłem. Ona nadal siedziała przed lustrem i śmiała się.

Śmiała się, Jack. Ja jej nie tknąłem. Słyszałem jej śmiech, nawet jak już zamknąłem drzwi. Przez ten śmiech nie czekałem nawet na windę, tylko zbiegłem po schodach. Przyprawiał mnie o szaleństwo, zdawało mi się, że za wolno uciekam. Słyszałem go jeszcze piętro niżej, a potem nagle ucichł.

Henderson zamilkł na dłuższą chwilę, a obraz, który tak żywo odmalował, stopniowo się zaciemniał, aż zatarł się zupełnie. Na jego zmarszczonym czole widniały kropelki potu.

— A kiedy wróciłem — mówił dalej spokojnie — nie żyła i oni powiedzieli, że to ja ją zabiłem. Orzekli, że śmierć nastąpiła osiem minut i piętnaście sekund po szóstej. Tyle wskazywał jej zegarek. Musiało się to stać w dziesięć minut po tym, jak trzasnąłem drzwiami. Ilekroć

o tym myślę, nawet teraz, przechodzą mnie ciarki. Przecież ten ktoś musiał się już przedtem czaić gdzieś w domu.

— Ale mówisz, że schodziłeś po schodach?

— Mógł się skryć na ostatniej kondygnacji, między naszym piętrem a dachem. Może nawet wszystko słyszał? I widział, jak schodziłem. Może trzasnąłem drzwiami tak mocno, że zamiast się zamknąć, odskoczyły i w ten sposób dostał się do środka. Nim ona to spostrzegła, musiał już być w mieszkaniu. Może właśnie dzięki temu, że tak się śmiała, nic nie było słychać i zauważyła go dopiero wtedy, jak już było za późno.

— Wygląda to na robotę jakiegoś rzezimieszka, co?

— Niby tak, ale *po co* by to robił? Policja nie potrafiła sobie wyobrazić żadnego powodu i dlatego nie wzięła pod uwagę tej możliwości. Nie był to rabunek, bo nic nie zginęło. Sześćdziesiąt dolarów leżało na samym wierzchu, w nie zamkniętej szufladzie, nawet nie przykryte. Nie był to też gwałt. Została zamordowana tam, gdzie siedziała, i tak ją zostawiono.

— Przecież musiał mieć jakiś cel. Może tylko przeraził się czegoś i zrezygnował... Jakiegoś odgłosu z zewnątrz albo też po prostu własnego czynu. Takie rzeczy nieraz się już zdarzały — mówił Lombard.

— Kiedy nawet i to nie jest prawdopodobne — ciągnął ponuro Henderson. — Jej pierścionek z brylantem leżał na toalecie. Przecież uciekając, mógł go chwycić. Ile by mu to czasu zajęło? Nawet założywszy, że uciekał, bo się czegoś przestraszył. Nie tknął go. — Henderson potrząsnął głową. — Krawat mnie pogrążył. Wisiał na wieszaku pod



innymi krawatami. Pasował doskonale do garnituru. Dlatego go wybrałem. Ale nie okreciłem nim jej szyi. Po prostu gdzieś się zapodział w tej awanturze. Musiał chyba upaść na podłogę. W każdym razie złapałem krawat, w którym chodziłem cały dzień, prędko zawiązałem i wypadłem. Potem chyba on musiał się wśliznąć i zobaczyć go na podłodze. Kiedy się do niej skradał, pewnie go podniósł. Bóg wie, kto to był, i Bóg jeden wie, dlaczego to zrobił.

— Może pod wpływem impulsu, bez specjalnej przyczyny, po prostu dla samego zabijania. Mógł to być jakiś obłąkaniec, który kręcił się gdzieś w pobliżu. Ten morderczy instynkt mogła w nim wyzwolić nawet sama wasza awantura. A jeszcze jak zobaczył, że drzwi nie są zamknięte, i pomyślał, że ujdzie mu to bezkarnie, bo na ciebie spadnie wina... Zdarzały się już takie przypadki, sam wiesz.

— Gdyby tak miało być, nigdy go pewnie nie znajdą. Najtrudniej jest zawsze wyśledzić tego rodzaju zabójców. Chyba że jakimś fuksem lub przypadkiem. Któregoś dnia mogą go schwytać z innego powodu, a przy okazji i do tego się przyzna. Ale mnie to już nic nie pomoże...

— A co z tym świadkiem, o którym wspomniałeś w depeszy?

— Właśnie do tego zmierzam. To nikły promień nadziei w całej tej historii. Nawet jeśli nigdy nie dojdą, kto to rzeczywiście zrobił, istnieje pewna szansa, żebym ja się z tego wyplątał. Te dwie rzeczy wcale nie muszą się ze sobą pokrywać. Mogą być całkiem odrębne i nie powiązane, ale każda ma swoje znaczenie.

W miarę jak mówił, uderzał pięścią o dłoń.

— Istnieje kobieta, nie wiem gdzie, ale istnieje na pewno, jak pewne jest to, że siedzimy tu razem i rozmawiamy. Ona jedna mogłaby mnie uwolnić od tych podejrzeń — gdyby powiedziała tylko, o której godzinie spotkaliśmy się w pewnym barze, oddalonym o siedem przecznic od mego domu. Było wtedy dziesięć po szóstej. Ona wie o tym tak samo jak ja. Kimkolwiek i gdziekolwiek jest, wie o tym. Przeprowadzając wizję lokalną, stwierdzili już, że nie mógłbym popełnić morderstwa i jednocześnie być w barze. Jack, jeśli masz zamiar coś dla mnie zrobić, jeśli chcesz mnie z tego wyciągnąć, musisz znaleźć tę kobietę. Ona i tylko ona stanowi odpowiedź.

Lombard milczał długą chwilę. W końcu zapytał: — Jakie podjęto kroki, żeby ją znaleźć?

— Jakie tylko możliwe pod słońcem — padła druzgocąca odpowiedź.

Lombard zbliżył się do pryczy i opadł na nią ciężko.

— Fiu, fiu, fiu — gwizdnął przez splecione dłonie. — Policji się nie udało, nie udało się twojemu obrońcy, wszyscy i wszystko zawiodło, i to wtedy, gdy cała sprawa była jeszcze świeża i mieli dużo czasu — jakież więc ja mogę mieć szanse po tylu miesiącach, mając tylko osiemnaście dni przed sobą...?

Zjawił się strażnik. Lombard podniósł się i wychodząc, musnął dłonią opuszczone ramię Hendersona. Henderson wyciągnął rękę.

— Nie chcesz się pożegnać? — spytał z wahaniem.

— Po co? Przyjdę przecież jutro.

— Czy to ma znaczyć, że jednak chcesz spróbować?

Lombard odwrócił się i spojrzał na niego niemalże zjadliwie, jakby poirytowany pytaniem.

— A czemu to, u licha, myślałeś, że nie zechcę? — odparował.

## **10. Siedemnasty i szesnasty dzień przed egzekucją**

Lombard kręcił się po celi z rękami w kieszeniach, patrząc w dół na własne nogi, jakby ich nigdy dotąd nie widział. Wreszcie przystanął i powiedział:

— Hendo, musisz sobie coś więcej przypomnieć. Nie jestem magikiem, nie mogę wyczarować jej z kapelusza.

— Słuchaj — odpowiedział Henderson zmęczonym głosem — myślałem już tyle, że aż mi głowa puchnie i śni mi się po nocach. Nic nie mogę z siebie więcej wykrzesać.

— Czy rzeczywiście *ani razu* nie spojrzałeś na jej twarz?

— Na pewno mnóstwo razy, ale wcale mi się nie utrwałała.

— No to zacznijmy od początku i raz jeszcze odtwórzmy wszystko po kolei. Nie patrz tak na mnie, to najlepsze, co możemy w tej chwili zrobić. A więc ona już siedziała na stołku przy barze, kiedy wszedłeś.

Może spróbuj przekazać mi swoje pierwsze wrażenie. Postaraj się to odtworzyć. Czasami zachowuje się jaśniejszy obraz z pierwszego wrażenia niż z późniejszych, bardziej wnikliwych obserwacji. No, jakie było twoje pierwsze wrażenie?

— Zobaczyłem rękę sięgającą po precelki. Lombard przyjrzał mu się krytycznie.

— Jak to można wstać ze swojego stołka, podejść do drugiego, zaczepić kogoś i wcale go nie widzieć? Musisz mi kiedyś pokazać tę sztuczkę. Wiedziałeś, że to dziewczyna, prawda? Bo chyba nie myślałeś, że zwracasz się do lustra? Ale *skąd* wobec tego wiedziałeś, że to dziewczyna?

— Miała spódnicę, więc była dziewczyną, nie używała kul, nie była wobec tego kaleką. A obchodziły mnie tylko te dwie rzeczy. Przez cały czas, który z nią spędziłem, miałem przed oczami tylko swoją dziewczynę. Czegóż w tej sytuacji możesz po mnie oczekiwać? — wybuchnął z kolei Henderson.

Lombard przeczekał chwilę, a gdy obaj trochę się uspokoiłi, znów zaczął: — Jaki miała głos? Czy nie nasuwał ci żadnych skojarzeń? Skąd i może z jakiego środowiska pochodziła?

— Wiem, że skończyła tutaj szkołę średnią. Że urodziła się w mieście. Mówiła tak jak my wszyscy. Czystej krwi miejscowa. Bez naleciałości.

— A więc pochodzi z Nowego Jorku, skoro nie zauważyłeś nic obcego w akcencie. Coś nam to zawsze daje. A co w taksówce?

— Nic, zawiozła nas.

— A w restauracji?

Henderson wojowniczo wyciągnął szyję.

— Nic. To nie ma sensu, Jack. Nic nam to nie da. Ja już nie mogę, nie mogę. Po prostu jadła i mówiła, to wszystko.

— No dobrze, ale o czym?

— Nie przypominam sobie. Nie mogę przypomnieć sobie ani słowa. Nie były widocznie godne zapamiętania. Mówiło się, aby czas jakoś zszedł, żeby nie siedzieć w milczeniu. „Ryba była doskonała... Czyż wojna to nie okropność?... Nie, dziękuję za papierosa...”

— Doprowadzasz mnie do obłędu. Musiałeś być rzeczywiście zakochany w tej swojej dziewczynie...

— Byłem i jestem. Ale nie mówmy o tym.

— A co z teatrem?

— Tylko tyle, że stanęła w krzesłach. Ale mówiłem ci o tym chyba ze trzy razy. Powiedziałeś wtedy, że to ci pozwala ją widzieć tylko w tym jednym aspekcie... Lombard przybliżył się.

— Tak, ale *dłaczego* wstała? To pomijasz. Mówiłeś, że kurtyna była podniesiona. A przecież ludzie wtedy nie wstają tak bez żadnego powodu.

— Nie wiem, po co wstała. Przecież nie siedzę w jej skórze!

— Z tego, co widzę, to ty nie siedzisz nawet we własnej! No, mniejsza z tym, powrócimy do tego później. Jak już pozna się skutek, to wkrótce dojdzie się do przyczyny.

Krążył po celi zakłopotany, pozwalając w tej krótkiej przerwie odsapnąć im obydwu.

— Kiedy wstała, to chyba na nią spojrzaleś?

— Patrzenie jest czynnością czysto fizyczną, robi się to za pomocą źrenic. Żeby widzieć, trzeba popracować umysłem, zatrudnić poszczególne komórki mózgu. Patrzyłem na nią przez cały długi wieczór, ale nie widziałem jej ani razu.

— Och, co za tortury! — skrzywił się Lombard, pocierając nasadę nosa. — Wydaje mi się, że nic z ciebie nie wydobędę. Ale musi przecież być ktoś, kto widział was razem! Ostatecznie to nie do pomyślenia, żeby dwoje ludzi snuło się po mieście przez sześć godzin i żeby absolutnie nikt ich nie zauważył.

Henderson uśmiechnął się drwiąco.

— Ja też tak myślałem. I przekonałem się, że byłem w błędzie. Widocznie tego wieczora musiał zajść przypadek masowego astygmaty-zmu w całym mieście. Nawet już sam zaczynałem wątpić w jej istnienie i zastanawiać się, czy z mojej strony to przypadkiem nie halucynacja, kaprys albo wytwór rozgorączkowanej wyobraźni.

— Ale właśnie teraz możesz z tym skończyć — rzucił Lombard krótko.

— Czas minął — rozległ się głos z zewnątrz.

Henderson wstał, podniósł z podłogi zużytą zapalniczkę i podszedł do ściany, gdzie w kilku równoległych rzędach wyrysowane były węglem drzewnym kreski. Wszystkie górne poprzekreślano w X; kilka na dole jeszcze nie. Teraz Henderson dodał następny X.

— I z tym też należy skończyć! — dorzucił Lombard. Splunął w dłonie, podszedł szybko do ściany i za jednym zamachem wytarł wszystkie krzyżyki i kreski.

**No** cóż, posuń się — rzekł wyjmując ołówek i papier.

— Zamieńmy się, teraz ja wstanę — powiedział Henderson. — Jest miejsce tylko dla jednego.

— Teraz już wiesz, czego chcę od ciebie, tak? Surowca, materiału, który nie został jeszcze wykorzystany. Świadców drugiej kategorii, ludzi, którzy nie dostali wezwania do stawienia się na rozprawę, ludzi, których przeoczyła zarówno policja, jak i twój adwokat, Gregory.

— Niewiele żądasz. Duchów raz odegnanych. Duchów drugiej kategorii, które by powiedziały coś więcej o duchu najważniejszym. To może od razu zrobmy seans spirytystyczny.

— Mogą to być całkiem przypadkowi ludzie, tacy, o których ledwie się otarłeś, przechodząc przez ulicę. Istotne dla mnie jest, żebym, o ile to możliwe, pierwszy się z nimi skontaktował. Nie chcę po nikim zbierać resztek. Musi się chyba znaleźć jakiś punkt zaczepienia. Obojętne, niech to będą bardzo nikłe i niewyraźne ślady. Ale chciałbym zmontować jakąś całość. No dobrze. I co dalej? Weźmy teraz bar...

— Ciągle ten bar — westchnął Henderson.

— Z barmanem sprawa załatwiona. Czy poza wami dwojgiem nikogo tam nie było?

— Nie, nikogo.

— Powoli. Zastanów się, ale nie na siłę, bo wtedy nic z tego nie wyjdzie.

Minęły cztery, może pięć minut.

— Poczekaj, we wnęce siedziała jeszcze jakaś dziewczyna i oglądała się za nią.

Zauważyłem ją, jak wychodziliśmy. Przyda ci się to?

Ołówek Lombarda zaczął sunąć po papierze.

— O właśnie, coś w tym rodzaju. Takie rzeczy są mi potrzebne. Możesz coś więcej o niej powiedzieć?

— Nie. Nawet mniej niż o tej kobiecie, z którą byłem w lokalu. Ot, po prostu obejrzała się.

— Co dalej?

— No, taksówka. Ale to także temat już wyczerpany. Kierowca ubawił wszystkich na rozprawie.

— Potem restauracja. Czy w „Maison Blanche” jest szatnia?

— Tak, ale szatniarka należy do tych nielicznych, którzy mają prawo jej nie pamiętać. Po prostu sam trafiłem do szatni, bo moje widmo wstąpiło do toalety. Lombard znów notował.

— W toalecie też mógł być ktoś z obsługi. Ale skoro nikt nie zauważył jej razem z tobą, to jeszcze mniejsza szansa, by zauważono ją samą. A w restauracji czy nikt się za nią nie oglądał?

— Na salę weszła sama.

— No to przejdźmy teraz do teatru.

— Tu przypominam sobie portiera z takimi śmiesznymi wąsami jak u suma. Temu aż oczy wyłaziły na widok jej kapelusza.

— Dobrze, już go mamy. Kreślił coś szybko.

— A co z bileterem?

— Spóźniliśmy się. Poświecił nam tylko latarką.

— To na nic. A jak ze sceną?

— Masz na myśli aktorów? Niestety, przedstawienie toczyło się zbyt szybko.

— Kiedy wstała z miejsca, widzieli ją chyba. Czy policja pytała oto?

— Nie.

— Nie zaszkodzi, jak się tym zajmę. Nie możemy pominąć niczego, rozumiesz, niczego! Nawet gdyby *niewidomy* był wtedy gdzieś w pobliżu, to też trzeba... Co się stało?

— Chwileczkę — rzucił Henderson ostro.

— Co takiego?

— Właśnie mi przypomniałeś. Niewidomy żebrak. Zaczepił nas przy wyjściu... — Widząc jednak, że ołówek Lombarda coś żywo notuje, zaprotestował z niedowierzaniem: — Ty chyba żarty sobie stroisz?

— Tak myślisz? — spytał Lombard spokojnie. — Poczekaj, a sam się przekonasz.

— Znowu podniósł ołówek.

— To wszystko, nic więcej nie pamiętam. Lombard włożył kartki do kieszeni i podniósł się.

— Zrobię wyłom w tej prostej linii — obiecał ponuro. Podszedł do kraty i zastukał, by go wypuszczono.

— I nie patrz na tę ścianę — dodał, widząc, że Henderson skierował roztargnione spojrzenie tam, gdzie wypisywał krzyżyki i kreski. — Oni nie mogą cię tam wsadzić. — Wskazał palcem w przeciwną stronę korytarza, nie tę, w którą się sam udawał.

— Powiedzieli, że tak — mruknął ironicznie Henderson.

Dział ogłoszeń wszystkich gazet:

*Proszona jest o kontakt młoda pani, która dnia 20 maja około godziny 18.15, siedząc we wnętrzu baru Anselma, zwróciła uwagę i obejrzała się za wychodzącą kobietą w pomarańczowym kapeluszu. Sprawa bardzo pilna, czekam na jak najszybszy odzew. Zależy od tego szczęście człowieka. Wszystkie odpowiedzi proszę kierować do skrzynki pocztowej nr 654, dla J.L., powołując się na tę gazetę.*

Nie było żadnych zgłoszeń.

## ***11. Piętnasty dzień przed egzekucją***

### **Lombard**

Otworzyła mu drzwi rozczochrana kobieta, z posiwiałymi włosami opadającymi na oczy, cała przesiąknięta zapachem kapusty.

— O'Bannon? Michael O'Bannon?

A potem zrozumiał tylko tyle: — Niechże pan posłucha. Byłam już dzisiaj w biurze i ten człowiek tam powiedział, że poczeka do środy. Wcale nie chcemy oszukać tej biednej firmy, która tak potrzebuje naszego grosza. I podobno już robi bokami...

— Ja nie jestem inkasentem, proszę pani. Chciałbym tylko pomówić z Michaeliem O'Bannonem, który wiosną pracował jako portier w „Casino”.

— Tak, pamiętam dobrze, że tam pracował — przytaknęła zgryźliwie. Obróciła lekko głowę i dodała podniesionym głosem, jakby chcia-

ła, żeby ktoś inny jeszcze oprócz Lombarda usłyszał: — Tracą robotę, a potem nie chce im się podnieść tyłków, żeby poszukać innej. Siedzą i czekają, aż sama do nich przyjdzie.

Zabrzmiało to tak, jakby gdzieś w głębi mieszkania rozległo się chrząkanie tresowanej foki.

— Mike, ktoś do ciebie! — ryknęła. A potem zwróciła się do Lombarda: — Niech pan lepiej idzie do niego. Jest bez butów.

Lombard wszedł do hallu przypominającego szyny kolejowe, bo zdawał się ciągnąć w nieskończoność, ale wreszcie doprowadzał do pokoju, pośrodku którego stał nakryty ceratą stół.

Tuż obok znajdował się obiekt wizyty Lombarda, rozwalony na dwóch krzesłach, tworząc coś w rodzaju wiszącego mostu, przy czym nie podparta część jego korpusu zwisała ku ziemi. Nie tylko butów mu brakowało. Miał na sobie jedynie szarobeżowy podkoszulek z rękawami do łokci i na tym szelki. Na przeciwległym krześle przez dziury w skarpetkach sterczały w górę palce. Kiedy Lombard wszedł, mężczyzna odłożył na bok różowy program wyścigów i stęchłą fajkę.

— Czym mogę panu służyć? — huknął usłużnie.

Lombard położył na stole kapelusz i usiadł, nie czekając na zaproszenie.

— Mój przyjaciel chciałby się z kimś skontaktować — zaczął poufnie. Czuł, że byłoby nierozsądnie już z góry przerazić tych ludzi, wspominając o wyroku śmierci, policji i tym podobnych rzeczach. Przestraszyliby się pewnie, nie śmieliby nic mu powiedzieć, nawet jeżeli coś wiedzą. — To ogromnie ważne dla niego. W tej chwili najważniejsze. Dlatego tu przyszedłem. Czy przypomina pan sobie mężczyznę i kobietę, jak wysiadali z taksówki pewnego majowego wieczora? Pan na pewno otwierał im drzwi.

— No cóż, wszystkim otwierałem drzwi, to było moje zajęcie.

— Oni przyjechali wtedy dość późno, chyba już ostatni tego wieczora. Ta kobieta miała na głowie jaskrawopomarańczowy kapelusz. Bardzo oryginalny, z cienkim, wysoko sterczącym piórkiem. Kiedy wysiadła z taksówki, niemal otarła się o pana, a kapelusz mignął tuż przed oczami. Popatrzył pan za nim: wolno, uważnie... Wie pan, jak to bywa, kiedy coś przesunie się nazbyt blisko i nie można się zorientować, co to było...



— Niech się pan zda na niego — wtrąciła wyzywająco od drzwi żona. — Wystarczy, że kobieta, która miała to na sobie, była ładna. Na pewno się przyjrzał, bez różnicy, co to takiego było.

Nie zwracali na nią uwagi. Lombard mówił dalej:

— Mężczyzna widział, jak pan się jej przyglądał, i powiedział mi

**O** tym. — Położył ręce na ceracie i pochylił się w jego stronę. — Przypomina pan sobie? Pamięta pan? Czy w ogóle przypomina pan sobie tę kobietę?

O'Bannon wolno potrząsnął głową, przygryzł wargę, po czym znów potrząsnął głową. Spojrzał na Lombarda z wyrzutem. — Czy zdaje pan sobie sprawę, czego pan ode mnie żąda? Wszystkie te twarze, noc po nocy... Prawie zawsze dwoje, kobieta i mężczyzna...

Lombard długą jeszcze chwilę siedział pochylony ku niemu, jakby intensywnością wzroku chciał ożywić w nim pamięć.

— Niech pan spróbuje. Niech pan sobie przypomni. Niech się pan postara, dobrze, O'Bannon? Dla tego człowieka to sprawa życia i śmierci.

Zona wolno podchodziła coraz bliżej, ale nie odzywała się słowem. O'Bannon jeszcze raz potrząsnął głową, teraz zdecydowanie.

— Nie — powiedział. — Przez cały czas, jak tam pracowałem, spośród wszystkich, którym otwierałem drzwi, zapamiętałem sobie tylko jednego. Facet zjawił się pewnego wieczora okropnie zalany. Otworzyłem mu auto, a on wypadł prosto na twarz, ledwie zdążyłem go złapać...

Lombard podniósł się, żeby przerwać potok niepotrzebnych reminiscencji, na które się niewątpliwie zapowiadało.

— A więc nic pan nie pamięta, jest pan tego pewien?

— Nie, nie pamiętam, jestem pewien. Sięgnął po cuchnącą fajkę i program wyścigów.

Żona podeszła wreszcie całkiem blisko. Już od dłuższego czasu zbliżała się z rozmysłem w kierunku Lombarda. Wysunęła koniuszek języka, jakby się nad czymś zastanawiała, po czym odezwała się:

— A gdyby tak sobie przypomniął, to co mielibyśmy za to...?

— Myślę, że nieomieszkałbym się odwdziaczyć, gdybym tylko dowiedział się, czego mi potrzeba.

— Słyszysz, Mike? — Rzuciła się na męża, jakby chciała zaatakować, i zaczęła energicznie potrząsać jego ramieniem. Wydawało się, że

zarabia ciasto albo masuje zwichnięcie. — Postaraj się, Mike! No, spróbuj!  
Usiłował odsunąć ją łokciem, osłaniając głowę.

— Aniby jak, skoro trzęsiesz mną jak gruszą. Gdybym nawet miał to w głowie, gdzieś głęboko, na pewno byś mi wytrzęsła.

— No cóż, nic z tego nie będzie, jak widzę — westchnął Lombard i zawiedziony ruszył z powrotem długim korytarzem.

Z pokoju dobiegło żalosne zawodzenie kobiety. Pewnie wznawiała atak na zatwardziałe mężowskie ramię.

— Patrz, odchodzi! Och, Mike, co się z tobą dzieje? Przecież ten człowiek chce tylko, żebyś coś sobie przypomniał, a ty nawet tego nie potrafisz zrobić!

Musiła chyba wyładować rozczarowanie na przedmiotach martwych, bo rozległ się ryk udręczonego protestu:

— Moja fajka! Moje wyścigi!

Lombard zamknął już drzwi za sobą, a jeszcze słyszał ich podniesione głosy. Nagle zapanowała podejrzana cisza, najwyraźniej coś knu-li. Lombard schodził na dół, ale wyraz jego twarzy wskazywał, że wie, co się święci.

Po chwili dał się słyszeć tupot nóg w hallu, drzwi otworzyły się szeroko i żona portiera zawołała za nim gorączkowo:

— Niech pan zaczeka! Niech pan wróci! Właśnie sobie przypomniał! Dopiero teraz!

— Ach, tak? Przypomniał sobie? — powiedział oschle Lombard. Zatrzymał się i spojrzał na nią, ale nie zdradzał ochoty, żeby zawrócić. Wyciągnął portfel i przesunął po nim znacząco palcem. — Niech pani spyta, czy ta kobieta miała rękę na białym, czy czarnym temblaku.

Przekazała głośno pytanie mężowi, a po chwili odpowiedź Lombardowi, z lekkim wahaniem w głosie:

— Białym, na wieczór, wie pan. Lombard schował portfel.

— Pudło — odparł niewzruszenie i ruszył w dół po schodach.

## 12. Czternasty, trzynasty i dwunasty dzień przed egzekucją

### Dziewczyna

Już od kilku minut siedziała na stołku, kiedy spostrzegł jej obecność. To zdumiewające, bo wcale nie było tłoczno, ledwie kilka osób, i to rozproszonych; musiała więc przyjść cichaczem i niepostrzeżenie usiąść przy barze. Dopiero zaczął zmianę, więc zapewne pojawiła się przed chwilą, jakby specjalnie wybrała ten moment, by przyjść nieomal z nim razem.

Jeszcze jej nie było, kiedy wyszedł z szatni w świeżo wypranej i wy-krochmalonej marynarce i obrzucił wzrokiem swoje królestwo, tego był pewien. Odwróciwszy się od mężczyzny, którego obsługiwał przy drugim końcu baru, spostrzegł dziewczynę siedzącą bez ruchu i natychmiast zapytał:

— Słucham panią?

Pomyślał, że jakoś szczególnie długo mu się przygląda. I zaraz, jakby na marginesie, przemknęła mu następna myśl — że chyba się pomylił, że pewno mu się zdawało. Ostatecznie wszyscy, wydając mu polecenia, zawsze na niego patrzą.

Ale jej spojrzenie było zupełnie inne. Chociaż początkowo nie przykuwało uwagi, kazało do siebie powracać. Było to spojrzenie wymowne, znaczące. Spojrzenie, które miało swoją niezależną wymowę, nie było tylko dodatkiem do zamówienia. Popatrzyła bezpośrednio na *niego*, na tego, do którego zwracała się z zamówieniem. Wzrok jej mówił: „Przyjrzyj mi się i zapamiętaj mnie dobrze”.

Poprosiła o małą whisky z wodą. Kiedy odwrócił się, by spełnić polecenie, jej oczy ciągle spoczywały na nim.

Przez moment poczuł się zagubiony, niezdolny pojąć tego dziwnego spojrzenia, które uleciało równie szybko, jak na nim spoczęło. Nie trapił się tym długo, było i przeszło. Ale to miały być dopiero początki.

Przyniósł whisky i natychmiast odwrócił się do następnego klienta. Minęło trochę czasu. Nawet o niej nie myślał, wywietrzało mu to z głowy. Przez ten czas powinna była zmienić pozycję: poruszyć ręką,

podnieść albo przestawić szklankę czy choćby rozejrzeć się po sali. Ale nie. Siedziała nieporuszona, jakby żywcem wycięta z widokówki.

Jej szklanka stała w tym samym miejscu, gdzie ją postawił. Tylko oczy były w ruchu. Gdziekolwiek się poruszył, wodziła za nim wzrokiem.

Miał chwilę przerwy w zajęciach i znów natknął się na wpatrzone w siebie oczy, po raz pierwszy od momentu, kiedy zdał sobie sprawę z ich uporczywości. Pojął, że musiała przyglądać mu się przez cały czas, chociaż tego sobie nie uświadamiał. Wyprowadziło go to z równowagi, nie mógł bowiem zrozumieć, czemu to robi. Rzucił okiem w lustro, czy twarz i marynarkę ma w porządku. Tak, wyglądał jak zawsze, nikt prócz niej nie zwracał na niego uwagi.

Nie potrafił znaleźć na to żadnego wytłumaczenia. Nie ulegało wątpliwości, że robione to było celowo, gdziekolwiek się bowiem poruszył, spojrzenie wszędzie go ścigało. Nie było to szklane, senne, zamysłone spojrzenie; w oczach dziewczyny przebijała inteligencja.

Skoro raz to sobie uświadomił, nie mógł się już tej myśli pozbyć — miała go dręczyć i niepokoić.

Zaczął sam niepostrzeżenie obserwować dziewczynę i za każdym razem miał nadzieję, że ona tego nie zauważy. Ale ilekroć na nią spojrzął, ona też patrzyła i nie spuszczała z niego wzroku, nawet kiedy on już przestał patrzeć. Z początku czuł się zakłopotany, potem ogarnął go niepokój.

Nigdy w życiu nie widział, żeby ktoś tyle czasu siedział bez ruchu. Zdawała się nie pamiętać, że stoi przed nią pełna szklanka. Siedziała, jakby wcielił się w nią Budda, i nie spuszczała z niego poważnych oczu!

Niepokój zaczął przeradzać się w udrękę. W końcu podszedł do niej.

— Nie pije pani?

Dobrze naciągnął łuk, ale spudłował. Strzała obsunęła się po niej, nawet nie drasnąwszy.

Odpowiedź była bezbarwna, wymijająca:

— Proszę zostawić.

Miała przewagę, gdyż była dziewczyną, a te nie muszą powtarzać przy barze kolejek, jak zwykli czynić mężczyźni, którym zależy na przyjaznym traktowaniu. Poza tym nie flirtowała, nie szukała znajomości, zachowywała się nienagannie, był więc wobec niej bezsilny. Od-

szedł pokonany, nie przestając się oglądać; jej oczy podążały za nim niestrudzenie. Niepokój już go nie opuszczał. Próbował nic sobie z tego nie robić; wzruszył ramionami, rozluźnił kołnierzyk.

Czuł, że ona patrzy, ale nie odwracał głowy, żeby się upewnić. To jednak tylko pogorszyło sytuację.

Żądania coraz liczniejszych gości, zamiast go męczyć, przynosiły ulgę. Ciągły ruch odsuwał myśl o nekającym go spojrzeniu. Ale pozorny spokój mijał, gdy już wszystkich obsłużył, nie miał co wytrzeć ani też komu napełnić kieliszków, a wtedy nadchodził moment, kiedy intensywność jej wzroku stawała się nie do zniesienia. Nie wiedział wówczas, co ma zrobić z rękami czy ścierką.

Kiedy ścinał nożem pianę, przewrócił kufel z piwem. Nacisnął też niewłaściwy klawisz przy kasie.

Wreszcie, doprowadzony niemal do granic wytrzymałości, postanowił znów stanąć z nią oko w oko.

— Czym mogę pani służyć? — spytał z ostrą, zduszoną urazą. Odpowiedziała monotonnym, bezbarwnym głosem:

— Nie prosiłam o nic. Pochylił się ciężko nad barem.

— A może jednak czegoś pani potrzeba?

— Czy powiedziałam, że mi potrzeba?

— Zechce pani wybaczyć, ale czyżbym pani kogoś przypominał?

— Nie, nikogo. Brnął dalej.

— Myślałem sobie, bo tak mi się pani przygląda... — odezwał się niepewnie.

Miało to zabrzmieć jak wymówka.

Tym razem nie odpowiedziała, ale też i nie spuszczała z niego wzroku. Został pokonany, musiał wycofać się z pola walki.

Nie uśmiechnęła się, nic nie powiedziała, nie okazała ani skruchy, ani otwartej wrogości. Po prostu siedziała i obserwowała go oczami sowy, z wyrazem niezgłębionej powagi.

Posługiwała się straszliwą bronią. Trudno zrozumieć, jak nie do zniesienia może być taka uporczywa obserwacja, trwająca dłuższy czas, powiedzmy godzinę, dwie, trzy, a trudno jest dlatego po prostu, że nigdy się to nie zdarza, odwaga ludzka nie bywa wystawiana na taką próbę.

Teraz on doświadczał tego spojrzenia i powoli odbierało mu odwagę, całkiem go paraliżowało. Czuł się bezbronny; półkolem otaczał go bufet i nie mógł od niego odejść, a poza tym wystarczało już samo spojrzenie. Ile razy próbował je odeprzeć, przekonywał się, że to tylko spojrzenie, że nie da się tego uczynić. Ona miała nad tym władzę. Było tak samo nieuchwytnie i nienamacalne, jak blask, jak promień światła.

Wystąpiły u niego objawy, których dotąd nie zauważał, a które noszą naukową nazwę agorafobia, i zaczęły go nękać ze wzrastającą gwałtownością; zapragnął nagle skryć się, uciec do szatni albo przysiąść pod ladą, znaleźć się poza zasięgiem jej wzroku. Kilka razy otarł ukradkiem czoło z potu. Oczy jego coraz częściej szukały zegara wiszącego tuż nad głową, zegara, od którego kiedyś — jak mu powiedziano — zależało życie człowieka.

Marzył, żeby sobie stąd poszła. Zaczął się o to modlić. I równocześnie wiedział, wiedział od dłuższego już czasu, że dziewczyna nie ma zamiaru się wynieść, że wyjdzie dopiero, jak będą zamykać lokal. Wszystkie możliwe powody, dla których ludzie szukają zwykle miejsca przy barze, w jej przypadku nie wchodziły w rachubę. Nie przyszła tu na spotkanie, bo dawno już ktoś by się zjawił. Ani po to, żeby się napić, bo szklanka już od paru godzin stała nie tknięta. Przyszła tu wyłącznie w jednym celu: żeby na niego patrzeć.

Nie widząc innego sposobu uwolnienia się od niej, czekał na zamknięcie lokalu jak na wybawienie. W miarę jak malała ilość klientów, a jednocześnie mniej rzeczy mogło przykuwać jego uwagę, rosła proporcjonalnie jej zdolność przyciągania uwagi. Niebawem przy barze zrobiło się prawie pusto, przez co jeszcze bardziej czuł bezlitosną obecność tej dziewczyny o twarzy Meduzy.

Upuścił kieliszek, co mu się nie zdarzało od wielu miesięcy. Zupełnie tracił głowę. Spojrzał na nią spode łba i przeklinał ją w duchu, zbierając szczątki potłuczonego szkła.

Wreszcie, kiedy myślał, że to już nigdy nie nastąpi — duża wskazówka zegara zatrzymała się na cyfrze 12; była godzina czwarta, czas zamknięcia lokalu. Dwaj mężczyźni, zajęci poważną rozmową, podnieśli się z miejsc, nie przynaglani, i skierowali do wyjścia, nie przerywając przyjacielskiej pogawędki, prowadzonej przyciszonym głosem. Ale ona nie poruszyła się, nie drgnął jej nawet jeden mięsień. Siedziała nad

nietkniętą szklanką. Patrzyła, obserwowała, wodziła wzrokiem bez zmrużenia oka. — Dobranoc szanownym panom! — zawołał głośno za wychodzącymi gośćmi, w nadziei, że ona to zrozumie.

Dziewczyna nie poruszyła się.

Otworzył szafkę i przekreślił kontakt. Zgasło zewnętrzne oświetlenie, pozostało to w środku, ukryte gdzieś poza ladą, i niczym promienie zachodzącego słońca pełzało po lustrach i butelkach stojących pod ścianą. Wyglądał na ich tle jak ciemna plama, a jej twarz, ledwie oświetlona, która wyłaniała się z otaczających ciemności, zdawała się być bezcielesna.

Podszedł do niej, zabrał szklankę i tak gwałtownym ruchem wylał nie wypitą whisky, że aż się rozprysła.

— Już zamykamy — odezwał się ochryplym głosem. Nareszcie się poruszyła. Nagle stanęła na nogi, ale przytrzymała

na chwilę stołek, żeby przywyknąć do zmiany pozycji.

Zręcznymi palcami rozpiął marynarkę, aż w końcu wybuchnął: — Co to ma znaczyć? Co to za zabawa? Co pani sobie myśli?

W milczeniu przeszła wolno przez pogrążoną w ciemnościach salę, jakby nie słyszała jego pytania. Nawet nie przypuszczał, by taka prosta rzecz, jak widok dziewczyny opuszczającej bar, mogła człowiekowi sprawić taką bezgraniczną ulgę. Z rozpiętą już marynarką, jedną ręką oparł się mocno o bar i zupełnie wyczerpany pochylił się w kierunku, gdzie odeszła.

Przy wyjściu paliło się światło, znowu więc ją zobaczył. Na chwilę zatrzymała się w drzwiach i odwróciwszy się, jeszcze raz spojrzała na niego poprzez salę — długo, przeciągle, z wyraźnym celem. Jakby chciała podkreślić, że to wszystko nie było złudzeniem; nawet więcej, że to jeszcze nie koniec, a tylko małe interludium.

Zamknawszy potem drzwi baru na klucz, odwrócił się do ulicy: stała spokojnie na chodniku, zaledwie kilka kroków dalej. Była zwrócona twarzą do drzwi, jakby czekała na niego.

Musiał przejść tuż obok niej, w odległości jednego kroku, gdyż chodnik był wąski, a ona stała na środku. Wolno odwróciła za nim głowę, ale nie odezwała się. Ponaglany jej uporem, mimo że przed chwilą postanowił ja zignorować, sam się odezwał:

— Właściwie czego pani ode mnie chce? — burknął gburowato.

— Czy ja mówiłam, że coś od pana chcę?

Już zdawało się, że pójdzie dalej, ale obrócił się na pięcie i stanąwszy tuż przed nią, zaczął oskarżać cielsko:

— Siedziała pani tam, nie spuszczać ze mnie wzroku. Słyszysz pani? Ani na moment, przez całą długą noc! — Złożył ręce i wyciągnął je w górę, jakby wołając o pomstę do nieba. — I teraz znów pani tu czeka...

— Czy istnieje zakaz stania na ulicy?

Pogroził jej palcem. — Ostrzegam panią, młoda kobieto! Mówię to dla pani własnego dobra.

Nie odpowiedziała, nawet nie otworzyła ust. A milczenie jest zawsze najmocniejszym argumentem. Odwrócił się i począł dalej, dysząc ciężko z poczucia własnej bezsilności.

Nie oglądał się za siebie, ale wiedział, że ta dziewczyna podąża za nim. Zresztą nie kryła się z tym wcale. W ciszy nocnej wyraźnie rozległ się stuk jej cienkich obcasów.

Przecznice przesuwają się koło niego niczym asfaltowe koryta strumieni. I znów następna, i znów następna. A przez cały ten czas, kiedy miasto wolno obracało się z zachodu na wschód, w pewnej odległości za sobą słyszał nieśpieszne stuk, stuk, stuk.

Odwrócił głowę, żeby po prostu ją ostrzec. Szła z jakąś szaleńczą obojętnością, jakby to była trzecia po południu. Stała wolno, nieomal uroczyście; tak chodzą często kobiety, które trzymają się prosto i którym się nie spieszy. Zaczął iść, ale po chwili znowu się odwrócił, teraz już całym ciałem, i rzucił się w jej stronę w gwałtownym wybuchu niepohamowanego podniecenia.

Przystanąła, ale nie ustąpiła placu, nie cofnęła się ani o krok. Zbliżywszy się, ryknął jej prosto w twarz:

— Niech pani zawraca, słyszysz pani? Już dosyć tego! Proszę zawracać, bo jak...

— Ja też idę w tę stronę.

To była jedyna jej odpowiedź.

I znów miała przewagę. Ich role się przecież odwróciły... Bo jakże mężczyzna zechce narazić się na śmieszność i zwrócić do policjanta ze skargą, że samotna młoda dziewczyna chodzi za nim po ulicy? Ani mu nie wymyślała, ani go nie nagabywała, po prostu szła w tym samym



kierunku. Znow się czuł wobec niej tak samo bezradny, jak przedtem w barze. Przez kilka chwil stał przed nią, nie zmieniając pozycji. Ale znać było wyraźnie, że chce zachować twarz, że tylko czeka, aby wycofać się z tej fałszywej sytuacji w jak najmniej kłopotliwy sposób. W końcu odwrócił się i parsknął przez nos, niby wojowniczo, ale w gruncie rzeczy dość bezradnie. Oddalił się, by kontynuować swą wędrówkę do domu.

Dziesięć kroków, piętnaście, dwadzieścia. Jakby na dany sygnał rozległo się za nim równe, odmierzone stuk, stuk, stuk, niczym krople deszczu spadające w kałużę.

Znow szła za nim.

Okrzyżł narożnik i jak co dzień, prosto z ulicy, zaczął się wspinać po schodach, by złapać kolejkę. Zatrzymał się na drewnianej galerijce prowadzącej na perony i spojrzał uważnie na schody, po których dopiero co wchodził, czy czasem nie ukaże się dziewczyna.

Jej kroki rozległy się dźwięcznym stukotem na metalowych okuciach schodów. Po chwili nad podestem ukazała się jej głowa.

Kołowrót zaskrzyphiał za nim, gdy przeszedł na drugą stronę. Stanął w obronnej postawie.

Dziewczyna skierowała się w stronę przejścia tak spokojnie i swobodnie, jakby go tam w ogóle nie dostrzegła. Trzymała w pogotowiu monetę, obracając ją w palcach. Stała oddzielona od niego całą szerokością kołowrotu.

Zamierzył się, jakby chciał ją uderzyć. Gdyby to zrobił, poleciałaby aż do ściany. Obnażał kły jak zły pies.

— Jazda! Wynoś mi się stąd zaraz!

Sięgnął w dół i nim zdążyła wrzucić monetę, zatkał otwór palcem.

Ustała i przeszła do następnego wejścia. Ale on i tam zdążył ją ubiec. Wróciła więc do pierwszego kołowrotu. I tym razem ją ubiegł, blokując otwór. Zawirowało wszystko od łoskotu nadjeżdżającego pociągu, jednego zresztą z nielicznych w ciągu nocy.

Znowu zamierzył się do ciosu, którym jej groził przy każdym nowym spotkaniu.

Gdyby trafił, cios ten by ją powalił. Ale odchyliła lekko głowę z takim grymasem, jakby poczuła jakiś nieprzyjemny zapach. Jego ręka przeszła tuż obok jej twarzy.

Nagle w pobliżu rozległo się energiczne stukanie w szybę. To kasjer wychylił głowę i rękę ze swej obskurnej budki.

— Hej tam, uspokoić się! Co pan wyprawia! Niechże pan nie zabrania ludziom korzystać ze stacji! No już!

Odwrócił się, chciał to jakoś wytłumaczyć, teraz już mógł, bo to nie on zwrócił się o interwencję: — Ta dziewczyna to chyba jakaś pomyłona. Powinno się ją wziąć do zakładu. Łazi za mną krok w krok, nie mogę się od niej odczepić.

Dziewczyna odezwała się tym samym co dotychczas beznamiętnym głosem:

— Czy tylko panu wolno jechać tą linią?

Zwrócił się ponownie do kasjera, który wychylony przez półotwarte drzwi budki, odgrywał z własnej chęci rolę arbitra w tej sprawie.

— Niech pan ją spyta, gdzie jedzie! Pewno sama nie wie! Odpowiedź skierowała do kasjera, ale tonem tak znaczącym, że chyba nie mogła być przeznaczona tylko dla jego uszu.

— Jadę na Dwudziestą Siódmą Ulicę, Dwudziestą Siódmą między Drugą i Trzecią Aleją. Więc chyba z tej stacji, co?

Mężczyzna zagradzający jej przejście pobladł tak raptownie, jakby słowa dziewczyny miały dla niego jakieś ukryte znaczenie. I rzeczywiście miały. On przecież tam mieszkał. A ona już wcześniej o tym wiedziała. Zupełnie bezcelowe więc było to zatrzymywanie czy też jakakolwiek próba zdystansowania jej.

Kasjer majestatycznym ruchem ręki zdecydował: — Proszę, niech pani przechodzi!

Jej moneta nagle jakby urosła w świetle reflektora i dziewczyna przeszła przez następny kołowrót, nie czekając, aż ustąpi z drogi. Zresztą nie był nawet w stanie tego zrobić, nie żeby nadal trwał w uporze, ale po prostu dlatego, że nagle jakby go sparaliżowało, kiedy przekonał się, że ona dobrze wie, dokąd on zmierza.

Tymczasem nadjechał pociąg, tylko że w przeciwnym kierunku. Po chwili zniknął i stacja znów opustoszała.

Dziewczyna posunęła się bliżej toru i stanęła w wyczekującej postawie. W końcu i on ruszył za nią, ale zatrzymał się o jakieś dwie kolumny dalej. Chociaż oboje spoglądali w tym samym kierunku, skąd miał nadejść pociąg, on mógł ją widzieć, ona jego nie mogła.

Wreszcie, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, zaczęła się przechadzać po peronie spokojnym krokiem, urozmaicając sobie monotonię oczekiwania takim spacerkiem bez celu, jak zwykle w podobnych oko-

licznościach. W ten sposób znalazła się poza zasięgiem wzroku kasjera, w miejscu, gdzie kończył się dach, a peron się zwężał. Tutaj przystanęła, by wreszcie zawrócić, ale gdy tak stała, wypatrując pociągu, odwrócona do niego plecami, zaczęło ją ogarniać jakieś niewytłumaczone uczucie, uczucie nieuniknionego niebezpieczeństwa...

Zapewne musiało coś być już w samym odgłosie jego kroków po deskach. On też zaczął teraz błądzić po peronie i zbliżał się w jej stronę. Jego ruchy, podobnie jak jej, były ospałe i leniwe. Ale nie o to chodziło. Krok jego, tak wyraźny w tej niezwykle ciszy zalegającej stację, krył w sobie jakieś tajemnicze znaczenie. Wyczuwało się to chociażby w rytmie. Widać było jednak, że panuje nad swoimi krokami i mimo określonego celu usiłuje nadać im charakter przypadkowego spaceru. Zdumiona była, w jaki sposób to wyczuła, w każdym razie nim się odwróciła, wiedziała już, że coś mu przyszło do głowy. A przyszło mu właśnie, jak stała odwrócona, nie wcześniej.

Obejrzała się raptownie.

Znajdował się mimo wszystko trochę dalej niż wtedy, gdy dzieliły ich dwa filary. Ale nie to zwróciło jej uwagę. Przyłapała go, jak spoglądał na szyny biegnące tuż przy nim, przy trzecim torze. I o to właśnie chodziło.

W mig pojęła wszystko. Szturchnięcie łokciem, zręczne potrącenie i podstawienie nogi przy mijaniu... Jednym spojrzeniem objęła swoją rozpaczliwą sytuację. Zapędziła się w odległy kraniec stacji. Nie zdając sobie z tego sprawy, oddaliła się z opiekuńczego zasięgu wzroku kasjera. Jego budka umieszczona była wewnątrz, by mógł doglądać kołowrotów, ale nie obejmował już oczyma rozległego peronu. Na peronie stali tylko we dwoje. Spojrzała przed siebie, napotkała jednak pustą przestrzeń, gdyż przed chwilą odjechał pociąg w kierunku północnym. W perspektywie nie widać było drugiego, co by mogło stanowić wątpliwą obronę. Cofać się równałoby się samobójstwu. Peron kończył się zaledwie kilka kroków za nią, wpędziłaby się w ślepią uliczkę, a tym samym uzależniła od niego jeszcze bardziej. Gdyby zaś chciała dostać się na środkową część peronu, gdzie kasjer zapewniał bezpieczeństwo, musiałaby przejść koło niego, a przecież o to mu chodziło.

Jeśli teraz krzyknie, nie czekając na zaczepkę, w nadziei, że zwabi na peron kasjera, przyśpieszy tym samym bieg wypadków, co wcale jej

nie będzie na rękę. Spojrzawszy na jego twarz, zorientowała się, że jest w stanie najwyższego napięcia i że jej krzyk wywrze prawdopodobnie wręcz odwrotny skutek. Tę chwilową aberrację wywołał u niego raczej paniczny strach niż wściekłość i dlatego krzyk przeraziłby go jeszcze bardziej.

Chociaż i tak przestraszyła go dosyć, partię bowiem swoją rozegrała doskonale. Posuwała się ostrożnie, trzymając się jak najdalej od torów, dopóki nie znalazła się blisko ogłoszeń przytwierdzonych do kraty strzegącej przejścia. Rozpłaszczona nieomal na płacek, posuwała się wzdłuż nich i tylko co jakiś czas wychylała się czujnie w jego stronę. Suknia jej szeleściła, ocierając się po kolei o wszystkie ogłoszenia.

Kiedy pokazała się znów w jego polu widzenia, ruszył w jej kierunku po przekątnej, niewątpliwie by pokrzyżować jej plany. Oboje poruszali się teraz ze straszliwą powolnością — jak dwie ryby leniwie pływające w zbiorniku — na tym wyludnionym peronie, trzy piętra nad poziomem ulicy, z feerią szeroko rozlewających się świateł nad ich głowami.

Oboje jednakowo niestrudzenie parli naprzód i wcześniej czy później musieli się spotkać.

Nieoczekiwanie zaskrzypiał kołowrót i na peron weszła kolorowa dziewczyna wątpliwej konduity; przystanąwszy kilka kroków przed nimi, niezgrabnie się pochyliła, żeby podrapać się w kostkę.

Oboje doznali ulgi, ale stali jeszcze w tej samej pozycji, w jakiej zaskoczyło ich pojawienie się kolorowej dziewczyny. Ona, nadal odwrócona tyłem do tablicy z ogłoszeniami, zaczęła coś sobie poprawiać koło kolan, on wyciągnął rękę w stronę automatu z gumą do żucia. Miał nieomal wypisane na czole, że zamyśla coś nowego. Odwrócił się od niej gwałtownie. Nie padło między nimi ani jedno słowo, cała ta scena, od początku do końca, przypominała jakąś pantomimę, która miała się już nie powtórzyć.

Dziewczyna i tym razem odniosła zwycięstwo.

Na peron, migając światłami, wjechał pociąg; wsiedli do tego samego wagonu, ale z przeciwnych krańców. Siedzieli oddaleni od siebie i zbierali siły po niedawno przeżyтым kryzysie. On miał spuszczone głowę, ona wyprostowana patrzyła na palące się u sufitu lampy. Oprócz nich w całym wagonie jechała tylko ta kolorowa dziewczyna,

która na zmianę to drapała się, to pilnie wypatrywała numerów stacji, jakby chciała upatrzeć sobie jakąś na chybił trafił.

Wysiedli oboje przy Dwudziestej Ósmej Ulicy. Zdawał sobie sprawę, iż ona schodzi za nim po schodach. Wiedział o tym, chociaż ani razu się nie odwrócił. Zdradzało go nieznaczące pochylenie głowy. Jakby się już z tym godził, że będzie szła za nim przez resztę drogi.

Oboje podążali Dwudziestą Siódmą Ulicą do Drugiej Alei, ale po przeciwnych stronach ulicy. Wyprzedzał ją o jakieś cztery domy. Pozwalała mu na to, i tak przecież wiedziała, w które drzwi wejdzie, a on też zdawał sobie z tego sprawę. Pościg stał się w tej chwili mechaniczną czynnością, pozostało tylko jedno nie rozstrzygnięte pytanie: dlaczego? I to było najbardziej istotne w tej sprawie.

Raptem zniknął jej z oczu w ciemnych drzwiach, niedaleko rogu. Niewątpliwie do końca słyszał po przeciwnej stronie ulicy bezlitosne i szaleńczo opanowane stuk, stuk, stuk, ale nie obejrzał się, nie dał poznać po sobie, że słyszy. W końcu rozstali się, po raz pierwszy od ubiegłego wieczora.

Zatrzymała się naprzeciwko tego domu; stała doskonale widoczna na chodniku i obserwowała dwa spośród kilkunastu ciemnych okien.

Niebawem w oknach tych zapaliło się światło, jakby na powitanie oczekiwanego gościa. I niespodziewanie znowu zgasło, jakby ktoś zmienił zamiar. Okna pozostały ciemne. Tylko od czasu do czasu poruszały się i drgały szarawe zasłony, rysując niewyraźne cienie na szybach. Wiedziała, że ją obserwuje, może nawet nie sam. Stała jednak wytrwale.

W głębi ulicy niczym robaczek świętojański przewinęła się kolejka nadziemna. Z przejeżdżającej taksówki kierowca przyjrzał się jej ciekawie, ale wiozł już pasażera. Jakiś spóźniony przechodzień na przeciwległym chodniku obejrzał się jeszcze w nadziei, że dostrzeże z jej strony jakiś gest zachęty. Nie patrzyła i dopiero jak przeszedł, wróciła do poprzedniej pozycji.

Nagle, nie wiadomo skąd, wyrósł przy niej policjant. Widocznie musiał ją obserwować.

— Chwileczkę, proszę pani. Ale tu z tego domu otrzymałem skargę od jednej z kobiet, że pani szła za jej mężem, jak wracał z pracy, a teraz już od pół godziny wystaje pani pod ich oknami.

— Tak, zgadza się.

— Hm, radzę stąd odejść.

— To proszę mnie wziąć pod rękę, jakby mnie pan prowadził, i chodźmy za róg. Zrobił, jak mu kazała, niezupełnie przekonany. Zatrzymali się w miejscu, gdzie nikt nie mógł widzieć ich z okien.

— Proszę. — Podała mu jakiś papier.

W nikłym świetle pobliskiej latarni przyglądał się uważnie podanej kartce.

— Co to jest? — spytał.

— To z Wydziału Zabójstw. Jeśli pan chce, może pan zadzwonić i spytać. Działam za ich wiedzą i pozwoleniem.

— Aha, więc to chodzi o jakąś tajną robotę, co? — spytał ze wzrastającym respektem.

— I proszę nie zwracać uwagi na ewentualne skargi ze strony tych ludzi. Zapewne w ciągu najbliższych kilku dni i nocy zbierze ich pan więcej.

Kiedy policjant się oddalił, wykreśliła numer telefonu. W słuchawce rozległo się pytanie:

— No, jak idzie?

— Widać, że już ma dosyć. Zbił w barze kieliszek i najwyraźniej miał ochotę zepchnąć mnie z peronu.

— Nieźle. Proszę mieć się na baczności i nie zbliżać się zanadto, jak nikogo nie ma na ulicy. Niech pani nie zapomina, że najważniejsze to nie dać mu poznać, co się za tym kryje. / *nie zadawać mu absolutnie żadnych pytań*. Bo jak tylko się zorientuje, w czym rzecz, wszystko weźmie w łeb i cała robota na nic. Trzymaniem w niepewności zupełnie go wykończymy, a o to nam przecież chodzi.

— O której zwykle wychodzi do pracy?

— Około piątej po południu — odpowiedział tamten, jakby miał przed sobą dokładnie spisane wszystkie dane.

— No, to spotkam się z nim jutro, jak będzie wychodził.

Trzeciej nocy właściciel nagle zjawił się przy barze i stanąwszy niedaleko dziewczyny, przywołał do siebie barmana.

— Co to ma znaczyć, że nie obsługuje pan tej młodej osoby? Obserwuję to już od dłuższego czasu. Ona siedzi tak od dwudziestu minut. Czy pan jej nie widzi?

Twarz jego poszarzała, blizny stały się bardziej błyszczące. Tak było z nim zawsze, ilekroć znalazł się w jej pobliżu.

— Ja... nie mogę... — powiedział załamującym się głosem, starając się mówić cicho, by inni go nie słyszeli. — Panie Anselmo, to nieludzkie... ona mnie po prostu torturuje... pan tego nie rozumie... — Zakaszłał, tłumiąc łzy.

Siedząca w pobliżu dziewczyna patrzyła na nich szczerymi, niewinnymi oczami dziecka.

— Już od trzech nocy siedzi tak i patrzy na mnie...

— Skoro patrzy na pana, to znaczy, że czeka, by ją pan obsłużył — zganiał go właściciel. — A co by pan chciał, żeby robiła? — Wpatrywał się uważnie w barmana i dostrzegł coś dziwnego w jego twarzy. — Co się z panem dzieje? Może pan chory? Niechże pan jedzie do domu. Zadzwońię po Pete'a...

— Nie, nie! — zaprotestował tak gwałtownie, że nieomal słyszało się szloch w jego głosie. — Ona znów będzie szła za mną i wystawała pod moim domem całą noc. Wolę zostać, bo tu mam chociaż ludzi dookoła.

— Niech pan przestanie gadać głupstwa i obsłuży tę panią — powiedział Anselmo szorstko. Odwrócił się, rzuciwszy na nią przelotne, taksujące spojrzenie, które go tylko przekonało, jak dobrze jest wychowana, skromna i nieszkodliwa.

Ręka jego, gdy stawiał potem przed nią kieliszek, nerwowo drżała, aż wylał trochę trunku na kontuar.

Nie odezwali się do siebie ani słowem, mimo że oddechy ich prawie się mieszały.

Halo — powitał ją przyjaźnie kasjer, kiedy stanęła przy jego budce. — No, niech tylko pani powie, czy to nie zabawne, że ten facet, który wszedł przed panią, zjawia się tutaj o tej samej porze, co pani, ale nigdy nie jesteście razem. Zauważyła pani?

— Tak — odparła. — Bo my wracamy z tego samego miejsca. Oparłszy się łokciem o gładką powierzchnię parapetu budki, jakby

w zetknięciu z nim znajdowała ochronę i pokrzepienie, paplała trzy po trzy, beztrosko czekając na pociąg. — Przyjemny wieczór, prawda...? Jak sobie radzi pański mały pupilek...? Nie wydaje mi się, żeby drużyna Dodgersów miała jakąś szansę...!

Od czasu do czasu spoglądała na peron, po którym spacerował samotny człowiek, przystawał, to znów znikał z oczu, ale sama nie odważyła się wyjść dalej. Dopiero gdy nadjechał pociąg i otwarto wszystkie przejścia dla pasażerów, szybko pobiegła w stronę pociągu. Mogła teraz zrobić to swobodnie, nie kryjąc się, gdyż na trzecim torze stały wagony.

**W** głębi ulicy niczym robaczek świętojański przemknął pociąg. Z przejeżdżającej taksówki wychylił się zaciekawiony kierowca, ale nie szukał pasażera, bo zjeżdżał na noc do garażu. Jacyś dwaj spóźnieni przechodnie minęli ją, a jeden zawołał wesoło: — No co, kochanie, nie skorzystasz z zaproszenia? — Mężczyźni zniknęli w dali i znów zapanowała cisza.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, rozwarły się drzwi, należące właśnie do tych dwóch okien, i wypadła z nich rozczochrana kobieta, jak wystrzelona z katapulty. Na nocną koszulę miała narzucony płaszcz, a bosc stopy wsunęła w nie zawiązane buty, które przy każdym kroku głośno kłapały. W rękę ścisnęła długi kij od szczotki i pędziła z nim wprost na samotną postać po drugiej stronie ulicy.

Dziewczyna odwróciła się szybko, pomknęła za najbliższy róg i w następną ulicę, ale poruszała się tak, że nie znać po niej było przerażenia; jakby po prostu przezornie się wycofywała, żeby uniknąć niepożądanego spotkania.

Krzyki ścigającej kobiety, szybsze niż ich właścicielka, dogoniły dziewczynę w połowie ulicy: — Już od trzech dni prześladujesz mojego męża! Ja ci pokażę! Niech cię tylko dostanę w swoje ręce, to popamiętasz!

Stała tak chwilę tuż za rogiem i piniąc się z wściekłości, wymachiwała ręką i kijem. A dziewczyna zwolniła kroku, zatrzymała się, po czym wchłonęła ją ciemność.

Kobieta okrążywszy róg weszła z powrotem do domu. Dziewczyna też powróciła na poprzednie stanowisko, wpatrzona w okna po drugiej stronie, jak kot czatujący przy mysiej dziurze.

Pociąg przemknął w oddali... Przejechała taksówka... Zapóźniony przechodzień zniknął w głębi ulicy...

Ciemne okna zdawały się spoglądać na nią bezradnym, zawiedzionym wzrokiem.



— Już niedługo — odezwał się potem głos w słuchawce. — Jeszcze jeden dzień, aby mieć pewność, że facet jest wykończony. Może nawet jutrzejszej nocy...

**Dzisiaj** miał wolny dzień. I już od godziny usiłował się jej pozbyć.

Miał właśnie zamiar znów się zatrzymać. Przejrzała to, tak dobrze znała już wszystkie jego posunięcia. Stał teraz w pełnym słońcu przy ścianie budynku, a nieprzerwany strumień kupujących przepływał koło niego w obydwu kierunkach. Powtarzał ten manewr kilkakrotnie, ale na nic się to zdało. Jak zwykle. Znów ruszył przed siebie; ona też.

Ale tym razem wyczuła jakąś różnicę — to jego zatrzymanie się było jakieś przypadkowe, nieprzemyślane. Jakby nagle pękła tama jego wytrzymałości, właśnie w tym miejscu, i musiał odpocząć. A kiedy się oparł o ścianę, mała, płaska paczuszka, którą trzymał pod pachą, wyślizgnęła mu się i spadła na ziemię. Nie zwrócił na to uwagi.

Dziewczyna zatrzymała się w pewnej odległości od niego, jak zwykle nie próbując udawać, że robi to z jego powodu. Stała, patrząc na barmana swym niezmiennym, poważnym wzrokiem.

Słońce, rozżarzone nieomal do białości, raziło go w oczy, mrużył je więc, i to coraz częściej.

Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, oczy zaszyły mu łzami i nie zważając na przechodniów, rozplakał się bezradnie, a twarz jego stała się w jednej chwili odrażającą, czerwonoceglastą maską.

Dwoje przechodniów zatrzymało się z niedowierzaniem. Za nimi zbierało się coraz więcej ciekawskich. Wkrótce on i dziewczyna znaleźli się w kręgu, który rósł z niesłychaną szybkością.

Zatracił zupełnie poczucie własnej godności. Zwracał się do otaczających go gapiów, jakby u nich szukał pomocy i opieki.

— Spytajcie jej, czego ode mnie chce! — krzyczał poprzez łzy. — Spytajcie, po co ona to robi! I tak już od kilku dni... Dzień i noc, noc i dzień! Ja dłużej tego nie zniosę, nie mogę!

— Co on, pijany? — zapytała jedna z kobiet drugą ironicznym szeptem.

Dziewczyna stała nieporuszona, nie zrobiła najmniejszego ruchu, by uciec przed ciekawością gapiów. Była tak pełna godności, spokoju, a zarazem tak urocza w przeciwieństwie do jego groteskowo-komicznej

postaci, że oczywiście sympatia tłumu przechyliła się na jej stronę. A tłum ma zwykle tendencje sadystyczne. Ludzie zaczęli się uśmiechać. Uśmiechy przeszły w chichot, potem w otwarte drwiny. W następnej chwili wszyscy śmiali się z niego bezlitośnie. Jedna tylko twarz pozostawała niewzruszona, spokojna i całkowicie obojętna. Twarz dziewczyny.

On widowiskiem tym pogorszył tylko swą sytuację. Zamiast jednego sprowadził sobie na głowę trzydziestu dręczycieli.

— Już dłużej tego nie zniosę! Mówię wam, że coś jej zrobię! — Nagle zwrócił się w stronę dziewczyny, jakby chciał się na nią rzucić. Zebrani natychmiast przytrzymali go za ramiona, popychając i poszturchując z groźnym pomrukiem. Przez chwilę zakotłowało się wokół niej. On, schyliwszy głowę, jeszcze raz usiłował się do niej przedrzeć.

Mało brakowało, by teraz wszyscy rzucili się na niego.

Wtedy przemówiła do nich, opanowana i pewna siebie, ale dostatecznie głośno, by każdy mógł ją słyszeć. Na dźwięk spokojnego, czystego głosu wszyscy się zatrzymali.

— Puśćcie go! Zostawcie go w spokoju! Niech idzie w swoją stronę!

W głosie jej nie wyczuwało się ani cienia życzliwości czy współczucia, jedynie lodowatą obojętność. Jakby mówiła: „Zostawcie go, on do mnie należy”.

Jak na dane hasło opadły wyciągnięte w jego stronę ręce, zaciśnięte pięści rozluźniły się, ludzie zaczęli doprowadzać się do porządku. Rozluźnił się też otaczający ich krąg, a w pustym kole pozostał tylko on. I dziewczyna.

Zgnębiony i pełen rozpacz zaczął się miotać na wszystkie strony, szukając jakiejś luki w zwartym pierścieniu. Znalazł wreszcie, skoczył w nią i przedarł się na drugą stronę. Tupiąc ciężko, uciekał od zbiegowiska, uciekał od tej smukłej dziewczyny, która spoglądała za nim, stojąc w płaszczu, mocno ściśnięta paskiem, taka cienka w talii, że mężczyzna objąłby ją bez trudu dwiema rękami. W swym poniżeniu spostrzegł to jeszcze.

Ona sama nie ociągała się zbyt długo. Nie dbała o aplauz tłumu ani nie znajdowała przyjemności w publicznym triumfie. Torowała sobie drogę ramieniem, aż wreszcie wydostała się ze zbiegowiska. Ruszyła w ślad za ciężko stąpającą postacią i prawie biegnąc, lekkim, energicznym krokiem, szybko znalazła się w jego pobliżu.

Dziwny, nieprawdopodobny pościg. Szczupła dziewczyna w biały dzień uganiająca się za krępym barmanem po rojnych ulicach Nowego Jorku.

W mgnieniu oka zorientował się, że nie dała za wygraną. Obejrzał się po raz pierwszy z jakimś ponurym zrozumieniem. Czekala, by spojrzal jeszcze raz, a wtedy wyciągnęła rękę, dając mu znak, by się zatrzymał.

Była pewna, że nadszedł wreszcie odpowiedni moment, że Burgess przyzna jej rację. W tym skwarnym popołudniowym słońcu topniał jak wosk. Pozostawił za sobą tłum, u którego już nie mógł szukać wsparcia; przekonał się o tym niedawno. I wiedział też, że nawet w biały dzień nie będzie dłużej bezpieczny na tych tętniących życiem ulicach.

Jeżeli ona nie zdecyduje się działać teraz, wykorzystując okazję, jego opór zacznie znów rosnąć. Im bardziej się do jej widoku przyzwyczai, tym więcej będzie ją lekceważył.

Teraz wreszcie nadszedł czas; należało po prostu przyprzeć go do muru, zadzwonić do Burgessa, przekazać mu wszystko, by wreszcie zakończył całą tę historię. „Czy przyznaje się pan teraz, że widział kobietę w towarzystwie mężczyzny nazwiskiem Henderson? Dlaczego pan zaprzeczył, że ją pan widział? Kto panu zapłacił czy zabronił przyznawać się do tego?”

Przystanął na chwilę przed nią, koło następnego rogu, rozglądając się za jakąś drogą ucieczki, jak zaszczute, zagonione zwierzę. Widać było, że ogarnęła go panika. Daremnie rzucił się na wszystkie strony w poszukiwaniu jakiegoś schronienia. Już nie była dla niego tylko dziewczyną, którą gdyby chciał, mógł powalić jednym ciosem. Przeistoczyła się teraz w Nemezys.

Kiedy zmaląła dzieląca ich różnica, znowu podniosła rękę. Ale to tylko dołało ostatnią kroplę do i tak przepełnionego kielicha. Tkwił na rogu odgradzony od jezdni cienkim murem przechodniów, którzy czekali na zmianę świateł.

Widząc, jak szybko zbliża się do niego, rzucił jej ostatnie spojrzenie i skoczył w tłum niczym cyrkowiec przez papierową obręcz.

Zatrzymała się tak raptownie, jakby obydwie jej stopy wpadły nagle w jakąś ukrytą szczelinę w chodniku. Rozległ się morderczy jęk hamulców.

Podniosła obydwie ręce do oczu — i zdążyła jeszcze zobaczyć, jak jego kapelusz uleciał wysoko w górę i zatoczył zdumiewający łuk ponad głowami ludzi. Najpierw krzyknęła jakaś kobieta, a potem rozległ się potężny ryk trwogi całego tłumu.

### ***13. Jedenasty dzień przed egzekucją***

#### **Lombard**

Lombard szedł za nim ponad półtorej godziny i wydawało mu się, że chyba nic na ziemi nie porusza się wolniej od niewidomego żebraka. Posuwał się jak żółw, którego żywot oblicza się w stuleciach, a nie jak człowiek, którego żywot oblicza się w latach. Na przejście od jednego rogu ulicy do drugiego potrzebował przeciętnie czterdziestu minut. Lombard kilkakrotnie sprawdzał z zegarkiem w ręku.

Nie miał psa-przewodnika. Musiał się zdać na przechodniów, którzy przeprowadzali go przez jezdnię na każdym skrzyżowaniu. Nigdy go nie zawiedli. Policjanci wstrzymywali pojazdy, mimo zielonego światła, jeśli nie zdążył przejść. A prawie nikt z mijających go ludzi nieomieszkał wrzucić czegoś do puszki, opłaciło mu się więc iść tak wolno.

Dla Lombarda była to nadludzka męczarnia; zawsze czynny, w pełni sił i zdrowia, miał jeszcze w tych dniach wyostrzone do ostatnich granic poczucie wartości czasu. Już kilka razy chciał zawrócić. To były po prostu chińskie tortury. Ale wziął się w garść i starał się mieć go stale na oku, dla uspokojenia pałac niecierpliwie jednego papierosa za drugim. Co jakiś czas zatrzymywał się na dłużej w bramach i we wnękach okien wystawowych, by żebrak mógł się trochę oddalić, a potem doganiał go w kilku susach i znowu przystawał, czekając, aż posunie się dalej w swojej żółwiej wędrówce. Te nagłe zrywy urozmaicały trochę straszliwą nudę.

Pocieszał się tylko, że nie może to trwać wiecznie. Nie może trwać całą noc. Przecież to też człowiek i będzie musiał kiedyś opuścić ulicę, schronić się między ściany, położyć i odpocząć. Nie należy do tych, co żebrzą aż do świtu, bo w nocy niewiele można zbierać, a to stanowi dostateczny powód, by zniechęcić do nocnej włóczęgi.

Żebrak skręcił wreszcie i wszedł między mury, a Lombard zaczynał się już niepokoić, że nigdy to nie nastąpi. Zrobił to na chodniku, który niepostrzeżenie stał się tak opuszczony, że trudno tu było oczekiwać jałmużny. Wręcz odwrotnie, wszystko wskazywało na to, że tutaj przydałoby się wsparcie. Była to ślepa uliczka, odcięta wiaduktem kolejki nadziemnej z nie obrobionego granitu.

W pobliżu stał zmurszały dom —jego nora. Lombard musiał zachowywać czujność, choć jeszcze nie zdawał sobie sprawy, że jest prawie u celu. Pozostał daleko w tyle, bo wszystkie uliczki wokoło były bezлюдne, tylko czasem jakieś inne kroki tłumiły jego własne, a wiadomo, że takie uliczki mają wyczulone uszy. Toteż kiedy żebrak zniknął w bramie, Lombard był o wiele dalej, niżby sobie życzył. Zrobił ostatni zryw, by upewnić się, na które ma wejść piętro. Zatrzymał się przy bramie, po czym ostrożnie wszedł do środka, żeby chociaż trochę słyszeć.

Uszu jego dobiegł stukot laski, niesłychanie wolny. Wydawało się, że to krople wody skapują z zepsutego kranu do wiadra. Wstrzymał oddech, nasłuchując.

Obliczył cztery przerwy w stukaniu i cztery zmiany tempa na każdym zakręcie schodów. Na podestach stukot był głuchszy niż na schodach, aż zamilkł całkiem gdzieś w tylnej części budynku.

Lombard stał, dopóki nie usłyszał odgłosu zamykanych drzwi, po czym ruszył w górę, posuwając się ukradkiem, ale szybko, z całą dotychczas tłumioną energią, której dopiero teraz mógł pofolgować. Okropnie spadziste, spróchniałe schody wykończyłyby każdego; on nawet tego nie zauważył.

W głębi było dwoje drzwi, wiedział, w które wszedł żebrak, bo jedno, zauważył to z daleka, prowadziły do klozetu.

Przystanął na ostatnim stopniu, żeby odetchnąć, po czym ostrożnie zbliżył się do drzwi. Znowu przypomniał sobie, że ściany mają uszy, ale wykonał zadanie bez zarzutu; ani jedna deska nie zachybotwała, co zawdzięczał nie tyle jakiejś szczególnej lekkości swego ciała, ile wspaniałej koordynacji ruchów. Zawsze był pierwszorzędną maszyną, której

miejsce powinno być raczej pod maską wyścigowego samochodu aniżeli w nędznym worku ludzkiej skóry.

Przyłożył ucho do szpary w drzwiach, nasłuchując.

Światło oczywiście się nie paliło, bo ten, kto tam mieszkał, nigdy przecież nie oglądał światła, więc gdyby nawet było zapalone, na nic by mu się nie przydało. Ale za to od czasu do czasu słychać było, że porusza się po mieszkaniu. Lombardowi przypomniało się takie zwierzę, co to wlaźszy do nory, kręci się w kółko, moszcząc sobie wygodne posłanie, zanim ułoży się na dobre.

Nie słychać było żadnych rozmów: musiał być sam.

Lombard czekał dość długo. Teraz już czas. Zapukał.

Krzątanie po mieszkaniu ustało natychmiast, zamilkły wszelkie odgłosy, żeby stworzyć wrażenie pustki. Lombard zdawał sobie sprawę, że ta świdrująca w uszach cisza trwać będzie, dopóki nie odejdzie od drzwi, jeśli, oczywiście, na to pozwoli.

Znowu zapukał.

— Otwierać! — zawołał surowym głosem.

Trzecie pukanie było donośne i natarczywe. Za czwartym razem zaczęli walić pięściami.

— Otwierać! — Głos jego brzmiał brutalnie w panującej ciszy.

Podłoga zaskrzypiała bojaźliwie, po czym dał się słyszeć głos, a nawet przez szeroką szparę przedostawał się oddech, tak blisko że brak stał przy drzwiach.

— Kto tam?

— Przyjaciel.

W głosie zabrzmiało teraz jeszcze większe przerażenie: — Ja nie mam przyjaciół. Nie znam pana.

— Niech mnie pan wpuści. Nic złego panu nie zrobię.

— Nie mogę. Sam jestem i bezbronny. Nikogo nie mogę wpuszczać.

Bał się o swoje pokłosie. Lombard wiedział o tym. I nawet go rozumiał. Aż dziw, że do tej pory nie dobrał się ktoś do jego skarbów, chociażby w taki sposób, jak on teraz to robi.

— Niech się pan nie boi. No już, niechże pan otworzy na chwilę, chcę tylko porozmawiać.

Znowu rozległ się drżący głos:

— Wynoś się pan stąd! Odejdź pan od moich drzwi, bo zacznę przez okno wzywać pomocy.

Była to raczej prośba niż groźba.

Na razie sprawa utkwiła w martwym punkcie. Obaj się nie ruszali. Obaj nic nie mówili. Doskonale uświadamiali sobie wzajemną bliskość. Po jednej stronie drzwi strach, po drugiej zdecydowanie.

W końcu Lombard wyjął portfel i przejrzał go uważnie. Banknot pięćdziesięci dolarowy był największy. Były i mniejsze, ale wybrał ten. Kucnął i wsunął go przez szparę pod drzwiami, po czym wyprostował się i rzekł:

— Niech się pan schyli i pomaca przy drzwiach. Wierzy pan teraz, że nie przyszedłem pana obrabować? No, niechże pan otworzy!

Jeszcze się wahał, ale po chwili dało się słyszeć spuszczenie łańcucha, odsuwanie rygla i w końcu przekręcenie klucza. Drzwi dobrze były zabezpieczone.

Uchyliły się nieco i na Lombarda skierowały się te same czarne szkła niewidomego, które prowadziły go ulicami przez wiele godzin.

— Nikogo więcej nie ma?

— Nie, jestem sam. I nie przyszedłem tu, by zrobić panu krzywdę, może się pan nie obawiać.

— Nie jest pan żadnym agentem?

— Nie, nie jestem agentem. Byłbym wtedy z policjantem. Chcę tylko porozmawiać. Czy naprawdę nie może pan tego zrozumieć?

I wepchnął się do środka.

Pokój niewidoczny był w ciemności, nie istniejący, spowity całunem mroku, jak świat owego człowieka. Na moment rozjaśniła go trochę smuga słabego bursztynowego światła, która padając z korytarza, kładła się na podłodze, ale niebawem zniknęła wraz z zamknięciem drzwi.

— Czy może pan zapalić światło?

\_\_ zaprotestował ociemniały. — Tak mamy równiejsze szanse. Jeżeli chce pan tylko porozmawiać, na co panu światło?

Lombard usłyszał żalosne skrzypienie łóżka. Pewno usiadł na jałmużnie, którą ukrył pod materacem.

— No, dosyć tych głupstw, przecież tak nie mogę rozmawiać. Pomacał wokoło, wreszcie znalazł jakiś rachityczny drewniany fotel na biegunach, przyciągnął go i usiadł.

— Mówił pan, że chce tylko porozmawiać — zabrzmiał w ciemności głos pełen napięcia. — Niech więc pan zaczyna, jak już pan wszedł. Po to, żeby mówić, nie trzeba widzieć.

Teraz z kolei dał się słyszeć głos Lombarda:

— Czy chociaż można zapalić papierosa? Chyba nie ma pan nic przeciw temu? Pan też pali, prawda?

— Jak mam co — odparł znużony.

— Proszę, niech się pan poczęstuje.

Pstryk. I mały płomyk zapalniczki wystrzelił z ręki Lombarda, rozświetlając część pokoju.

Niewidomy siedział na brzegu łóżka, laskę miał położoną w poprzek na kolanach, w razie gdyby potrzebował broni.

Lombard zamiast papierosów wyciągnął z kieszeni rewolwer. Trzymał go przy sobie, ale skierowany na żebraka.

— Proszę się poczęstować — powtórzył uprzejmie.

Ślepiec zeszywniał. Laska potoczyła się z kolan na podłogę. Spazmatycznym gestem podniósł ręce do twarzy.

— Wiedziałem, że po moje pieniądze! — zawołał ochryple. — Nie powinienem był wpuszczać...

Lombard schował broń tak samo spokojnie, jak ją wyjął.

— Jednak widzisz — powiedział cicho. — Wcale nie musiałem się aż do tego uciekać, żeby to stwierdzić. Chciałem tylko, żebyś wiedział, że już to odkryłem.

Wystarczyło, że otworzyłeś drzwi za pięćdziesiątkę. Musiałeś zapalić zapalną i zobaczyć. Gdyby ślepotą nie była zwykłym trikiem, skąd byś wiedział, że to nie jeden dolar? Na dotyk i wielkość oba banknoty są takie same. Dla jednego nie opłacałoby się otwierać drzwi, prawdopodobnie dzisiaj przyniosłeś tu trochę więcej. Dla pięćdziesięciu warto już było zaryzykować — bo to więcej, niż zdołałeś zbierać.

Zobaczył ogarek świeczki, podszedł i przytknął do knota zapalniczkę.

— A więc jest pan agentem? — jęknął żebrak znękany, ocierając wierzchem dłoni pot z czoła. — Powinienem był wiedzieć...

— Nie takim, o jakim myślisz. Nie obchodzi mnie twoje wyłudzenie pieniędzy.

Pocieszyło cię to? — Lombard z powrotem usiadł w fotelu.

— Więc kim pan jest? Czego właściwie pan chce?

— Chcę, żebyś przypomniał sobie coś, co widziałeś, panie Niewidomy — dodał ironicznie. — Teraz słuchaj. Kręciłeś się pewnego wieczora w maju przed „Casino”, zbierając jałmużnę od publiczności...

— Ale ja kręciłem się tam wiele razy.



— Mówię tylko o jednym wieczorze, o tym szczególnym wieczorze. Tylko ten jeden mnie obchodzi. Tego właśnie wieczora mężczyzna i kobieta wyszli z teatru. Ta kobieta miała na głowie jaskrawopomarań-czowy kapelusz z czarnym, długim piórką. Kiedy szli do taksówki, wyciągnęła puszkę... A teraz słuchaj uważnie. Zamiast wrzucić pieniądze, jak zamierzała, bezwiednie cisnęła do puszek tłący się jeszcze niedopałek. Sparzył ci palec. Mężczyzna prędko go wyjął i dla rekompensaty dał dwa dolary. I chyba powiedział coś w tym rodzaju: „Wybacz, staruszk, to przez pomyłkę”. Teraz już musiałeś sobie przypomnieć... Przecież nie co wieczór parzysz się w palec papierosem i nie co wieczór dostajesz od przechodnia dwa dolary.

— A jeżeli powiem, że nie pamiętam?

— Wtedy natychmiast wyciągnę cię stąd i odstawię na najbliższy posterunek jako oszusta. Odrobisz karę w jakimś domu pracy, będziesz figurował w kartotece policji i przyłapią cię, ilekroć wyjdiesz żebrak.

Mężczyzna siedzący na łóżku podrapał się po twarzy w rozterce i podniósł na chwilę ciemne okulary na czoło. — Ale w ten sposób zmusza mnie pan, bym powiedział, że pamiętam, a mogę przecież nie pamiętać.

— Ja tylko zmuszam, byś przyznał się do tego, co niewątpliwie pamiętasz.

— A więc przypuśćmy, że pamiętam, co wtedy?

— Najpierw powiedz, co pamiętasz, potem powtórzysz to pewnemu detektywowi, który jest moim przyjacielem. Albo przyprowadzę go tutaj, albo pójdziemy razem do niego.

Żebrak zadrzał w przyływie nowego strachu. — Ale jak to mogę zrobić, żeby siebie nie zdradzić? I to przed detektywem. Przecież jestem niewidomy, to jak mogę mówić, że ich widziałem? Wyjdzie w końcu na to samo, czym mi pan groził z początku.

— Powiesz to tylko temu jednemu facetowi. Ja już wszystko z nim załatwię, żeby nie wyciągano wobec ciebie żadnych konsekwencji. No jak? Powiesz czy nie?

— Tak — przyznał cicho zawodowy ślepiec. — Widziałem tych dwoje. Zwykle mam oczy zamknięte, nawet za okularami, gdy jestem blisko światła, jak tam przed teatrem. Ale kiedy się sparzyłem, otworzyłem je szeroko. Mogę widzieć przez te okulary, więc zobaczyłem ich oboje, i to dobrze.

Lombard wyjął coś z portfela. — Czy to ten? Niewidomy jeszcze wyżej podciągnął okulary, żeby mu nie przeszkadzały, i popatrzył uważnie na zdjęcie.

— Chyba tak — odezwał się w końcu. — To chyba ten sam facet. Co prawda, tylko raz rzuciłem na niego okiem, i to już dawno.

— A ona? Poznałbyś ją, gdybyś ją znowu zobaczył?

— Poznałbym. Jego widziałem tylko tego wieczora, ale ją przynajmniej jeszcze raz potem...

— Co?! — Lombard poderwał się gwałtownie i cały pochylił nad nim. Zakołysał się pusty fotel. Złapał mocno żebraka za ramię, jakby chciał w ten sposób wycisnąć informacje z tego szkieletu. — Opowiadaj! Prędko!

— Było to niedługo po tym wieczorze, dlatego ją poznałem. Stałem właśnie przed jednym z wielkich, eleganckich hoteli, a wie pan, jak one są *oświetlone*. Usłyszałem kroki na schodach, mężczyzny i kobiety, a potem jej głos: „Poczekaj chwilę, może przyniesie mi szczęście”. Wiedziałem, że chodzi o mnie. Podeszła w moją stronę i wrzuciła monetę. Dwadzieścia pięć centów. Rozróżniam monety po dźwięku. A potem zdarzyło się coś zabawnego, po czym poznałem, że to właśnie ona.

Drobnostka, nie wiem, czy pan by zwrócił na to uwagę. Stała przede mną chwilę, a to mi się nigdy nie zdarzało. Monetę już wrzuciła, wiedziałem, że patrzy na mnie. Albo na coś koło mnie. Trzymałem puszkę w prawej ręce, w którą się sparzyłem, i miałem teraz na niej spory bąbel. Chyba musiała to zobaczyć. Ale niech pan słucha, co było dalej. Usłyszałem, jak powiedziała do siebie: „Jakie to dziwne!” Potem odwróciła się i poszła w stronę mężczyzny. I tyle...

— Ale...

— Chwileczkę, jeszcze nie skończyłem. Uniosłem trochę powieki i zajrzałem do puszkę. Oprócz dwudziestopięciocentówki leżał tam jeden dolar. To ona musiała go wrzucić, bo przedtem go nie było. A dlaczego zmieniła zamiar i dołożyła jeszcze całego dolara? To musiała być ta sama kobieta; zauważyła bąbel i przypomniała sobie to zdarzenie sprzed kilku dni...

— Musiała, musiała. — Lombard niecierpliwie zgrzytał zębami. — Myślałem, że powiesz mi, jak wygląda.

— Nie mogę powiedzieć, jak wygląda z przodu, bo nie miałem odwagi otworzyć oczu. Było zbyt jasno, zdradziłbym się. Kiedy się od-

wróciła i zauważyłem tego dolara, otworzyłem szerzej oczy i zobaczyłem ją z tyłu, jak wsiadała do samochodu.

— Z tyłu! Dobrze, to powiedz przynajmniej, jak wyglądała z tyłu.

— Dokładnie to i z tyłu jej nie widziałem, bałem się za wysoko podnieść oczu.

Widziałem tylko jedwabną pończochę ze szwem i jeden obcas, jak wsiadała. I to wszystko, co potrafiłem zobaczyć przez na pół przymknięte powieki.

— Pomarańczowy kapelusz jednego wieczora. Pończocha ze szwem i obcas innego wieczora, w tydzień potem. — Lombard pchnął go na łóżko. — W tym tempie po dwudziestu latach stworzymy we dwóch całą kobietę!

Podszedł do drzwi i otworzył je. Rzucił mu jeszcze złowrogie spojrzenie.

— Wiesz dużo więcej, jestem tego pewien. Trzeba tylko porządnie cię przycisnąć. Na pewno widziałeś ją dobrze wtedy przed teatrem. A za drugim razem musiałeś słyszeć, jaki adres podawała kierowcy...

— Nie, nie słyszałem.

— Zostaniesz tutaj, zrozumiano? I żebyś się nigdzie nie ruszał. Schodzę na dół i zadzwonię po tego faceta, o którym mówiłem. Chcę, żeby tu przyszedł i razem ze mną wszystkiego wysłuchał.

— Ale to glina, prawda?

— Powiedziałem, że wszystko będzie w porządku. Nie obchodzi nas twoja osoba. Nie masz się czego denerwować. Ale nie próbuj uciekać, bo damy ci takiego łupnia, że popamiętasz...

Zamknął za sobą drzwi.

**Głos** w słuchawce był wyraźnie zdziwiony:

— Już pan coś załatwił?

— Tak, już, i chcę, żeby pan to usłyszał, może na coś się przyda. Myślę, że pan będzie mógł wyciągnąć z niego dużo więcej niż ja. Jestem na Ulicy Sto Dwudziestej Trzeciej, róg Park Avenue, ostatni dom przy torze kolejowym. Niech pan przyjedzie jak najszybciej. Ciekaw jestem, co pan na to powie. Sprowadziłem posterunkowego, żeby pilnował drzwi, dopóki nie wrócę. Dzwonię z najbliższego telefonu, jaki znalazłem. Będę czekał przy bramie...

\*

W kilka minut później z wozu policyjnego wyskoczył Burgess. Samochód, nawet nie zatrzymując się, pojechał dalej, a Burgess podszedł do Lombarda i policjanta, którzy czekali na niego pod domem.

— Tutaj — powiedział Lombard, prowadząc go do środka bez dalszych wyjaśnień.

— Ja mogę już chyba wracać? — zawołał za nimi policjant.

— Bardzo dziękuję! — odkrzyknął Lombard. Byli już na schodach. — To na ostatnim piętrze — wyjaśnił Burgessowi. — Widział ją dwa razy. *Tego* wieczora i w tydzień później. To niewidomy. Niech się pan nie śmieje, oczywiście kanciarz.

— Dla tego samego chociażby warto było tu przyjść — wtrącił Burgess.

Skęcili na pierwszym podeście; szli teraz jeden za drugim, trzymając się poręczy.

— Chce, żeby się go nie czepiano za tę rzekomą ślepotę. Boi się policji.

— Możemy to załatwić, jeżeli będzie warto — mruknął Burgess. Byli na pierwszym piętrze.

— Już tylko jedno — odliczał Lombard nie wiadomo po co. Zatrzymali się, żeby zaczerpnąć tchu przed następnym piętrem.

— Trzeci podest. A co, nie ma światła? — spytał, sapiąc, Burgess. Lombard stanął jak wryty.

— To ciekawe! Widno było, jak schodziłem. Albo żarówka się przepaliła, albo ktoś tu majstrował i wyłączył światło.

— Jest pan pewien, że się paliło?

— Oczywiście. Pamiętam, że w mieszkaniu było ciemno, ale przez uchylone drzwi wpadało światło z korytarza.

— Ja pójdę pierwszy, mam latarkę. — Burgess wyminął Lombarda, przejmując prowadzenie. Zdażył właśnie wyjąć latarkę, gdy na zakręcie schodów nagle potknął się i podparł rękami. — Uwaga — ostrzegł Lombarda. — Cofnąć się.

Zabłyśła latarka, a w jej świetle dojrzeli jakiś wydłużony kształt, leżący bezwładnie i groteskowo powyginany: nogi znajdowały się na stopniach ostatniej kondygnacji, korpus na podeście, a głowa była nienaturalnie i pod ostrym kątem wygięta do tyłu pod samą ścianą. Z jednego ucha zwisały cudem tylko nie stłuczone ciemne okulary.

— To on? — mruknął Burgess.

— Tak — potwierdził Lombard rzeczowo.

Burgess, pochylony nad ciałem, przez chwilę przypatrywał mu się uważnie.

Wyprostował się.

— Skręcił kark. Śmierć na miejscu. — Poświecił latarką w górę, po czym wszedł wyżej, cały czas oświetlając schody. — Wypadek — oznajmił. — Spadł z najwyższego stopnia, głową w dół, i skręcił kark, uderzając o ścianę; Widzę nawet ślady pośliznięcia tutaj, na krawędzi stopnia.

Lombard wspiął się powoli na górę i chrząknął z niesmakiem.

— Żeby akurat teraz taki wypadek! Ledwie go odszukałem... — Stał przy detektywie i popatrzył na niego badawczo. — Nie przypuszcza pan, że coś więcej się za tym kryje?

— Czy nikt nie mijał was, jak czekaliście tam na dole?

— Nie, nikt nie wchodził ani nie wychodził.

— I nie słyszeliście odgłosu upadku?

— Nie, bo przecież weszlibyśmy zobaczyć. Ale jak czekaliśmy na pana, chyba ze dwa razy przejeżdżał tędy długi pociąg. Własnych myśli człowiek nie słyszał.

Mogło to się stać wtedy.

Burgess skinął głową.

— Pewnie dlatego i nikt inny w całym domu nie słyszał. Nie sądzi pan, że jak na wypadek, to zbyt zadziwiający zbieg okoliczności? Mógł przecież sto razy walnąć głową w tę samą ścianę i żyć dalej; mogło go tylko ogłuszyć, nie musiał przecież zaraz skręcać sobie karku. A tu właśnie teraz zabił się na miejscu, choć trudno było na to liczyć.

— A co z tą żarówką? Myślę, że to naprawdę za duży zbieg okoliczności. Wiem, co mówię. Światło na pewno się paliło, jak leciałem na łeb na szyję do telefonu. Gdyby było ciemno, szukałbym drogi po omacku, a ja dobrze pędziłem.

Burgess poświecił do góry i znalazł żarówkę sterczącą ze ściany.

— Nie rozumiem pana — odezwał się, patrząc na żarówkę. — Skoro miał być niewidomy, a przynajmniej ciągle chodził z zamkniętymi oczami, co na jedno wychodzi, jaką rolę mogła tu odgrywać żarówka? Przecież ciemność nie mogła mu przeszkadzać. Przeciwnie, po ciemku chyba pewniej stawiał kroki niż przy świetle.

— Może i tak — odrzekł na to Lombard. — A może wyszedł szybko, chcąc uciec, nim wróce, i w pośpiechu nie zamknął oczu? Z otwartymi czuł się tak samo niepewnie, jak pan i ja z zamkniętymi.

— Teraz wszystko pan płacze. Przecież musiałoby się palić światło, żeby go oślepić. A przez cały czas wmawia mi pan, że się nie paliło. Gdzież tu sens? Jak mógł ktoś liczyć na to, że zleci ze stopnia, i do tego jeszcze skręci sobie kark?

— Zgoda, więc był to niezwykle wypadek. — Ruszając na dół, Lombard machnął ręką ze zniechęceniem. — Tylko jeszcze raz powtarzam, że nastąpił w nieodpowiednim czasie. Ledwie dostałem go w ręce...

— Jak pan widzi, wypadki zdarzają się i zwykle wybierają czas odpowiedni dla siebie, nie dla nas.

Lombard, zawiedziony, schodził na dół ciężkim krokiem.

— Można było coś z niego wyciągnąć, a teraz wszystko przepadło...

— No, niech się pan nie poddaje. Jeszcze znajdzie pan kogoś.

— Ale jeśli chodzi o niego, wszystko przepadło. A było tuż, należało go tylko przycisnąć...

Stanął na podeście, gdzie leżały zwłoki. Nagle odwrócił się.

— Co się stało? Co to było? Burgess wskazał na ścianę.

— Zapaliła się żarówka. Poruszył się pan na schodach i znów świeci. Teraz wiemy już, co się stało: jego upadek przerwał dopływ prądu. Instalacja musi szwankować. Załatwia to sprawę światła. — Skinął na Lombarda. — Może pan zniknąć. Sam zamelduję. Nie ma sensu pana w to mieszać, jeżeli chce pan działać dalej.

Lombard, całkiem zgnębiony, powłókł się na dół i wyszedł na ulicę. Nagle opuściła go energia. Burgess pozostał na górze przy nieruchomo leżącym ciele.

#### ***14. Dziesiąty dzień przed egzekucją***

##### **Dziewczyna**

Burgess wręczył jej skrawek papieru, na którym wypisano następujące dane:  
*Cliff Milburn, muzyk, w ubiegłym sezonie zatrudniony w „Casino”, obecnie gra w teatrze „Regent”.*

I dwa numery telefonów: jeden — komisariatu policji, gdzie można było dzwonić do pewnej określonej godziny; drugi — telefon domowy Burgessa na wypadek, gdyby go potrzebowała po godzinach pracy. Powiedział jej:

— Trudno mi radzić, jak ma pani postępować. Musi pani sama obrać metodę. Ale tu już zapewne instynkt będzie bardziej pomocny niż ja. Tylko proszę się nie bać i mieć na wszystko oczy i uszy otwarte, a będzie dobrze.

I teraz właśnie, stojąc przed lustrem, obierała tę swoją metodę postępowania. Jedyne, co zdołała wymyślić, to zmiana wyglądu. Zniknęło gdzieś jasne, urwisowate spojrzenie; falujące włosy, zawsze tak starannie uczesane, poddała torturom żelaznych lokówek i posmarowała płynem utrwalającym, tworząc fryzurę w kształcie metalowego kasku. Ubioru jej nie cechował już wdzięk pełen młodzieńczej swobody. Włożyła mocno opiętą suknię, na widok której nawet w mieszkaniu oblatywał ją strach. Przerażliwie krótka, zwłaszcza jak usiadła — powinna przyciągnąć jego spojrzenie, a to najważniejsze. Na policzki nałożyła dwa czerwone placki róży, widoczne z daleka jak światła na skrzyżowaniu, z tym że cel ich był zupełnie inny — śmiało naprzód; na szyi zawiesiła sznur koralii. Gdy wsadzała do torebki przesadnie wyhaftowaną chusteczkę, aż zakreśliło ją w nosie od ostrego zapachu perfum. Powieki grubo posmarowała niebieskim cieniem, jakiego nigdy dotąd nie stosowała.

Z fotografii koło lustra przyglądał jej się Scott Henderson, a ona zawstydzona i pełna skruchy szepnęła:

— Nie poznałbyś mnie, kochany, prawda? Nie patrz na mnie, proszę cię, nie patrz! I na koniec jeszcze jeden koszmarny szczegół, by skompletować liczbę jakże nędznych akcesoriów. Podniosła nogę, obsuwając jaskra-woróżową satynową podwiązkę, wykończoną rozetką, tak, by znalazła się w polu widzenia. W każdym razie wtedy, gdy usiądzie...

Odwróciła się szybko. Jego dziewczyna nie powinna tak wyglądać, jak ta w lustrze. Zaczęła po kolei gasić światła — na zewnątrz spokojna, wewnątrz cała podminowana. Tylko ten, kto ją dobrze znał, mógłby to zauważyć. Jemu wystarczyłoby zaledwie jedno spojrzenie, ale nie było go tutaj.

Podeszła do ostatniego kontaktu przy drzwiach i spoglądając w jego stronę, szepnęła cichutko, jak co dzień, gdy wychodziła na miasto.

— Może już dzisiaj, kochany... Może już dziś...

Przekreśliła kontakt i zamknęła drzwi, a on pozostał w ciemności, w ramce za szkłem. Kiedy wysiadła z taksówki, nad wejściem paliły się już neony, ale na chodniku było jeszcze pusto. Chciała tu dotrzeć wcześniej, by wziąć go w obroty jeszcze przed zgaszeniem świateł. Nie bardzo wiedziała, co grają. Zdawała sobie jednak sprawę, że niewiele więcej będzie wiedziała po przedstawieniu. Tytuł brzmiał chyba: „Tańczyć do upadłego”.

Zatrzymała się przy kasie.

— Mam zamówione miejsce na dzisiaj, pierwszy rząd, przy orkiestrze, z boku, na nazwisko Mimi Gordon.

Czekała na tę chwilę tyle długich dni. Sedno sprawy tkwiło w tym, że to nie ona miała oglądać przedstawienie, ale sama być oglądaną. Płacąc za bilet, spytała kasjera: — Jest pan pewien tego, co mi pan mówił przez telefon, że właśnie po tej stronie siedzi perkusista?

— Wszystko się zgadza. Nim odłożyłem bilet, najpierw dobrze sprawdziłem. — Obdarzył ją domyślnym spojrzeniem. — Widzę, że pani jest pod jego wrażeniem. Szczęśliwy facet.

— Nie, myli się pan. To nie o niego osobiście chodzi. Ja nawet go nie znam. No... jakby tu panu wytłumaczyć... Każdy ma jakieś hobby. Moje hobby to perkusja. Zawsze na koncertach staram się siedzieć blisko perkusisty, tak lubię patrzeć, jak gra, to dla mnie wielka przyjemność... Przepadam za perkusją, już od dziecka mnie fascynowała. Wiem, że to brzmi głupio — rozłożyła ręce — ale tak jest naprawdę. — Nie chciałem być wścibski — usprawiedliwiał się speszony. Weszła do środka. Właśnie przed chwilą bileter objął stanowisko przy drzwiach, portier dopiero wychodził z szatni na dole — było jeszcze tak wcześnie. Co prawda nie pisane prawo, że spóźnianie się należy do dobrego tonu, nie obowiązywało tylko na balkonie — ona była pierwszym widzem, jaki zasiadł na parterze.

Usiadła tam — mała, złotowłosa figurka, samotna i zagubiona wśród bezmiaru pustych krzeseł. Ze wszystkich stron szczelnie okrywała swą tanią elegancję płaszczem, odsłoniła tylko przód sukni, by wywołać tym pełniejszy efekt.



Coraz częściej za jej plecami rozlegał się trzask opuszczanych krzeseł, szelest i krzątania, odgłosy tak charakterystyczne dla zapelniającej się stopniowo sali. A ona przez cały czas wpatrywała się w jeden punkt; w małe drzwiczki pod sceną, widoczne tylko od połowy, znajdujące się akurat naprzeciw niej. Przez szparę przesączało się światło i dochodził gwar głosów. Zbierali się tam wszyscy, gotowi już do rozpoczęcia pracy.

Nagle drzwi się otworzyły i członkowie orkiestry zaczęli wychodzić, każdy mocno schylony. Nie widziała go nigdy dotąd, nie miała pojęcia, jak wygląda; czekała więc, aż usiądzie na swoim miejscu. Jeden po drugim zajmowali krzesła rozstawione półkolem tuż pod światłami reflektorów.

Zdawała się całkowicie pochłonięta studiowaniem programu leżącego na jej kolanach, ale spod czarnych rzęs uważnie spoglądała w stronę sceny. Może to ten, teraz... Nie, zatrzymał się o jedno krzesło bliżej. A ten za nim? Z twarzą złoczyńcy. Nieomal odetchnęła z ulgą, gdy usiadł na drugim krześle. Klarncista, zdaje się. A więc ten następny, to na pewno on — nie, odwrócił się i poszedł w przeciwną stronę. Kontrabas.

Przestali już wychodzić. Nagle poczuła się jakoś niepewnie. Ostatni z nich zamknął nawet drzwi za sobą, co oznaczało, że nie ma tam już nikogo. Wszyscy zajęli swoje miejsca i, strojąc instrumenty, przygotowywali się do występu. I dyrygent już stał. Tylko krzesło przy perkusji, naprzeciwko niej, świeciło złowieszczą pustką. A może dostał wymówienie? W takim razie postaraliby się o zastępcę. Może zachorował? Och, że akurat dzisiaj musiało się to zdarzyć! Z pewnością grał przez cały tydzień, a tylko dzisiaj nie przyszedł. Przecież może teraz przez kilka tygodni nie zdobyć tego miejsca; rewia cieszy się nie słabnącym powodzeniem i jest ogromne zapotrzebowanie na bilety. A poza tym ona nie może sobie pozwolić na długie czekanie. Czas jest tak cenny, a niestety ucieka za szybko.

Dochodziły do niej przyciszone głosy muzyków. Siedziała blisko, mogła uchwycić każde słowo, nawet pośród dysonansowego rozgwaru strojonych instrumentów.

— Widziałeś kiedy takiego faceta? W tym sezonie to chyba tylko raz przyszedł punktualnie. A te kary też niewiele dają...

Na to odezwał się saksofonista:

— Pewno podłapał jakąś blondynkę i zapomniał drogi... Mężczyzna siedzący za nimi wtrącił żartobliwie:

— Ciężko teraz znaleźć dobrego perkusistę.

— E, nie tak znowu ciężko.

Patrzyła na spis nazwisk w programie, ale nic nie widziała. Nieomal zeszywniała z tajonej niecierpliwości. Czy to nie ironia, że wszyscy członkowie orkiestry przyszli, a tylko on jeden nie — ten, na którym jej właśnie zależy?

Pomyślała, że ma takie samo szczęście jak Scott owego pamiętnego wieczoru, kiedy to...

Zapadła cisza, jak zwykle przed uwerturą. Wszyscy byli gotowi, zapaliły się lampki nad pulpitemi. I oto nagle, kiedy już przestała obserwować orkiestrę, straciwszy resztkę nadziei, drzwi uchylły się i zamknęły na powrót z szybkością błyskawicy, a jakaś zgięta w pół postać ruszyła poza krzesłami, starając się nie zwracać uwagi dyrygenta, aż wreszcie dotarła do pustego krzesła. Na pierwszy rzut oka przypominał gryzonia i wrażenie to już jej zostało. Dyrygent rzucił mu jadowite spojrzenie. Ale perkusista nie zmieszał się tym wcale. Usłyszała, jak zdyszczanym szeptem zwrócił się do sąsiada:

— Bracie, ale podłapałem coś na pojutrze. Pewna sztuka.

— Pewna, a najpewniejsze, że się nie zjawi — padła sucha odpowiedź.

Nie zobaczył jej jeszcze. Był zbyt zajęty poprawianiem czegoś przy instrumencie.

Ręka jej obsunęła się na bok, sukienka nieznacznie powędrowała w górę.

Zakończył przygotowania.

— Jak tam dzisiaj z widownią? — zapytał.

Odwrócił się i po raz pierwszy, odkąd tu wszedł, spojrzał w kierunku sali ponad barierką proscenium.

Była gotowa. Nie spuszczała z niego oczu. Wreszcie ściągnęła jego uwagę. Musiał chyba trącić łokciem sąsiada, bo dobiegła ją niewyraźna odpowiedź drugiego mężczyzny:

— Och, wiem, też widziałem.

Widocznie strzał był celny. Czują na sobie jego wzrok. Mogła nieomal zakreślić krzywą, po jakiej błędził spojrzeniem. Miała czas. Nie należało działać zbyt szybko, zbyt pochopnie. Pomyślała: „Jakie to dziwne, że chociaż nikt się tego nie uczy, każdy jednak potrafi...”

Całą uwagę skoncentrowała teraz na jednej linijce programu, jakby nie mogła się nasycić jej nieuchwytną treścią. Przeważały tam kropki biegnące przez całą szerokość stronicy, co przykuwało wzrok.

*Victorine*..... Dixie Lee

Policzyła kropki; było ich dwadzieścia cztery, licząc od imienia postaci rewiowej do nazwiska aktora. No, chyba liczyła dostatecznie długo. Musiało już podzielać. Wolno uniosła powieki.

Napotkała jego spojrzenie, ale nie spuściła wzroku. Myślał, że się odwróci, że się rozzłości, a tymczasem nie tylko nie unikała jego spojrzenia, ale gotowa była patrzeć tak długo, dopóki on nie zrezygnuje. Jej oczy zdawały się mówić:

„Interesuję pana? Świetnie, proszę dalej, mnie to nie przeszkadza”.

Był trochę zdziwiony jej gotowością. Patrzył i próbował nawet się uśmiechnąć, skłonny w razie czego natychmiast zetrzeć ten uśmiech z twarzy. Ale i uśmiech przyjęła. Nawet odpłaciła mu takim samym. Uśmiechnął się już teraz wyraźniej, ona też.

Pierwsze lody zostały przełamane, ale oto, jak na złość, za kurtyną rozległ się dzwonek. Dyrygent dał znak, unosząc wyciągnięte przed siebie ręce. Skinął i rozległy się pierwsze takty uwertury, musieli więc na tym poprzestać.

„No, wszystko w porządku — pocieszała się. — Jak na razie, całkiem nieźle.

Przecież nie będą chyba cały czas grali. To się nie zdarza. Musi być jakaś chwila wytchnienia”.

Kurtyna poszła w górę. Słyszała głosy, widziała światła i poruszające się postacie.

Niewiele ją obchodziło, co się dzieje na scenie. Nie przyszła tu, by oglądać rewię.

Przez cały czas myślała tylko o swoim zadaniu, o skokietowaniu muzyka...

Odwrócił się i zagadnął ją zaraz na początku przerwy, kiedy inni przeciskali się na papierosa i krótki wypoczynek.

On znajdował się najdalej od wyjścia i szedł ostatni, mógł więc zaczepić ją nie zauważony, poza plecami kolegów.

Krzesła koło dziewczyny były już puste, co wskazywało, że jest sama — jeśli do tej pory jej zachowanie nie przekonało go o tym dostatecznie.

— Jak się pani podoba?

— Całkiem dobre — mruknęła.

— Co pani robi potem?

Wydeła usta. — Nic, choć chciałabym...

Odwrócił się do wyjścia, ale przedtem jeszcze zapewnił ją zadowolony z siebie: — Teraz już będzie pani zajęta.

Skoro się tylko oddalił, obciągnęła sukienkę, nawet z przesadną surowością. Czowała się tak, jakby dopiero co wzięła gorący prysznic.

Odpęrzyły się mięśnie jej twarzy. Nawet makijaż nie zdołał ukryć tej zmiany.

Siedziała na krańcu pustego rzędu, samotna i zamyślona. „Może już dziś, kochany, może już dziś”.

Kiedy po ostatniej scenie kurtyna opadła i znów zabłyśły światła, a publiczność zaczęła powoli opuszczać salę, ona ociagała się, udając, że coś upuściła i że musi sobie jeszcze coś poprawić.

Orkiestra kończyła grać. Perkusista uderzył ostatni raz w talerze, po czym przytrzymał je palcami, a następnie odłożył pałeczki i zgasił światło nad pulpitem. Miał teraz przed sobą całą noc, czas należał do niego. Odwrócił się do niej powoli, czując się wreszcie panem sytuacji.

— Poczekaj, kochanie, przy wyjściu. Będę tam za pięć minut. Nie potrafiła tego wytłumaczyć, ale już sam fakt, że oczekiwała tu

na niego, był dla niej poniżający. A może to właśnie w nim tkwiło coś takiego i udzielało się wszystkim? Gdy tak spacerowała w tę i z powrotem, czuła ciarki na całym ciele. Trochę się też bała. A na domiar wszystkiego przechodzili obok wszyscy muzycy i obrzucali ją wymownym spojrzeniem — nawet tej przykrości nie mógł jej oszczędzić, musiał wyjść ostatni.

Nagle ku jej zdumieniu porwał ją ze sobą. Nim zdążyła się zorientować, już trzymał ją władczo pod rękę i ciągnął, nie zatrzymawszy się ani na chwilę.

Pomyślała, że to dla niego dosyć znamienne.

— Jak się czuje moja nowa przyjaciółeczka? — zapytał wesoło.

— Doskonale, a jak mój...? — odpowiedziała pytaniem.

— Pójdziemy tam, gdzie cała orkiestra. Bez nich czuję się jak ryba bez wody.

Zrozumiała, o co mu chodzi. Była dla niego nową maskotką, którą chciał wszystkim pokazać. Wybiła północ...

Okolo drugiej w nocy uznała, że jest już dostatecznie oszołomiony piwem, by mogła wziąć się do dzieła. Przez ten czas zdążyli zmienić lo-

kal, mając całą kompanię przy sąsiednim stoliku. Zdawało się, że panuje wśród nich jakaś szczególna etykieta. W następnej restauracji nadal siedzieli przy osobnym stoliku. On wstawał i podchodził do kolegów na chwilę, po czym znów wracał, ale, jak zauważyła, nikt nie dosiadł się do nich. Prawdopodobnie dlatego, że była jego dziewczyną, a oni mieli się trzymać z daleka.

Już od dłuższego czasu czekała na sposobność, by zacząć rozmowę. Zdawała sobie sprawę, że nie wolno zwlekać. Noc przecież nie będzie trwała wiecznie, a wprost nie mogła myśleć o tym, że miałyby przeżywać to znowu.

Okazja nasunęła się sama, właśnie coś, czego chciała, gdy powtarzał jeden z oklepanych komplementów, jakimi zasypywał ją cały wieczór, kiedy tylko przyszły mu na myśl — podobnie jak roztargniony palacz dorzuca do ognia, żeby nie wygasł. — Mówisz, że ja jestem ta naj... najładniejsza ze wszystkich, które kiedykolwiek siedziały na tym miejscu. Ale przecież nie raz ci się pewno zdarzyło, że obejrzałeś się i zobaczyłeś taką, co ci się spodobała. Opowiedz mi o nich.

— Żadna nawet się do ciebie nie umywa.

— No, tylko tak dla zabawy, ja nie jestem zazdrosna. Jeśli miałbyś prawo wyboru, to którą wybrałbyś spośród tych wszystkich ładnych kobiet, jakie siedziały kiedykolwiek na tym miejscu, co ja? Oczywiście, odkąd zacząłeś grać w teatrach.

— Ciebie, rzecz prosta.

— Wiedziałaś, że tak powiesz. Ale po mnie, na drugim miejscu? Chcę tylko sprawdzić, jaką masz pamięć. Założę się, że zapominasz twarze w ciągu jednego wieczora.

— Tak myślisz? No to słuchaj. Otóż pewnego wieczoru odwracam się i widzę damę siedzącą akurat vis-à-vis mnie...

Mocno ścisnęła swą drugą rękę pod stołem, jakby poczuła nagle nieznośny ból.

— To było gdzie indziej, w „Casino”. Sam nie wiem, ale coś mnie w niej wzięło...

Jeden po drugim przesunął się obok ich stolika korowód niewyraźnie majaczących cieni. Ostatni zatrzymał się przy nich na chwilę.

— Schodzimy na dół pograć trochę. Idziecie?

Zwolniła uścisk ręki i opuściła ją z rezygnacją obok krzesła. Wszyscy już podnieśli się z miejsc i przeciskali się teraz w stronę wyjścia znajdującego się w końcu sali.

— Nie, zostańmy tutaj — nalegała, próbując go zatrzymać. — Skończ, co zacząłeś... Ale on już stał.

— Chodź, nie chcesz chyba stracić takiej okazji, głuptasku.

— Czy nie dosyć już tego grania w teatrze?

— Och, tamto to dla pieniędzy, a to dla własnej przyjemności. Chodź, coś usłyszysz. Widząc, że gotów ją tutaj zostawić, że chęć grania silniejszą ma nad nim władzę niż ona sama, wstała niechętnie i zeszła za nim wąskimi kamiennymi schodkami w podziemia restauracji.

Wszyscy zebrali się w przestronnej sali. Znajdowały się tu instrumenty, na których pewno nie raz już grali. Nawet pianino. Z sufitu zwisała na sznurze duża, ale przydymiona żarówka, której słaby blask wzmacniały świece powsadzone w szyjki butelek. Pośrodku stał zniszczony drewniany stół, zastawiony całą baterią flaszek, mniej więcej po jednej na głowę. Któryś z nich na kawałku ciemnego pakowego papieru położył papierosy, by każdy częstował się do woli. Były to jakieś nieznane papierosy, jakich na górze się nie pali, wypełnione czarnym tytoniem. Z marihuaną, słyszała, jak mówili.

Ledwie weszła z Milburnem, zaraz zamknięto za nimi i zaryglowano drzwi, by nikt nie przeszkadzał w zabawie. Była jedyną kobietą w tym towarzystwie.

Każdy usadowił się, gdzie mógł: na skrzyniach, na pustych pudełkach, nawet na antałkach po piwie. Klarnet zagrał żałośnie i zaczęło się szaleństwo.

Dwie następne godziny przypominały dantejskie piekło. Widziała, że nigdy potem nie będzie mogła uwierzyć, by coś takiego przeżyła. Nie chodziło o muzykę, była nawet całkiem dobra. Ale ta fantasmagoria czarnych cieni skaczących po ścianach i suficie; te demoniczne, szalone twarze, które wyłaniały się nagle przy mocnych dźwiękach i po chwili znikwały. Te gęste opary dżinu i dymu z papierosów. Ogarnął ich jakiś szal, przed którym musiała kryć się w najdalszy kąt lub też wskakiwać na skrzynie. Oczywiście co jakiś czas ten i ów obłapiał ją, przypierając do ściany i wyróżniając tylko dlatego, że była dziewczyną:

dmuchali jej prosto w twarz z instrumentów dętych, rozwiewając włosy; była ogłuszona i bezgranicznie przerażona.

— Wskakuj na beczkę i tańcz!

— Nie mogę! Nie wiem jak.

— Nie musisz tego robić nogami. Możesz czym innym. Nie zawracaj sobie głowy sukienką, tu sami swoi.

„Kochany — pomyślała, odsuwając się od oszalałego saksofonisty, aż wreszcie przestał ją napastować, dmuchnąwszy żałośnie w sufit. — Och, kochany, drogo muszę za ciebie płacić”.

*Przyszłości rytm tempa się nie trzyma,*

*Bębna huk, dudniący w uszach, nogi mi podcina.*

Torowała sobie drogę przez salę, aż w końcu dotarła do perkusisty. Chwyliła go za ręce, w których trzymał pistony, żeby przestał grać i mógł ją usłyszeć. — Cliff, zabierz mnie stąd! Już dłużej tego nie zniosę! Ledwie się trzymam na nogach!

Był zupełnie zamroczony marihuaną, widziała to po oczach.

— Gdzie pójdziemy, do mnie?

Musiała odpowiedzieć, że tak, bo inaczej nie zdołałaby go stąd wyciągnąć.

Wstał i trochę się zataczając, poprowadził ją w stronę drzwi. Kiedy je otworzył, wypadła jak z procy. On zaraz za nią. Nie był ograniczony żadnymi konwenansami, nie musiał się przed nikim opowiadać ani z nikim żegnać. Prawdopodobnie nawet nie zauważyli jego zniknięcia. Zamykając drzwi, jakby za jednym zamachem odcięli się od tego wściekłego tumultu, po czym otoczyła ich cisza tak nagła, że aż dzwoniła w uszach.

*Jesteś niespodziewaną, z chaosu dobytą chwilą, Pozwól, że się w tobie zamyszę, zasnę, zapiję...*

Restauracja była ciemna i pusta, tylko gdzieś w głębi paliła się zostawiona na noc lampka; gdy dziewczyna stanęła na chodniku, owionęło ją powietrze tak świeże, chłodne i krystalicznie czyste, że nieomal ją oszołomiło po tej upalnej duchocie panującej tam na dole. Miała wrażenie, jakby nigdy dotąd nie oddychała, chłonąc chciwie powietrze, policzek przycisnęła do muru, jakby była już u skraju wyczerpania. On został w tyle, chyba sprawdzał, czy dobrze zamknął drzwi.

Było już pewnie około czwartej, ale miasto spało jeszcze i dookoła panowały ciemności. Nagle przyszła jej ochota pobiec pędem przed siebie, uciec od niego, rzucić to wszystko. Wiedziała, że nie dogoniłby jej, bo ledwie się trzymał na nogach. Ale została, poddając się losowi. Przed oczami przesunęła jej się fotografia stojąca u niej w pokoju. I wiedziała, że będzie to pierwsza rzecz, jaką napotka jej wzrok, ledwie znajdzie się na progu mieszkania... Tamten podszedł do niej i szansa ucieczki przysła.

Pojechali taksówką. Stanęli przed rzędem starych domów, w których na każdym piętrze znajdowało się jedno mieszkanie. Wprowadził ją na drugie piętro, otworzył drzwi i przekreślił kontakt. Pokój zrobił na niej przygnębiające wrażenie: pociemniała ze starości, cienko zaciągnięta podłoga, wysoki sufit, wielkie framugi okien niczym wieka od trumien. Nie było to miejsce, gdzie należałoby przychodzić o czwartej nad ranem, a już szczególnie w takim towarzystwie.

Drżała, stojąc tuż przy drzwiach, i starała się nie zwracać uwagi na to, jak skrupulatnie przekręca wszystkie zamki. Chciała zachować jasność i spokój umysłu, a na myśl o tym mąciło jej się w głowie.

Skończył wreszcie zamykać drzwi.

— Powieszę twój płaszcz — powiedział.

— Nie, zostaw — odparła rzeczowo. — Zimno mi. Pozostało niewiele czasu.

— Co, masz zamiar stać tam bez końca?

— Nie — odpowiedziała ulegle, z roztargnieniem. — Nie mam takiego zamiaru.

Ruszyła się, ale tak niepewnie, jakby stawiała pierwsze kroki na ślizgawce.

Rozpaczliwie rozglądała się dokoła. Od czego zacząć? Kolor! Pomarańczowy kolor.

Ach, żeby znaleźć coś pomarańczowego.

— Czego tak szukasz, co? — spytał zrzędnie. — To po prostu pokój. Nigdy przedtem nie widziałaś pokoju?

Wreszcie znalazła. W przeciwległym końcu stała lampa z jedwabnym pomarańczowym abażurem. Podeszła bliżej i zapaliła ją. Na ścianę padł nikły odblask. Z ręką na abażurze zwróciła się do perkusisty:

— Uwielbiam ten kolor.

Nawet na nią nie spojrział. Nie opuściła ręki.

— Nie słuchasz. Mówiłam, że to mój ulubiony kolor. Tym razem spojrział niewidzącym wzrokiem.



— To świetnie, i co z tego?

— Chciałabym mieć kapelusz tego koloru.

— To ci kupię. Jutro albo pojutrze.

— Spójrz, właśnie o takim myślałam.

Ujęła w ręce lampę, opierając ją na ramieniu. Wyglądało, jakby miała abażur na głowie. I teraz znów zwróciła się do niego:

— Spójrz i przypatrz mi się dobrze. Czy nigdy nie widziałeś kobiety w takim kapeluszu? Nie przypominasz sobie?

Zamrugał powiekami z powagą sowy.

— Przyjrzyj mi się dobrze — prosiła. — Przypomnisz sobie, jeśli tylko zechcesz. Czy nie pamiętasz kobiety, która siedziała w teatrze na tym samym miejscu, co ja dzisiaj, i miała kapelusz takiego koloru?

Odpowiedział natychmiast, ale jakoś niezrozumiale.

— Ach, to za to dostałem te pięć setek. — Po czym nagle przysłonił ręką oczy, jakby czymś zmieszany. — Ale miałem przecież nikomu o tym nie mówić! — Spojrzał na nią i spytał w przyływie ufności: — Mówiłem ci już o tym?

— Tak, oczywiście.

Musiała tak odpowiedzieć. Mógłby się wykręcić, gdyby to miało być po raz pierwszy, ale skoro już raz jej mówił, to nie pogorszy sytuacji, nawet jak powtórzy. Widać te papierosy osłabiały pamięć.

A ona musi chwytać okazję, nie może pozwolić, żeby jej się wymknęła, chociaż absolutnie nie ma pewności, czy to jest właśnie to, na czym jej tak zależy. Postawiła szybko lampę na miejscu i kierując się w jego stronę, starała się zachować pozory spokoju i opanowania.

— Proszę cię, powiedz mi jeszcze raz. Tak lubię o tym słuchać. Mów, Cliff, powiedz mi, przecież jestem twoją nową przyjaciółką. Czy to ci może zaszkodzić? Znów rzucił jej przelotne spojrzenie. — O czym to żeśmy mówili? — spytał bezradnie. — Zupełnie zapomniałem...

Musiała ułatwić mu powiązanie rwącego się łańcucha myśli. Tych trybików kręcących się pusto. — Spójrz, pomarańczowy kapelusz. Pamiętasz, pięćset dolarów? Siedziała na tym samym miejscu, co ja.

— O tak — przyznał. — Akurat przede mną. I ja patrzyłem na nią. — Zaśmiał się jak wariat, ale równie szybko umilkł. — Dostałem pięć setek za to, że na nią patrzyłem. Patrzyłem, ale miałem nikomu o tym nie mówić...

Spostrzegła, że ręce jej posuwają się wolno po jego kołnierzyku i obejmują mu szyję. Nie próbowała ich nawet cofnąć, robiła to bezwiednie. Wpatrywała się w jego twarz, coraz bliżej przysuwając swoją. Jak często człowiek instynktownie trafia w sedno sprawy, myślała.

— Opowiedz mi coś więcej o tym, Cliff. Tak lubię słuchać, jak opowiadasz.

Oczy jego ponownie zasnuły się mgłą.

— Zapomniałem. O czym to żeśmy mówili?

Znów myśl się urwała. — O tym, jak dostałeś pięćset dolarów, żeby nie mówić, że na nią patrzyłeś. Przypominasz sobie? Za tę kobietę w pomarańczowym kapeluszu. Cliff, czy to ona ci dała te pieniądze? Kto ci dał te pięćset dolarów? No, powiedz!

— Dała mi *ręka* w ciemnościach. Ręka, głos i chusteczka. I jeszcze jedna rzecz: słuwa.

Nieustannie gładziła jego włosy.

— No dobrze, ale czyja ręka?

— Nie wiem. Do dziś nie wiem czyja. Chwilami nawet nie jestem pewien, czy tak rzeczywiście było, może to tylko pod działaniem marihuany tak mi się *zdawało*... A potem znów myślę, że to prawda.

— Opowiedz mi.

— To posłuchaj. Którejś nocy po przedstawieniu przyszedłem późno do domu i kiedy znalazłem się na dole, na klatce schodowej było ciemno, a zawsze pali się światło. Myślałem, że przepaliła się żarówka. Kiedy po omacku szukałem schodów, dotknęła mnie czyjaś wyciągnięta ręka. Była ciężka i zimna. Zatrzymała mnie. Oparłem się o ścianę, i zaraz pytam: „Kto tu? Kto tu jest?” Po głosie zorientowałem się potem, że to mężczyzna. A kiedy wzrok oswoił się z ciemnością, zauważyłem coś białego w miejscu, gdzie powinna być twarz, chyba chusteczkę do nosa. I dlatego głos miał trochę przytłumiony, ale słyszałem go dobrze.

Zdawał się wiedzieć o mnie wszystko: znał moje nazwisko i zawód. A potem spytał, czy przypominam sobie pewną kobietę z teatru, która poprzedniego wieczora była tam w pomarańczowym kapeluszu.

Odpowiedziałem, że gdyby mi nie przypomniał, tobym nie pamiętał, ale teraz, gdy o tym mówi, to sobie przypominam.

Po czym znów spytał tym samym spokojnym głosem, bez cienia zdenerwowania: „Od czego chciałbyś zginąć?”

Nie mogłem słowa wymówić, tak mnie zamurowało. Wziął moją rękę i przytknął do czegoś zimnego. Był to pistolet. Podskoczyłem, ale on przytrzymał mnie za rękę, żebym się dobrze upewnił, co to jest. Uprzedził mnie: „To na ciebie, jeśli puścisz parę z ust”.

Przeczekał chwilę i mówił dalej: „A może wolałbyś pięćset dolarów?” Usłyszałem szelest papierka, po czym wcisnął mi coś w rękę. „To pięćsetka — powiada. — Masz zapalki? To poświeć sobie i sam zobacz”. Poświeciłem i rzeczywiście była pięćsetka. Ale jak spojrzałem na jego twarz, to zobaczyłem tylko chusteczkę, zaraz zresztą zdmuchnął zapalkę. „Więc nie widziałeś żadnej kobiety — powiedział. — Nie było tam żadnej kobiety. Obojętne, kto by pytał, mów »nie« i zawsze »nie« a ocalisz sobie życie”. Po chwili znów zapytał: „A teraz, jak cię spytają, co odpowiesz?”

„Że nie widziałem żadnej kobiety, nie było tam żadnej kobiety”. I cały dygotałem. „Teraz idź na górę — powiedział. — I dobranoc”. Głos jego spoza chusteczki zabrzmiał jak zza grobu.

Nie mogłem tak szybko dostać się do mieszkania, jak bym chciał, niemniej popędziłem, zamknąłem za sobą drzwi i nie podchodziłem do okien. Wypaliłem już przedtem papierosa z marihuaną, a sama wiesz, co ona robi z człowiekiem...

Roześmiał się znów tym swoim krótkim, urywanym śmieszkiem.

— A następnego dnia przepuściłem całą pięćsetkę na wyścigach — dodał cynicznie. Nagle zaczął wiercić się niespokojnie, aż zepchnął ją z poręczy fotela, na której przysiadła.

— Przez to, że kazałaś mi o tym mówić, znów mi się wszystko przypomniało.

Przestraszyłaś mnie i zdenerwowałaś. Daj mi papierosa, chcę zapalić. Jestem zupełnie oklapnięty, muszę się trochę orzeźwić.

— Nie noszę z sobą marihuany.

— Musisz mieć trochę w torebce. Byliśmy tam razem, pewno sobie wzięłaś.

Najwidoczniej myślał, że ona też zażywa narkotyki. Torebka leżała na stole i nim zdołała mu przeszkodzić, wysypał z niej wszystko.

— Nie — wykrzyknęła w przypiływie paniki — to nic ważnego! Nie oglądaj tego! Ale przeczytał, nim zdążyła mu przeszkodzić. Była to zapomniana kartka od Burgessa. Zdziwił się niezmiernie, w pierwszej chwili nie pojął znaczenia tych słów. — Zaraz, przecież to mnie dotyczy! Moje nazwisko, gdzie pracuję i nawet...

— Nie, nie!

Odsunął się od niej. — I numer telefonu komisariatu pierwszego, a jeżeli nie, to telefon...

Na twarzy jego odbiło się niedowierzanie, zachmurzył się, oczy zaczęły ciskać błyskawice. Po chwili pojawiło się w nich coś jeszcze bardziej niebezpiecznego: ponury, niewytłumaczalny strach, strach spowodowany narkotykiem, przynoszący zgubę tym, którzy mieli nieostrożność go wywołać. Rozszerzyły mu się źrenice, nieomal zlewając się z tęczęwkami.

— Przysłali tu ciebie celowo, to spotkanie nie było przypadkiem. Ktoś na mnie czyha, tylko nie wiem kto. Och, żebym mógł sobie przypomnieć... Ktoś chciał mnie zastrzelić, nie, ktoś powiedział, że mnie zabiją. Nie mogę sobie przypomnieć. Czego to ja miałem nie robić...? To ty jesteś wszystkiemu winna!

Jak dotąd nie miała doświadczenia z narkomanami zażywającymi marihuanę; słyszała kiedyś nazwę, ale nie miała dla niej żadnego znaczenia. Nie mogła wiedzieć, jak straszliwy wpływ wywiera marihuana na pewne uczucia, takie jak podejrzliwość, niedowierzanie i lęk, i to do tego stopnia, że muszą wybuchnąć — jeżeli już w danym człowieku drzemią. Spojrzawszy na niego, natychmiast zorientowała się, że ma do czynienia z kimś obłąkanym. Jego szaleńcze myśli niebezpiecznie zmieniały co chwila kierunek, a ona nie wiedziała, jak położyć im tamę, jak je sprowadzić na inne tory. Nie mogła z nim dojść do porozumienia — była przy zdrowych zmysłach, on, przynajmniej chwilowo, nie.

Stał tak jakiś czas pozornie spokojny, z głową pochyloną i spoglądał na nią spode łba.

— Opowiedziałem ci coś, o czym nie powinienem był mówić. Och, gdybym tylko mógł sobie przypomnieć, o czym to było...! — Z roztargnieniem pocierał czoło.

— Ależ o niczym mi nie opowiadałeś — próbowała go uspokoić.

Uznała, że nie zwlekając, powinna stąd zniknąć, ale też instynktownie czuła, że napotka z jego strony na opór. Zaczęła się więc wolno, nieznacznie cofać. Miała ręce założone do tyłu, żeby móc otworzyć drzwi, kiedy już na nie natrafi i nim on zorientuje się w jej zamierzeniach. Tymczasem próbowała odwrócić jego uwagę, uporczywie patrząc mu w oczy. Stopniowo wzrastało w niej zdenerwowanie wywołane przerażającą powolnością własnych ruchów. Przypominało to cofanie się przed wężem, kiedy człowiek boi się poruszyć szybciej, by nie obudzić czujności gada, ale też umiera ze strachu, że jak się będzie tak wolno poruszać, to...

— Tak, już wiem, powiedziałem ci coś, czego nie powinienem był mówić. A teraz chcesz pójść i donieść mu... Temu, co na mnie nastaje. A potem przyjdą i zrobią ze mną to, co obiecali...

— Nie, naprawdę nic mi nie mówiłeś, tak ci się tylko zdaje.

Zamiast polepszyć, jeszcze pogorszyła sytuację. Jej twarz najwidoczniej malała mu w oczach, nie mogła go już dłużej zwodzić. Znalazła się teraz przy ścianie, a gorączkowo błędzące palce, zamiast klamki, napotkały gładki tynk.

Źle wycelowała, musi zmienić kierunek. Kątem oka spostrzegła zarys drzwi, o kilka kroków na lewo. Jeżeli jeszcze parę sekund będzie stał tam, gdzie stoi, to...

Trudniej jednak było zrobić kilka kroków w bok niż do tyłu. Najpierw przekręciła jeden obcas, potem dopiero całą stopę, ten sam manewr powtórzyła z drugą nogą, następnie dostawiła nogę do nogi, przez cały czas starając się nie zmieniać pozycji.

— Czyż nie pamiętasz, że tylko siedziałam na poręczy fotela i gładziłam cię po włosach? I to było wszystko! Tylko to! — dodała jękliwie, w desperackim, ostatecznym wysiłku, by go powstrzymać.

Ten przerażający menuet trwał zaledwie kilka sekund, a jej zdawało się, że trwa już wieki. Gdyby jeszcze miała te diabelskie papierosy, może...

W swej żółtawej wędrowce potrafiła jakiś mały stoliczek czy stojak i coś spadło. Ten słaby dźwięk, stuk, głuchy odgłos, ten nierozważny, zdradziecki ruch wywołał to wszystko; rozbita porcelana stała się sygnałem, na jaki czekały jego obłąkańcze nerwy. Czuła instynktownie, że gdy im raz popuścił cugli, nic już ich nie powstrzyma. Wykonał ruch

niczym figura woskowa spadająca z podestu i podszedł do niej z szeroko rozpostartymi rękoma, chwiejąc się po pijacku.

Cofnęła się w kierunku drzwi ze stłumionym, cichym okrzykiem, ale zdążyła zaledwie upewnić się rozdygotanymi palcami, że klucz tkwi w zamku. Musiała przesunąć się dalej, bo już był przy niej.

Gwałtownie oderwała się i dopadła do okna w przyległej ścianie. Nie pozostawało jej nic innego, jak wołać o pomoc, ale okno było szczelnie zasłonięte roletą i za jednym pociągnięciem nie dało się odsłonić. Po obydwu jego stronach wisiały ciężkie, zakurzone kotary. W mgnieniu oka chwyciła jedną z nich i zarzuciła mu na głowę. Nim się wyswobodził, upłynęło trochę czasu.

Przy następnej ścianie, w rogu, stała na ukos podniszczona sofa. Skoczyła za nią, ale nim zdołała wydostać się z drugiego końca, on już zatarasował drogę.

Zaczęli bawić się teraz w kotka i myszkę: ona po swojej stronie to cofała się, to usiłowała poskoczyć do przodu; on powtarzał za nią ten sam manewr. Przypomniała jej się pantomima z wiktoriańską pięknnością i dziką bestią, z czego jeszcze do niedawna mogła się śmiać, bo uważała, że to nieprawdopodobne. Widziała, że teraz już nie roześmieje się z tego do końca życia.

— Przestań! — dyszała ciężko. — Zostaw mnie! Wiesz, co z tobą zrobią, jak mnie dotkniesz! Wiesz, co z tobą zrobią!

Ale nie mówiła do normalnego człowieka, tylko do narkomana.

Nagle wskoczył na sofę i przechylając się przez oparcie, usiłował ją złapać. W małym trójkącie za sofą nie było dość miejsca, by mogła mu się wymknąć. Chwycił palcami za sukienkę na ramieniu, lecz nim zacisnął, szarpnęła się gwałtownie i uwolniła.

Rozdarł suknię, ale ona się wyrwała.

Rzuciła się przez szczelinę między sofą a ścianą — on nadal tkwił w tej samej pozycji — i zatoczywszy półkole, zbliżała się do drzwi. Gdyby chciała przeciąć pokój na wprost, musiałaby się natknąć na niego, zajmował bowiem środkową pozycję.

Zobaczyła przed sobą otwarte drzwi ubikacji czy łazienki, nie oświetlone, ale po doświadczeniu z sofą przebiegła obok nich, bo w takiej wąskiej pułapce schwytałby ją prędzej niż gdzie indziej. Poza tym drzwi wyjściowe — a w nich tylko był ratunek — znajdowały się tuż przed nią.

W pędzie chwyciła krzesło, okręciła je i cisnęła do tyłu, licząc, że się o nie przewróci. Ale w porę je zauważył i uskoczył. Zyskała zaledwie pięć sekund. Była u kresu sił. Kiedy dopadła do ostatniego rogu i odwróciła się w stronę drzwi, gdzie zaczęła się ta kołomyjka, skoczył do niej i zagroził przejście. Nie zdążyła się cofnąć, prawie na niego wpadła. Znalazła się w potrzasku, między nim a ścianą. Wyciągnął ręce, żeby ją schwytać. Nie mogła uciec naprzód ani do tyłu, więc schyliła się, nim zdążył ją schwycić, i umknęła, prawie że ocierając się o niego. Wykrzyknęła imię — imię człowieka, który chyba najmniej mógł jej w tej chwili pomóc.

— Scott! Scott, kochany!

Drzwi były tuż przed nią, ale chyba nie zdąży ich dopaść. Jest już taka wyczerpana... Lampa, którą się posłużyła, żeby ożywić jego pamięć, stała na swoim miejscu. Chyba jest zbyt lekka, by mogła mu zrobić krzywdę, niemniej chwyciła ją i cisnęła. Nie trafiła, nawet żarówka się nie stłukła, upadła tylko na brudny dywan. W ostatnim porywie rzucił się ku niej...

I nagle coś się stało. Pewno zaczepił o coś nogą. Nie spostrzegła tego wówczas, ale uświadomiła to sobie później. Lampa potoczyła się po podłodze, zamigotał jaskrawoniebieski błysk, a on leżał już jak długi, z rozpostartymi ramionami. Między nim i upragnionymi drzwiami pozostała wolna przestrzeń. Miotaly nią sprzeczne uczucia; bała się przejść, a jeszcze bardziej bała się zostać. Jego wyciągnięte ręce leżały częściowo na jej drodze. Przeskoczyła wreszcie tuż nad tymi zagiętymi szponami.

Chwila może trwać długo, może trwać krótko. Przez chwilę leżał bezradny, twarzą do ziemi. Tylko przez chwilę... Jakby we śnie, jakby nie swoimi palcami wymacała klucz w drzwiach. Obróciła go w przeciwną stronę, musiała znowu przekręcać, a on już czołgał się do niej. Tę niewielką odległość próbował pokonać, nie wstając z podłogi. Wyciągnął rękę, żeby schwytać ją w kostce.

Klucz zgrzytnął, nacisnęła klamkę, drzwi się otworzyły. Gdy już zbiegała, coś skrobnęło ją po pięcie, chyba paznokcie.

A potem owładnął ją zamęt przerażenia na myśl o pościgu i ulga, że jej nie goni. Mknęła po słabo oświetlonych schodach raczej siłą rozpędu, bo nic przed sobą nie widziała. Znalazła drzwi na dole, otworzy-

ła je; owionęły ją chłód i noc. Była ocalona. Chwiejąc się, uciekała od tego koszmarnego miejsca, o którym na pewno nie zapomni do końca życia. Jak pijana zataczała się po pustym chodniku, pijana potwornym strachem.

Pamiętała, że ma okrążyć róg, ale dalszej drogi już nie знаła. Biegła teraz, żeby dostać się tam jak najszybciej, nim zaczną pędzić za nią. Wpadła do sklepu między szklane gabloty z salami i salaterki sałatki jarzynowej. Był to zapewne sklepik spożywczy czynny całą noc.

Wnętrze świeciło pustkami, tylko za ladą drzemał mężczyzna. Gdy otworzył oczy i ujrzał półprzytomną dziewczynę w poszarpanej na ramieniu sukni, poderwał się z miejsca i cały pochylił na ladzie w jej stronę.

— Co się stało, panienko? Czy jakiś wypadek? Może pani pomóc?

— Niech mi pan da dziesięć centów — wyszłochała przerywanym głosem. — Proszę dać mi dziesięciocentówkę, żebym mogła zadzwonić z pańskiego telefonu. Podeszła do aparatu i wrzuciła monetę, ciągle jeszcze łkając. Uprzejmy staruszek zawołał w głąb domu:

— Mama, wyjdź do nas na chwileczkę, co? Przyszła tu taka dziecinka, chyba ma jakiś kłopot...

Zastała Burgessa w domu; była teraz prawie piąta nad ranem. Zapomniała nawet powiedzieć swego nazwiska, ale i tak poznał ją po głosie.

— Czy mógłby pan przyjść tu po mnie? Przeżyłam okropne chwile i chyba dalej nie dam sobie rady sama.

A tymczasem właściciel sklepu i jego żona w papilotach i płaszczu kąpielowym prowadzili ożywioną rozmowę na jej temat.

— Może by czarna kawę, jak myślisz?

— Tak, to chyba jedyna rzecz. Nie mamy przecież aspiryny. Kobieta zbliżyła się i usiadła naprzeciwko niej przy stoliku, głaszcząc ją ze współczuciem po ręce.

— Co oni ci zrobili, kochaneczko? Masz matkę?

Dziewczyna uśmiechnęła się blado, chociaż nie przestawała pociągać nosem.

Jedynym jej opiekunem był teraz ten rzekomo nieczuły detektyw.

Burgess przyszedł sam, w płaszczu z postawionym kołnierzem, i zastał ją skuloną nad dużym kubkiem dymiącej kawy. Mimo że było



tu całkiem ciepło, drżała jeszcze, ale już coraz mniej. Przyszedł z własnej chęci, nieoficjalnie; interesował się tym osobiście, nie urzędowo.

Powitała go z lekkim westchnieniem ulgi.

Jednym spojrzeniem ocenił sytuację.

— Biedne dziecko — rzekł gardłowym głosem, przysuwając sobie krzesło i siadając na nim bokiem. — Aż tak źle było, co?

— Teraz to już dobrze, ale żeby mnie pan widział pięć albo dziesięć minut temu... — Urwała i przejęta pochyliła się w jego stronę. — Och, ale było warto! On ją widział! I nie tylko to. Ktoś potem przyszedł i przekupił go. Jakiś mężczyzna, chyba na polecenie. Pan to wszystko od niego wydobędzie, prawda?

— Chodźmy — powiedział żywo. — Popróbuje szczęścia. Zaraz tam pójde. Ale przedtem wsadzę panią w taksówkę.

— Nie, nie, ja chcę wrócić z panem. Już dobrze się czuję, przeszło mi.

Właściciele sklepu wyszli do drzwi i długo patrzyli za nimi, jak posuwają się ulicą w pierwszym, niewyraźnym jeszcze brzasku dnia. Na twarzach obydwójga malowało się wyraźne potępienie Burgessa.

— Dobry z niego numer! — odezwał się wzgardliwie mężczyzna. — Żeby to puszcząć dziewczynę samą o piątej z rana! A potem zjawia się, kiedy już jest za późno, żeby tamtemu dać nauczkę! Tak to pilnuje dziewczyny, łazęga...!

Burgess wyprzedził ją na schodach i skradając się, dawał jej do tyłu znaki, żeby szła bez obawy. Nim go dogoniła, z uchem przytkniętym do drzwi nasłuchiwał uważnie.

— Wygląda, że się ulotnił — szepnął. — Nic nie słyszę. Niech się pani cofnie, nie stoi tak blisko, bo może jeszcze z czymś wyskoczyć!

Zeszła kilka stopni niżej, tak że nad podestem widać było tylko jej głowę i ramiona. Spostrzegła, że Burgess kładzie coś w drzwi i ostrożnie, prawie bezszelestnie przy nich manipuluje. Wreszcie drzwi uchyliły się trochę, a Burgess położył rękę na biodrze i przecisnął się ostrożnie do środka.

Dziewczyna z zapartym tchem posuwała się za nim w każdej chwili spodziewając się gwałtownego ataku lub zasadzki. Stała już na progu, gdy nagle wewnątrz rozbłysło światło. Aż drgnęła, mimo że nie słychać było żadnego odgłosu. To Burgess zaświecił. Zajrzała do środka akurat w momencie, gdy detektyw zniknął w drzwiach, które ominęła

w swej niedawnej szaleńczej gonitwie po tym pokoju. Odważyła się wreszcie przekroczyć próg, ośmielona tym, że Burgessa nikt nie zatrzymał; pokój był pusty. Znow bezgłośnie rozbrzmiało światło. Okazało się, że Burgess wszedł do wykładanej białymi kafelkami łazienki. Stała akurat naprzeciwko, mogła więc zajrzeć do środka. Znajdowała się tam staroświecka wanna na czterech nogach, a przez jej krawędź zwiślał bezwładnie człowiek. Zobaczyła też odwrócone ku górze zółwki jego. butów.

W takim domu wanna nie mogła być marmurowa, ale do złudzenia przypominała marmur, i to nawet z zewnątrz. Może te dwie czerwone żyłki na obramowaniu wywoływały takie wrażenie. Czerwono żyłkowany marmur...

Pomyślała, że się rozchorował i stracił przytomność. Ale gdy chciała wejść, Burgess zatrzymał ją ostro:

— Niech pani tu nie wchodzi, Carol! Proszę zostać na miejscu! Cofnął się trochę i przytknął drzwi, by nie mogła nic widzieć, ale nie zamknął ich zupełnie.

Długo się nie zjawiał. Ona czekała bez ruchu. Zauważyła, że drżą jej ręce, tym razem jednak już nie ze strachu, a z napięcia. Wiedziała, co się musiało stać i dlaczego: ogarnął go paroksyzm strachu, spotęgowany narkotykiem, jej ucieczką i poczuciem, że dosięgnie go zemsta, tym bardziej przerażająca, że nieznana. Nagle uwagę jej przykuł skrawek papieru leżący na stole, a na nim ledwo czytelne słowa, zakończone falistą linią: „Przyszedł po mnie”. Ogryzek ołówka leżał na podłodze.

Drzwi otworzyły się wolno i stanął w nich Burgess. Zauważyła, że jest bledszy, niż kiedy tam wchodził. Posuwał się do wyjścia, nieznacznie popychając ją w tę stronę, tak że mimo woli musiała się cofać.

— Widział pan to? — spytała, mając na myśli kartkę.

— Tak, zaraz jak wszedłem.

— Czy on...?

Nic nie odpowiedział, tylko przejechał palcem po szyi. Gwałtownie wciągnęła powietrze.

— Idźmy już stąd! — powiedział z udaną szorstkością. — To nie miejsce dla pani!

— Zamykał teraz za nimi drzwi, jakby je dopiero co zauważył. — Ta wanna... — mruczał pod nosem i trzymając ręce na jej

drżących ramionach, sprowadzał ją ze schodów. — Już nie potrafię myśleć o Morzu Czerwonym bez...

Spostrzegł, że przecież ona słucha, i zamilkł.

Na rogu wsadził ją do taksówki.

— Zawiezie panią do domu. Ja muszę wracać i sporządzić protokół.

— Niedobrze się stało, prawda? — spytała prawie ze łzami w oczach, wychylając się z taksówki.

— Niedobrze, Carol, niedobrze.

— Czy nie mogłabym powtórzyć tego, co mi mówił?

— Nie, to byłoby zeznanie ze słyszenia. Pani tylko *słyszała*, jak mówił, że widział tę kobietę i dostał łapówkę. Byłby to dowód pośredni, a sąd nie zechce tego uznać. To nic nam nie da.

Wyjął z kieszeni zwiniętą chusteczkę i rozłożył na ręce. Zauważyła, że się czemuś przygląda.

— Co to? — spytała.

— To może pani mi powie...

— Brzytwa?

— Nie.

— Czyżby nożyk do golenia?

— Tak. I kiedy człowiek używa takiego przestarzałego narzędzia do podrażniania sobie gardła — a znalazłem to na dnie wanny — to co wobec tego robi tamta brzytwa w papierku w szafie...? Mężczyzna używa albo jednego, albo drugiego, a nie obu naraz. — Ponownie wsadził chustkę do kieszeni. — Powiedzą, że samobójstwo. I w tej chwili nie będę wyprowadzał ich z błędu. Niech pani wraca do domu. W każdym razie nie było tu pani dzisiaj. Ja sam się tym zajmę...  
Jechała potem ulicami, które spowijał już szary, szybko budzący się świt. Siedziała z opuszczoną bezradnie głową.

„Kochany, a jednak jeszcze nie dzisiaj, jeszcze nie dzisiaj. Ale może już jutro albo pojutrze...”

## *15. Dziewiąty dzień przed egzekucją*

### **Lombard**

**Był** to jeden z tych niewiarygodnie luksusowych hoteli, którego wysmukła, strzelista wieża wznosiła się pogardliwie ponad masą pospolitych budynków, niczym dumnie zadarty nos arystokraty. Na tej wspaniałej, kapiącej złotem grzędzie chętnie przysiadły rajskie ptaki z królestwa filmu, lecące na wschód. Ale i całe stada udęczonych ptaków, choć o równie bogatym upierzeniu, udające się na zachód, nim rozpęta się burza, również szukały tu schronienia, póki mogły sobie na to pozwolić.

Zdawał sobie sprawę, że trzeba będzie pokazać cały swój kunszt i zastosować odpowiednią taktykę. Nie popełnił tego błędu i nie usiłował się tu dostać bez przygotowania gruntu, po prostu na własne żądanie. Nie do pomyslenia, aby przyjęto tu kogokolwiek od razu, przy pierwszym zgłoszeniu. Trzeba było rozwinąć całą kampanię, nacisnąć odpowiednie guziki.

Najpierw odszukał kwiaciarnię i wszedł do niej z hallu przez łukowate drzwi z niebieskimi szybami.

— Czy mógłby mnie pan poinformować, jakie kwiaty najbardziej lubi panna Mendoza? O ile wiem, przesyła jej pan mnóstwo kwiatów.

— Nie powiedziałbym tego — odparł niechętnie właściciel kwiaciarni.

Lombard wyjął banknot i jeszcze raz powtórzył pytanie, jakby poprzednio mówił za cicho. I najwidoczniej tak było.

— Zwykle posyłają jej orchidee lub gardenie. Wiem, że w Ameryce Południowej, skąd ona pochodzi, nie ceni się za dużo tych kwiatów, bo rosną tam dziko. Ale powiem panu w tajemnicy... — Ściszył głos, jakby chodziło o coś niezmiernie ważnego. — Kilka razy sama zamawiała kwiaty dla siebie, żeby przystroić pokój, i *zawsze* był to groszek łososiowego koloru.

— Proszę mi więc dać, ile ich pan tylko posiada — rzekł natychmiast Lombard. — Co do jednego. I proszę o dwie wizytówki.

Na jednej napisał coś po angielsku, po czym wyjął kieszonkowy słownik, przetłumaczył słowo po słowie na hiszpański i wypisał to na drugiej wizytówce, a pierwszą wyrzucił.

— Proszę to dołączyć do kwiatów i dopilnować, żeby zaraz zostały wysłane. Ile czasu to może potrwać?

— Powinna otrzymać te kwiaty w ciągu pięciu minut. Mieszka w wieży, goniec pojedzie szybkobieżną windą.

Lombard wrócił do hallu i zatrzymał się przy recepcji, pochylony nad zegarkiem, jakby liczył puls.

— Słucham pana — zwrócił się do niego recepcjonista.

— Chwileczkę — odparł Lombard. Chciał ją zaskoczyć. — O już! — rzekł po chwili, ale tak nagle, że recepcjonista aż się cofnął. — Proszę zadzwonić do apartamentu panny Mendozy i zapytać, czy dzentelmen, który przysłał kwiaty, może jej złożyć krótką wizytę. Nazywa się Lombard, ale niech pan nie zapomni powiedzieć o kwiatach.

Recepcjonista wrócił, niemal całkowicie oszołomiony.

— Powiedziała, że tak — wycedził wolno.

Niewątpliwie złamane zostało jedno z nie pisanych praw hotelu. Przyjęto kogoś od razu.

Lombard tymczasem mknął w górę jak rakieta. Gdy wysiadał z windy, nogi się pod nim trochę uginały. W otwartych drzwiach czekała już na niego młoda kobieta.

Pewnie pokojówka, sądząc po czarnym taftowym kostiumiku.

— Pan Lombard? — spytała.

— Tak.

Była to najwidoczniej ostatnia weryfikacja gości.

— To nie wywiad prasowy, prawda?

— Nie.

— Nie po autograf?

— Nie.

— I nie po rekomendacje?

— Nie.

— A może w związku z rachunkiem, który... — zawahała się nieznacznie — ...uleciał senioricie z pamięci?

— Też nie.

To ostatnie pytanie zdawało się dla dziewczyny decydujące.

— Proszę chwilę zaczekać. — Drzwi zamknęły się, po czym znowu zostały otwarte. Tym razem już na całą szerokość. — Proszę wejść, panie Lombard. Seniorita postara się przyjąć pana między czytaniem listów a fryzjerem. Może pan usiądzie? Znalazł się w pokoju doprawdy niezwykłym. Nawet nie z powodu wielkości czy widoku z okien jak ze stratosfery, czy też tak kosztownej dekoracji wnętrza, że aż dech zapierało — chociaż wszystko to razem było niezwykle; pokój ten godny był uwagi, gdyż nurzał się w zgiełku i wrzawie, mimo iż nikogo w nim nie było. To najgłośniejszy pusty pokój, w jakim kiedykolwiek przebywał. Od jednych drzwi dolatywało syczenie i pryskanie — albo woda spływała kaskadą z kranu, albo też smażył się tłuszcz. Prawdopodobnie to drugie, bo dołączał się do tego jakiś korzenny zapach. Z tymi odgłosami mieszały się jeszcze urywki piosenki śpiewanej mocnym, choć niezbyt czystym barytonem. Od drugich drzwi, dwuskrzydłowych, które co chwila otwierały się, to znów zamykały, dobiegała jeszcze większa plątanina wibrujących dźwięków; zdołał w niej rozróżnić muzykę murzyńską na krótkich falach, przerywaną zagłuszającymi trzaskami, głos kobiecy trajkocący po hiszpańsku bez wytchnienia, niczym karabin maszynowy, i telefon nie milknący ani na chwilę. Do tego dźwiękowego chaosu dołączał się co jakiś czas szarpiający nerwy zgrzyt, ostry i przejmujący, jakby ktoś jeździł po szybie gwoździem lub też rysował kredą na tablicy. Na szczęście te przeraźliwe odgłosy rozbrzmiewały dość rzadko. Usiadł i czekał cierpliwie. Połowę walki miał za sobą. Nie dbał o to, ile czasu zabierze mu druga połowa.

W pewnym momencie wpadła pokojówka, Lombard więc uniósł się z fotela, myśląc, że po niego. Jednak, sądząc z jej pośpiechu, posłannictwo musiało być dużo ważniejsze, bo popędziła tam, gdzie rozbrzmiewał baryton przy akompaniamencie pryskania, i zawołała ostrzegawczo: — Nie za dużo oliwy, Enrico! Mówi, żeby nie za dużo oliwy! — I pomknęła z powrotem, a za nią popłynął rozjątrzony bas, od którego ściany się trzęsły.

— Czy gotuję dla jej podniebienia, czy też dla wagi stojącej w łazience, na którą ciągle wchodzi?

Wpadła znowu po chwili, trzymając w rękach rozpostartą lizeskę z delikatnych różowych piórek marabuta, jakby zaraz zamierzała nią kogoś otulić, co jednak nie miało chyba nic wspólnego z jej misją. Kie-

dy przebiegała, sypał się obficie drobny pył z piórek i długo jeszcze po jej zniknięciu opadał leniwie na podłogę. Wreszcie kres syczeniu położył jeden krótki syk, rozległo się pełne satysfakcji, głębokie „Aach”, po czym w drzwiach stanął przysadzisty, niski mężczyzna o cerze koloru kawy, w białej kurtce i wysokiej kucharskiej czapce. Kręcąc głową z ukontentowaniem, niósł coś na półmisku. Zrobił małe okrążenie i wszedł w następne drzwi.

Na chwilę zapanowała cisza. Ale tylko na chwilę. Bo zaraz wybuchł rwetes, w porównaniu z którym poprzedni zgiełk wydawał się rajskim spokojem. Zawierały się w nim wszystkie dotychczasowe odgłosy, uzupełnione jeszcze dodatkowymi: piskiem sopranu, rykiem barytonu, jakimś niesamowitym skrzypieniem i donośnym brzękiem pokrywy półmiska, którą ktoś cisnął z wściekłością o ścianę, aż potoczyła się po pokoju, co zabrzmiało jak uderzenie w pęknięty dzwon.

Niski, przysadzisty mężczyzna wypadł wściekły; twarz jego nie była już koloru kawy, lecz pokryta plamami z żółtka i czerwonej papryki. Wymachiwał rękoma jak wiatrak.

— Tym razem to już wracam! Wracam najbliższym statkiem. Choćby padała na kolana, nie zostanę dłużej!

Lombard skulił się w fotelu, usiłując zatkać sobie uszy palcami. Mimo wszystko bębrenki w uszach człowieka to dość delikatne urządzenie, nie można więc ich nadużywać.

Kiedy odjął palce, stwierdził z ulgą, że trochę się uciszyło, a w każdym razie rozlegające się odgłosy są już w granicach tutejszej normy. Można było przynajmniej zebrać myśli. Zadzwieczyła dzwonek przy drzwiach i dziewczyna wprowadziła ciemnowłose indywiduum z wymuskany wąsikiem, które usiadło obok Lombarda, towarzysząc mu w czekaniu. Osobnik ów objawiał jednak mniejszą wytrwałość niż Lombard. Niemal natychmiast podniósł się i zaczął spacerować tam i z powrotem krótkim, porywistym krokiem. Po chwili zauważył pęk pachnącego groszku, wyjął gałązkę i przytknął do nosa. W tym momencie Lombard zupełnie stracił ochotę do nawiązania z nim rozmowy, jeżeli w ogóle wchodziło to w rachubę.

— Czy będzie mogła mnie zaraz przyjąć? — zwrócił się tamten do dziewczyny, która przebiegała właśnie przez pokój. — Mam nowy pomysł. Chciałbym go już czuć pod palcami.

„Ja również” — pomyślał Lombard, patrząc na jego szyję z błyskiem okrucieństwa. Gość wachający groszek usiadł. Ale już po chwili podniósł się znowu, a kolana drżały mu z niecierpliwości.

— Już mi ucieka — ostrzegał. — Ulatuje. A jak raz zapomnę, będę musiał wrócić do starego sposobu.

Dziewczyna wypadła z pokoju z tymi złowieszczymi wieściami. Lombard mruknął niedosłyszalnie:

— Już dawno powinien pan wrócić.

W każdym razie to poskutkowało. Dziewczyna pokazała się znowu i skinęła na niego z ukrywanym pośpiechem. Wszedł do drugiego pokoju, a Lombard pochylił się w stronę kwiatka leżącego na ziemi. Kopnął go zręcznie czubkiem buta w górę, z jakąś ponurą zawziętością, jakby mu to przyniosło wielką ulgę.

W tym momencie podeszła do niego dziewczyna i pochyliwszy się, szepnęła poufnie, by go ułagodzić:

— Na pewno zmieści pana między nim i krawcową. Pan rozumie, z nim tak trudno sobie poradzić.

— Och, możliwe — odparł Lombard z powątpiewaniem, poruszając wyciągniętą nogą i patrząc na nią uprzejmie.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Przynajmniej względnej ciszy. Dziewczyna pokazała się tylko raz czy dwa i telefon zadzwonił tyleż razy. Nawet hiszpański a la karabin maszynowy rozbrzmiewał tylko w pojedynczych salwach. Kucharz, który odpływał najbliższym statkiem, pojawił się znowu, jeszcze bardziej przysadzisty w berecie, szaliku i puszystym płaszczu, i wielce urażony zwrócił się do dziewczyny: — Spytaj, czy będzie jadła kolację. Ja nie mogę, bo z nią nie rozmawiam.

W końcu wyszedł poprzednik Lombarda z niewielką torbą w rękę i oddalił się. Ale przedtem jeszcze zboczył i chwycił drugi groszek. Lombard przysunął nogę do wazy, jakby chciał go wszystkim na raz obdarzyć, ale się pohamował.

Dziewczyna znowu wyszła ze świętego przybytku i oznajmiła: — Seniorita prosi teraz pana.

Gdy się podnosił, nogi miał ścierpięte. Roztarł je, poprawił krawat i mankiety i przestąpił próg.

Ledwie zdążył rzucić spojrzenie na wyciągniętą na szeszlengu Kleopatrze, kiedy jakiś miękki futrzany pocisk przeszył powietrze i wyla-



dował z piskiem na jego ramieniu. Z tym samym piskiem, który Lombard już słyszał i uznał za zgrzytanie po szybie. Wzdrygnął się nerwowo. Dookoła szyi owinęło mu się coś w rodzaju aksamitnego węża.

Postać na szeszlengu rozpromieniła się jak tkliwy rodzic na widok rozdokazywanej pociechy: — Niech się pan nie obawia, senior. To malutka Bibi.

Zdrobniałe imię było dla Lombarda tylko częściowym zabezpieczeniem. Usiłował obrócić głowę, żeby zobaczyć tego zwierzaka, ale za ciasno przylegał mu do szyi. Zdobył się jednak na wymuszony uśmiech dla dobra sprawy, którą przyszedł tu załatwić.

— Bibi to mój przewodnik — zwierzyła się gospodyni. — Bibi jest, jak to wy mówicie, mój dobry opiekun. Jak Bibi kogoś nie lubi, chowa się pod szeszleng, zaraz się wtedy pozbywam tego kogoś. A jak lubi, to skacze do szyi. Wtedy jest w porządku, można zostać. — Rozbrajająco wzruszyła ramionami. — Pana musi lubić. Bibi, chodź z pana szyi — upominała nieszczerze.

— Nie, niech zostanie, wcale mi nie przeszkadza — wycedził, godząc się z losem. Zorientował się, że byłoby to jaskrawe *faux pas*, gdyby wziął jej upomnienie dosłownie. Nos powiedział mu, że to małpka, mimo że była skropiona wodą kolońską. Wyprostowała ogon, by okręcić go z kolei w drugą stronę. Niewątpliwie zrobił dobre wrażenie. Poczul, że małpa pilnie rozdziela mu włosy na pasma, jakby czegoś szukała.

Aktorka piszczała zachwycona. Chyba tylko ta małpa umiała ją wprowadzić w tak łagodny nastrój, Lombard więc nie mógł czuć urazy do zwierzaka.

— Proszę usiąść — powiedziała Mendoza serdecznie. Podeszedł sztywno do fotela i usiadł, ale przez cały czas starał się

prosto trzymać głowę. Teraz dopiero naprawdę po raz pierwszy na nią spojrzął.

Miała na sobie lizeskę z różowych piórek, a pod nią czarną aksamitną pizamę, której nogawki przypominały dwie kloszowe spódnice. Na czubku głowy sterczało jej coś przerażającego, co przypominało w kolorze ognistą lawę, a co uformował wielbiciel groszku, który tu był niedawno. Za nią stała dziewczyna, wachlując jej włosy liściem palmy, jak gdyby je miała ostudzić.

— Mam chwilę czasu, nim fryzura się utrwali — wyjaśniała z wdziękiem.

Zauważył, że zerka ukradkiem na wizytówkę, którą przysłał z kwiatami, by przypomnieć sobie jego nazwisko.

— Jak to ładnie, że dla odmiany przysłał mi pan kwiaty z bilecikiem po hiszpańsku, senior Lombard. A więc przybywa pan właśnie z *mi tierra*! Czyśmy się tam spotkali?

Na szczęście prześliznęła się nad tym pytaniem, nie musiał więc odpowiedzieć. Jej wielkie, ciemne oczy nabrały jakiegoś uduchowionego wyrazu i powędrowały w górę, pod sufit; ręce złożyła na kształt poduszki i przytuliła do nich policzki.

— Moje Buenos Aires. Jak ja tęsknię! Światła płonące wieczorem na Calle Florida... Nie na próżno ślęczał kilka godzin nad przewodnikiem, zanim tu przyszedł.

— Plaża w La Plata — dodał cicho. — Wyścigi w parku Palermo.

— Och, niech pan przestanie! — drgnęła. — Niech pan przestanie, bo się rozpłaczę.

— Teraz nie grała. A w każdym razie mógł śmiało powiedzieć, że nie tylko grała. Po prostu dramatyzowała uczucia prawdziwe i szczerze, co leży już w usposobieniu aktorów. — I po co je opuściłam? Dlaczego znajduję się tak daleko od nich?

Lombard pomyślał, że siedem tysięcy dolarów tygodniowo i dziesięć procent od każdego przedstawienia ma chyba jakiś związek z tą rozłąką, ale zachował to dla siebie.

Bibi tymczasem, nie znalazłszy na jego głowie nic, co trzeba byłoby wytepić, zbiegła po ramieniu i zeskoczyła na podłogę. Niezmiernie ułatwiło to rozmowę, mimo że jego włosy wyglądały jak snop siana po huraganie. Nie przygładził ich jednak, żeby nie obrazić uczuć przewrażliwionej właścicielki małpizona. Była teraz w doskonałym nastroju, o jakim trudno mu było marzyć przy tak krótkiej znajomości, puścił się więc na mętne wody.

— Przyszedłem do pani, ponieważ wiem, że jest pani równie mądra, jak utalentowana i piękna.

Od razu wyłożył karty na stół.

— To prawda, nikt mi dotąd nie mówił, że jestem tuman — przyznała znakomitość z rozbajającym brakiem zakłopotania, pilnie oglądając paznokcie.

Przysunął się trochę bliżej z fotelem.

— Czy przypomina sobie pani swój numer popisowy w ostatnim sezonie, ten z rzucaniem bukietów paniom na sali?

Uniosła w górę wskazujący palec. Oczy jej rozbłysły.

— Ach, „Czika, czika, bum”. Tak, tak! Lubi to pan? Dobrze, prawda? — przyznała skwapliwie.

— Doskonale — potwierdził, starając się ukryć nerwowe drganie grdyki. — Otóż pewnego wieczora mój przyjaciel...

Tyle tylko zdążył powiedzieć. Dziewczyna, która dopiero przed chwilą przestała wachlować swą panią, znów weszła do pokoju.

— Seniorita, William chciałby wiedzieć, jakie ma pani dla niego polecenia.

— Przepraszam na minutkę. — Obróciła głowę w kierunku drzwi. Krzepki mężczyzna w ubraniu szofera zbliżył się i stanął na baczność. — Niepotrzebny jesteś do dwunastej. Lunch będę jadła w „Coq Bleu”, bądź więc dziesięć przed dwunastą. — I dodała tym samym tonem: — Lepiej zabierz to, jak tu jesteś, co zapomniałeś...

Podszedł do toaletki, na którą wskazywała, zabrał papierośnicę z kutego srebra i wsunawszy ją do kieszeni wyszedł z nienaganną nonszalancją.

— To nie z bazaru! — zawołała za nim dość szorstko, jak się Lombardowi wydało.

Błysk w jej oczach nie wróżył Williamowi nic dobrego.

Zwróciła się znów do Lombarda, a żar jej spojrzenia z wolna przygasł.

— Mówiłem właśnie, że mój przyjaciel był któregoś wieczora na przedstawieniu z pewną kobietą. W związku z tym właśnie przyszedłem do pani.

— Ach, tak?

— Chcę ją odnaleźć dla niego.

Źle to zrozumiała. Oczy jej roziskrzyły nowy błysk.

— Ach, romans! Uwielbiam romanse!

— Niestety, nie o to chodzi. To sprawa życia lub śmierci.

Nie chciał opowiadać wszystkiego ze szczegółami, żeby jej nie spłoszyć.

Ale to się jej chyba jeszcze bardziej spodobało.

— Ach, tajemnica! Ja strasznie kocham tajemnice — wzruszyła ramionami — dopóki mnie nie dotyczą...

Nagle urwała. Coś się musiało stać. Spojrzała na maleńki wysadzany brylantami zegarek. Uniosła się gwałtownie i zaczęła strzelać palcami tak głośno, jakby w pokoju jedna po drugiej wybuchały petardy. W mig przybiegła dziewczyna. Lombard pomyślał, że teraz zostanie bezceremonialnie wyproszony z powodu następnego gościa.

— Wiesz, która godzina? — z wyrzutem spytała tancerka. — Anie mówiłam, żeby dobrze pilnować? Jesteś okropnie niedbała. Jeszcze trochę i byłoby za późno. Doktor kazał co godzina. Przynieś kalomel...

Nim się Lombard zorientował, już po pokoju szalał tajfun, który zdawał się tu pojawiać w regularnych odstępach czasu. Znowu zabrzmiał karabin maszynowy po hiszpańsku, znowu rozległy się piski, jakby ktoś jeździł gwoździem po szybie, a dziewczyna zaczęła uganiać się za Bibi. Lombard czuł się jak słup, wokół którego kręci się karuzela.

Wreszcie i on przyłączył swój głos do tego zgiełku.

— Niech się pani zatrzyma i spróbuje w drugą stronę! — usiłował przekrzyknąć wrzawę.

Poskutkowało. Dziewczyna złapała Bibi i wlała jej do pyszczka kalomel.

Po skończonym zabiegu, kiedy pacjentka czepiała się rozpaczliwie swojej pani, obiema łapkami obejmując ją za szyję — przez moment tancerka wyglądała jak dama z brodą — spróbował powrócić do przerwanej rozmowy.

— Rozumiem, że trudno spodziewać się, aby pani pamiętała poszczególne twarze z tego morza widzów, jakie roztacza się przed panią każdego wieczora. O ile wiem, w ciągu ostatniego sezonu grała pani sześć razy w tygodniu wieczorem i dwa razy po południu, zawsze przy wypełnionej widowni.

— Nigdy jeszcze w całej mojej karierze nie występowałam przy pustej widowni. — Nie można powiedzieć, żeby grzeszyła skromnością. — Nawet ogień nie może ze mną iść w zawody. Kiedyś w Buenos Aires zaczął się palić teatr. Myśli pan, że ludzie uciekali...?

Odczekał chwilę, by zmienić temat.

— Mój przyjaciel i ta kobieta siedzieli w pierwszym rzędzie, z boku. — Spojrzał na skrawek papieru, który wyjął z kieszeni. — Jak pani stała twarzą do widowni, to oni byli po lewej stronie. I teraz mogę

tylko jedno pani przypomnieć. Kobieta ta wstała z krzesła, chyba po drugiej albo trzeciej zwrotce.

W oczach jej pojawił się błysk zastanowienia.

— Wstała z krzesła? Kiedy Mendoza była na scenie? To niezwykle interesujące. Nigdy o czymś podobnym nie słyszałam. — Spostrzegł, że kształtne jej palce zaczynają szarpać aksamitną nogawkę piżamy, jakby już gotowały się do odwetu.

— Może nie podobało jej się, jak śpiewam? A może spieszyła się na pociąg?

— Nie, nie, nie, nic takiego — zapewnił szybko. — Kto by się ośmielił? Oto jak było: Stało się to podczas „Czika, czika, bum”. Zapomniała pani rzucić jej bukiet i dlatego wstała, żeby przyciągnąć pani uwagę. Przez chwilę stała tuż przed panią i dlatego mieliśmy nadzieję...

Zatrzepotała rękami, usiłując przypomnieć sobie to zdarzenie. Podrapała się nawet za uchem, ostrożnie, żeby nie zepsuć fryzury.

— Spróbuję sobie przypomnieć.

Niewątpliwie się starała. Robiła wszystko, żeby pobudzić pamięć. Zapaliła papierosa, chociaż, sądząc po tym, jak się z nim obchodziła, nie była palaczką. Po prostu trzymała go w palcach, a papieros sam się wypalał.

— Nie, nie mogę sobie przypomnieć — rzekła w końcu. — Przykro mi. Naprawdę nie mogę. Wydaje mi się, jakby ten ostatni sezon był dwadzieścia lat temu.

Potrząsnęła głową ząsepioną, a nawet kilka razy współczująco cmoknęła językiem. Chowając z powrotem do kieszeni bezużyteczny skrawek papieru, znów na niego spojrział.

— Och, jeszcze jedna rzecz, chociaż nie wiem, czy się okaże bardziej pomocna niż poprzednia. Przyjaciel powiedział mi, że jego towarzyszka miała na głowie identyczny kapelusz jak pani. To znaczy duplikat, dokładnie skopiowany... Wyprostowała się nagle, jakby sobie coś przypomniała. Bez wątpienia teraz naprawdę ją zainteresował, o ile przedtem mu się to w pełni nie udało. W zamyśleniu przymrużyła oczy, a przez wąziutkie szparki przebijały błyski. Nie miał odwagi poruszyć się ani głośniej odetchnąć. Nawet Bibi, która jak kłębek futra siedziała u jej stóp na dywanie, z zaciekawieniem obserwowała swoją panią.

Wreszcie przypomniała sobie. Zgasiła papierosa jednym wściekłym ruchem i wydała piskliwy okrzyk papugi, który doskonale brzmiałby w dżungli.

— A-a-aj! Teraz sobie przypomniałam! Dopiero teraz! — Błyskawiczny potok hiszpańszczyzny stanowił dygresję w ich rozmowie. Po dłuższej paplaninie wróciła do angielskiego: — To ta, co tam stała! Ta wstrętna *kreatura*! Miała odwagę stanąć przed całą widownią w moim kapeluszu! Przecież ona nawet przysłoniła reflektor, zatrzymała mi światła! Ha, czy pamiętam? Pan w to wątpi?! Myśli pan, że ja mogłam coś takiego zapomnieć? Pan nie zna Mendozy!

Tak się zachnęła, że aż Bibi potoczyła się po podłodze niczym zwiędły liść, naprawdę jednak uciekała, by się schronić u Lombarda.

W tym najbardziej nieodpowiednim momencie znowu przeszkodziła im dziewczyna.

— Seniorita, krawcowa już czeka.

Zaczęła gwałtownie wymachiwać rękami nad głową.

— Niech jeszcze zaczeka. Słucham czegoś, co wcale nie jest przyjemne.

Przesunęła się na szezlongu i przyklękła na jedno kolano. Zdawała się nawet dumna ze swego oburzenia. Wyciągnęła ręce w stronę Lombarda, po czym uderzyła się w piersi, aż zadudniło.

— Niech pan patrzy! To już tak dawno, a wciąż potrafi mnie zdenerwować! Niech się pan przyjrzy! Widział pan coś podobnego?

Wstała z szezlonga, ujęła się wojowniczo pod boki i zaczęła sunąć wyniośle po pokoju, tam i z powrotem, każdą turę kończąc szerokim wachlowaniem spodni. Bibi skuliła się ze strachu w kącie i żałośnie spuściła głowę, osłaniając ją kościstymi ramionami.

— I po cóż ona potrzebna panu i temu pańskiemu przyjacielowi? — zapytała. — Jeszcze mi pan tego nie powiedział...

Sądząc z jej wyzywającego tonu, gdyby chodziło o szczęście naśla-downiczki modelu, Mendoza na pewno nie chciałaby mu przyjść z pomocą, choćby i mogła. Tak więc uporządkował wszystkie fakty, by jej cele mogły się pokrywać z jego, mimo różnego punktu widzenia.

— Proszę mi wierzyć, seniorita, on ma ogromne kłopoty. Nie chciałbym zanudzać pani szczegółami, ale ona jest jedyną osobą, która może mu pomóc. Mój przyjaciel musi dowieść, że cały ten wieczór spędził z nią, a nie tam, gdzie oni twierdzą.

Widział ją tylko jeden raz

w życiu, właśnie tego wieczora. Nie znamy jej nazwiska, nie wiemy, gdzie mieszka, jednym słowem, nie wiemy o niej absolutnie nic. Dlatego właśnie szukamy jej wszędzie...

Widział, jak się nad czymś głęboko zastanawia. Po chwili zwróciła się do niego.

— Chciałabym panu pomóc. Powiedzieć coś o niej. — Spuściła głowę i bezradnie rozłożyła ręce. — Ale ja jej nigdy nie widziałam, ani przedtem, ani potem. Tylko raz, wtedy jak stała. To wszystko, co wiem, nic więcej.

Wyglądała na jeszcze bardziej zawiedzioną niż Lombard.

— A czy zauważyła pani tego mężczyznę, który był razem z nią?

— Nie, nawet na niego nie spojrzałam. On jakoś pozostał całkiem w cieniu.

— Widzi pani, i tym razem brakuje ogniwa, tylko innego. Jak dotychczas, wszyscy pamiętali jego, jej nie. Pani ją pamięta, jego znów nie. A to się na nic nie przyda, to jeszcze niczego nie dowodzi, prócz tego, że owego wieczoru jakaś kobieta na widowni wstała z krzesła. Mogła być sama albo też całkiem z kim innym. To nie ma żadnego znaczenia. Trzeba, żeby *jeden* świadek mógł połączyć oba te ogniwa. — Zawiedziony klepnął się po kolanach i wstał. — Wygląda na to, że wszystko wróciło do punktu wyjścia. W każdym razie dziękuję bardzo, że chciała mi pani poświęcić trochę czasu.

— Spróbuję jeszcze coś dla pana zrobić — obiecała, podając mu rękę. — Nie wiem co, ale jeszcze pomyślę.

Lombard też nie wiedział. Pożegnał się szybko i opuścił ją bardzo zgnębiony.

Dotkliwie odczuł rozczarowanie. Zdawało mu się, że był już tak blisko namacalnych faktów, jak jeszcze nigdy dotąd, już niemalże chwycił je w ręce — i w ostatnim momencie mu umknęły. I teraz znowu znalazł się w tym samym miejscu, z którego wyszedł.

Windziarz odwrócił się potem do niego i spoglądał wyczekująco. Zorientował się więc, że musiał już zjechać na dół, choć wcale tego nie zauważył, i powinien wysiadać. Ktoś popchnął przed nim drzwi wyjściowe i znalazł się na ulicy. Stał chwilę przed hotelem bez ruchu, niezdecydowany, jaki obrać kierunek. Żaden nie obiecywał nic dobrego, wszystkie się wzajemnie równoważyły. Opanowany wątpliwościami, nie mógł się zdobyć na decyzję.

Nadjechała taksówka, skinął na nią ręką. Okazało się jednak, że jest zajęta, musiał więc czekać na następną. Potrwało to chwilę. A czasem jedna krótka chwila może znaczyć wiele. Nie zostawił Mendozie żadnego śladu po sobie, nawet nie będzie wiedziała, jak się z nim skontaktować...

Siedział już w taksówce. Mieli właśnie ruszać, gdy nagle zawirowały drzwi obrotowe hotelu, jakby poruszone siłą napędową, i wypadł z nich boy.

— Czy pan jest tym dżentelmenem, który przed chwilą wyszedł od panny Mendozy? Telefonowała, jak już pan wyszedł. Prosi, żeby pan był łaskaw do niej wrócić.

Wszedł prędko do hotelu na górę. Znowu dopadła go ta sama futrzana kuleczka, w miłym przypomnieniu. Ale tym razem było mu to zupełnie obojętne. Mendoza zdjęła piżamę i właśnie zakładała jakiś nowy strój. Dziwnie przypominała teraz nie wykończony jeszcze abażur stojący pośrodku pokoju, ale on nie zwracał na to uwagi.

Chyba nie bardzo była zmieszana jego wejściem.

— Mam nadzieję, że jest pan żonaty? Och, a nawet jeśli nie, to będzie pan kiedyś. Nie mógł zrozumieć, o co jej chodzi, ale nie pytał. Wzięła długi kawał materiału i udrapowała go niedbale na ramieniu, gdzie był chyba najmniej potrzebny jako osłona. Następnie odprawiła kobietę klęczącą u jej stóp z ustami pełnymi szpilek.

— Jak pan odszedł, coś mi się przypomniało — powiedziała od razu, gdy tylko zostali sami. — Byłam jeszcze ciągle... — Wykręcała się w prawo i lewo, jakby mocowała się z klamką. — ...no, wie pan, rozzłoszczona.

Przyszedł mu w tym momencie na myśl ten William.

— I jak zawsze, kiedy się złoszczę, ulżyłam sobie i potłukłam kilka rzeczy. — Wskazała bez odrobiny zażenowania kawałki kryształu lśniące na podłodze oraz popsuty rozpylacz. — I wtedy zdarzyło się coś zabawnego. To mi przypomniało, jaka byłam zła przez tę kobietę i jak wtedy rzucałam różne rzeczy. — Wzruszyła ramionami. — Dziwne, prawda? I teraz wiem, co zrobiłam z kapeluszem.

Pomyślałam, że to się może panu na coś przyda.

Czekał. Postąpił nawet krok w jej stronę, nie mogąc opanować niecierpliwości.



Pokiwała przed nim wskazującym palcem.

— A więc tego wieczora, kiedy ta kobieta tak mi zrobiła, wróciłam do mojej garderoby i... — Zaczepnęła duży łyk powietrza. — Wtedy trzeba mnie wiązać. Wtedy łapię wszystko, co jest pod ręką. Teraz pan mnie rozumie, prawda? Nie myśli pan źle o mnie?

— Nie, na pewno źle nie myślę.

Przeciągając słowa, uderzyła się dłonią w mocno obciśnięte stanikiem piersi.

— Pan myśli, że pozwolę sobie robić takie rzeczy przy całej widowni? I myśli pan, że ja Mendoza, puszczę to płazem?

Nie myślał tak, zdołał przecież poznać jej zapalczywość.

— Dyrektor teatru i moja pokojówka musieli mnie trzymać za obie ręce, żebym nie wybiegła, tak jak stałam, i nie rozerwała jej na kawałki przed teatrem.

Przez moment łudził się, że doszło do tego, że jednak starcie to nastąpiło. Ale nie, przecież Henderson powiedziałaby mu o tym, a i ona sama przypomniałaby sobie wcześniej.

— Już ja bym jej pokazała!

Nawet teraz skłonna była to zrobić. Widząc, jak zwraca się ku niemu pochylona, z zakrzywionymi palcami, Lombard dla bezpieczeństwa wołał się cofnąć o krok.

Przerażona Bibi zaciskała i rozluźniała błagalnie swoje drobne łapki.

Mendoza wyprostowała się i wyrzuciła do przodu ramiona.

— Na drugi dzień byłam nadal wściekła. U mnie trwa to długo. Idę więc do modystki, która mi zrobiła ten kapelusz, i tam sobie przynoszę ulgę. Rzucam jej w twarz ten kapelusz, a w sklepie pełno klientów, i krzyczę: „No, i co, zrobiła mi pani kapelusz na moje występy? Model, jeden jedyny?! I nikt takiego mieć nie będzie, co?!” I smygam jej w twarz tym kapeluszem, a kiedy już wychodzę, ona jeszcze wypluwa jego resztki. Nie mogła nic powiedzieć...!

Wyciągnęła do Lombarda ręce, pytając:

— Dobrze to dla pana? Przyda się na coś? Ta oszustka musi wiedzieć, komu zrobiła ten kapelusz. Niech pan idzie do niej i dowie się, któż to jest ta kobieta, której pan szuka.

— Wspaniale! No, nareszcie! — wykrzyknął z takim entuzjazmem, że Bibi wsunęła pod szezlong najpierw głowę, a po chwili i ogon. — Jak się nazywa? Niech mi pani powie!

— Chwileczkę, muszę pomyśleć. — Na dowód stuknęła się parę razy w czoło. — Występuję w tyłu rewiach, w tyłu miejscach się ubieram, że nie mogę spamiętać. — Zawołała na pokojówkę i poleciła jej: — Przejrzyj rachunki za kapelusze z początku roku, zobacz, co tam jest...

— Ale my chyba nie trzymamy tak długo rachunków, seniorita?

— Przecież nie trzeba szukać aż tak daleko, ty głupia! — ofuknęła ją aktorka, jak zwykle bezceremonialnie. — Zobacz te z ostatnich tygodni, pewno wciąż go przysyłają...

Dziewczyna wróciła niedługo, ale dla Lombarda każda chwila czekania była męką.

— Znalazłam. W tym miesiącu znowu przyszedł. Jest na nim: jeden kapelusz — sto dolarów, a nagłówek: Kettisha.

— Pasuje! Właśnie ten! — Podała go Lombardowi. — Przeczytał pan?

Zapisał adres i zwrócił rachunek. Ręce jej zdrząły histerycznie i po chwili zamieć drobnych papierków rozwiała się po podłodze. W samym środku papierowych płatków postawiła nogę.

— To dopiero tupet! Jeszcze po takim czasie przysyła mi rachunek! Nie ma wstydu kobieta!

Kiedy podniosła oczy, Lombard znajdował się już w drugim pokoju i szedł do wyjścia. Był oportunistą: wniosła swój wkład, nie przedstawiała więc dla niego żadnej wartości. Spieszył do następnego ogniwa.

Popędziła za nim do drzwi, żeby mu przekazać pożegnalne błogosławieństwo na dalsze działanie. Ale nie z altruizmu, tylko ze złości. Towarzyszyłaby mu pewnie aż do samego wyjścia, ale nie skończona jeszcze halka zatrzymała ją w drzwiach.

— Mam nadzieję, że ją pan przyłapie! — wykrzykiwała za nim mściwie. — I że dostanie za swoje!

Kobieta wybaczy ci wszystko — ale nie to, że włożyłaś taki sam kapelusz jak ona. Kiedy tam wchodził, czuł się jak ryba bez wody, ale się nie wycofał. Poszedłby wszędzie, w jeszcze bardziej nieprawdopodobne miejsca, byle tylko osiągnąć swój cel. Był to jeden z magazynów mieszczących się przy bocznej ulicy — urządzanych w mieszkaniach niegdyś prywatnych, przystosowanych do celów handlowych — których kosztowność i ekskluzywność pozostają zwykle w stosunku odwrotnie proporcjonal-

nym do ich niepozornego wyglądu. Cały parter przeznaczony był na salon pokazowy, czy jak tam to się w języku handlowym nazywa. Lombard przedstawił swoją sprawę i wycofał się w najbardziej odosobniony kąt.

Wszedł w trakcie pokazu, który, jak zdążył się zorientować, chyba codziennie odbywał się tu o tej porze. Wcale go to jednak nie podniosło na duchu. Był tutaj jedynym mężczyzną, a w każdym razie jedynym mężczyzną w sile wieku. Pośród siedzących w grupkach klientek znajdował się też jakiś chyba siedemdziesięcioletni starzec. Ta młoda, czarująca dziewczyna obok, niewątpliwie wnuczka, przyprowadziła go tutaj pewnie po to, żeby jej pomógł wybrać stroje. „Wyobraźnia — myślał Lombard, patrząc na niego krytycznym okiem — może oczywiście czynić cuda”. Tak więc były tu same kobiety z jednym tylko wyjątkiem. Nawet funkcję odzwiernego pełniła dziewczyna, a i gońcami były dziewczyny.

Modelki wychodziły powoli, jedna po drugiej, z wdziękiem obracając się na wszystkie strony i zataczając koło przed oczami widzów. Z jakiegoś powodu — może dlatego, że wybrał sobie ten właśnie kąt — każda po kolei okręcała się przed nim, a nawet zatrzymywała na moment. Chciał krzyknąć: „Ja nie mam zamiaru nic kupować”, ale się nie odważył. Czuł się strasznie nieswojo, zwłaszcza że z konieczności musiał patrzeć na ich twarze, a wołałby na co innego.

Wreszcie dziewczyna, z którą rozmawiał na początku, wybawiła go z tej sytuacji. — Madame Kettisha prosi pana do swego gabinetu na drugim piętrze — szepnęła. Dziewczyna-posłaniec zaprowadziła go na górę, zapukała do drzwi, po czym zeszła na dół.

Za biurkiem zobaczył okazałą rudowłosą Irlandkę w średnim wieku. I to ubraną niezbyt szykownie, raczej nawet mało elegancko, trochę jakby sportowo. Niegdyś musiała nazywać się Kitty Shaw i mieszkać na jakiejś bocznej ulicy. Zasługuje na zaufanie — oszacował. Bez wątpienia potrafiła wspaniale zbijać forszę. Tylko dzięki niezwykłemu sukcesowi mogła obnosić się ze swą ekstrawagancją na takim stanowisku. Pierwsze wrażenie Lombarda było jak najlepsze i doznał prawie że nieprzyzwoitej ulgi.

Z błyskawiczną szybkością kobieta przerzucała kolorowe szkice modeli, odkładając na prawo odrzucone, inne, zaakceptowane, na lewo, a może odwrotnie.

— Czym mogę panu służyć? — mruknęła szorstko, nie podnosząc głowy. Nie wiedział, jak się zachować. Był to ten sam dzień, w którym poznał Mendozę, i jeszcze nie mógł ochłonąć. A poza tym robiło się już późno, zbliżała się piąta.

— Przyszedłem tu do pani wprost od jednej z jej byłych klientek, od południowoamerykańskiej aktorki Mendozy. Podniosła głowę.

— To lepiej niech się pan stąd zaraz zabiera — zaproponowała z surowym wyrazem twarzy.

— Zrobiła pani dla niej kapelusz na występy w ubiegłym roku, pamięta pani? Za sto dolarów. Chciałbym wiedzieć, kto dostał kopię...

Nim sobie pofolgowała, odłożyła w bezpieczne miejsce modele. Przyjęte wsunęła do szuflady, odrzucone cisnęła do kosza. Miała temperament — to było widać — ale potrafiła go ujarzmić albo też popuścić mu wodze, zależnie od sytuacji. Lombard jednak wolał już to niż ognistość Mendozy. Jej temperament był mniej kapryśny. Walnęła pięścią w biurko z takim hukiem, jakby wybuchł granat.

— Niech mi pan nie zawraca tym głowy! — ryknęła. — Już dosyć miałam kłopotów z powodu tego kapelusza! Powiedziałam wtedy, że żadnej kopii nie było, i dalej tak twierdzę. Kiedy robię model, nigdy go nie powtarzam. A jeżeli ktoś ściągnął wzór, zrobił to bez mojej wiedzy, nie w moim magazynie i ja za to nie odpowiadam. Mogę zdzierać pieniądze, ale wzorów nigdy nie powtarzam.

— A jednak zrobiono drugi taki sam kapelusz. — Nie ustępował. — Pewna kobieta była w tym samym kapeluszu w teatrze...

Pochyliła się ciężko nad biurkiem, oba łokcie trzymając w powietrzu.

— Czego ona właściwie chce? Żebym ją zaskarżyła do sądu o oszczerstwo? — krzyczała. — Zrobię to, jak będzie dalej się tak upierała. Wszystko to są łgarstwa, niech pan wraca do niej i powtórzy jej to ode mnie.

Zamiast odejść, zdjął kapelusz i rzucił go na stojące w rogu krzesło, by zamanifestować, że nie ustąpi, dopóki nie załatwi sprawy. Rozpiął nawet płaszcz dla większej swobody ruchów.

— Ona nie ma z tym nic wspólnego, możemy więc o niej nie mówić. Przyszedłem tu we własnej sprawie. Zrobiono na pewno drugi taki sam

kapelusz, ponieważ przyjaciel mój był w teatrze z kobietą, która go miała na głowie. Niech więc pani nie zaprzecza. Chcę wiedzieć, kim jest ta kobieta, i chcę, by mi pani podała jej nazwisko ze spisu klientek.

— Ależ w spisie nie ma takiego nazwiska. Nie może być, bo u nas żadnej takiej transakcji nie załatwiono. Czy zamierza pan upierać się przy tym do wieczora? Z kolei on walnął pięścią w biurko, jakby w odpowiedzi na jej niedawne uderzenie, aż zatrzęsło się całe.

— Na miłość boską, przecież tu chodzi o życie człowieka, które liczy się już tylko na godziny. Jak, u licha, może mnie obchodzić pani etyka zawodowa! Nie uda się pani odprawić mnie z niczym, gotów jestem zamknąć drzwi i siedzieć tu z panią do samego rana. Nie rozumie pani? Za dziesięć dni mają człowiekowi odebrać życie. Tylko właścicielka tego kapelusza może go ocalić. Musi pani podać mi jej nazwisko. Mnie nie chodzi o kapelusz, tylko o tę kobietę.

Przemówiła teraz normalnym tonem. Najwidoczniej opanowała już zdenerwowanie. 'Zaczęła się nawet cokolwiek interesować.

— A kto to jest? - spytała z ciekawością.

— Scott Henderson, skazany za zamordowanie żony. Skinęła głową.

— Pamiętam, w swoim czasie o tym czytałam.

Znowu uderzył w biurko, ale już nie tak mocno jak poprzednio.

— Ten człowiek jest niewinny. Trzeba wreszcie położyć temu kres. Mendoza kupiła tutaj ten model i niepodobna, aby gdziekolwiek indziej zrobił ktoś drugi taki sam. Ajednak znalazła się w teatrze kobieta w identycznym kapeluszu. Henderson był właśnie z tą kobietą, spędził z nią cały wieczór, ale jak dotąd nie zdołaliśmy się dowiedzieć nawet jej nazwiska. Muszę za wszelką cenę ją odszukać. Ona jedna może dowieść, że nie było go w domu, kiedy popełniono morderstwo. Teraz już pani rozumie? Jeżeli nie, to naprawdę nie wiem, jak to pani wytłumaczyć...

Robiła na nim wrażenie osoby, która rzadko przeżywa momenty niezdecydowania. Teraz właśnie przez chwilę widać było, że się waha. Na wszelki wypadek zadała jeszcze jedno pytanie:

— Czy może mnie pan zapewnić, że to nie jest jakiś trik prawniczy w tej cholernej sprawie? Nie wytoczyłam jej procesu za niezapła-

nie należności i awanturę, jaką wtedy urządziła, tylko z obawy, żeby nie wystąpiła ze swoimi pretensjami. Taki rozgłos mógłby zaszkodzić firmie.

— Nie jestem adwokatem — zapewnił. — Pracuję jako inżynier w Ameryce Południowej. Jeśli ma pani jakieś wątpliwości, mogę się wylegitymować.

Wyjął z kieszeni dokumenty.

— A więc mogę rozmawiać z panem w zaufaniu — zdecydowała.

— Jak najbardziej. W tej całej sprawie interesuje mnie wyłącznie Henderson.

Wyłażę ze skóry, żeby wydostać go z tych tarapatów. Pani spór z Mendozą absolutnie mnie nie obchodzi, i to pod żadnym względem. Po prostu tak się składa, że przypadło jej w udziale znaleźć się na drodze moich dociekań.

Skinęła głową i zerknęła na drzwi, czy są zamknięte.

— A więc dobrze. Jest coś, czego nie powiedziałabym Mendozie za nic w świecie, do czego nie mogę się przyznać, rozumie pan? Tajemnica musiała w jakiś sposób wyjść na jaw. Kopia tego kapelusza niewątpliwie ma źródło w naszej firmie. Ale nieoficjalnie; zrobiono to ukradkiem, pewnie ktoś z personelu. Mówię to tylko panu i nie chcę, żeby przedostało się dalej. Jeśli kiedykolwiek ktoś się o tym dowie, będę musiała oczywiście zaprzeczyć. Moja projektantka, dziewczyna, która rysuje modele, jest absolutnie czysta, wiem na pewno, że to nie ona zdradziła. Pracuje tu od początku istnienia firmy, jest zresztą udziałowcem. Dla parszywych pięćdziesięciu czy siedemdziesięciu pięciu dolarów nie opłaciłoby jej się sprzedawać. Działałaby na własną szkodę. Obie przeprowadziłyśmy po cichu śledztwo, po tym, jak Mendoza narobiła tyle szumu, i stwierdziłyśmy, że w albumie brak właśnie tego modelu. Ktoś więc musiał go zwędzić i potem wykorzystać. Podejrzenie nasze padło na dziewczynę, która szyła ten kapelusz. Oczywiście zaprzeczyła, a my nie miałyśmy żadnego dowodu. Musiała go uszyć w domu, po pracy. Wydaje mi się, że przyłapałyśmy ją, nim zdążyła z powrotem wsunąć ten model do albumu. Więc na wszelki wypadek pozbyłyśmy się jej z miejsca, żeby po raz drugi nie znaleźć się w takich opałach. — Wskazała kciukiem do tyłu. — A więc widzi pan, panie Lombard — bo tak się pan nazywa, prawda? — w naszych dowodach sprzedaży nie było nigdy drugiego takiego kapelusza. A notujemy wszystko dokładnie. Tak że nawet gdybym chciała, nie mogłabym pa-

nu pomóc. Wydaje mi się jednak, że jeżeli chce pan znaleźć tę kobietę, najlepiej byłoby odszukać najpierw naszą dawną pracownicę. Oczywiście nie mogę panu zagwarantować, że ona coś wie o tej sprawie. Wtedy byliśmy na tyle przekonane o jej winie, że uznaliśmy za stosowne ją zwolnić. Jeśli więc chce pan dalej próbować, niech pan próbuje...

I znowu szczęście uciekło mu sprzed nosa, a już zdawało się, że ma je w ręku.

— Muszę, nie mam innego wyjścia — odparł zgnębiony.

— Zaraz, może choć w tym panu pomogę — dodała życzliwie. Schwyciła słuchawkę. — Panno Lewis, proszę poszukać nazwiska dziewczyny, którą zwolniłyśmy po tych kłopotach z Mendozą. I adresu też.

Wsparł głowę na rękę i czekał. Teraz coś musiało ją uderzyć w jego zachowaniu.

— Widzę, że jest pan ogromnie przejęty swoim przyjacielem — odezwała się niemal łagodnie. Rzadko kiedy zdobywała się chyba na taki ton, musiała więc najpierw chrząknąć, żeby nadać głosowi odpowiednie brzmienie.

Nic nie odpowiedział. Była to zresztą jedna z tych rzeczy, które nie wymagały odpowiedzi.

Wysunęła szufladę i wyciągnęła z niej płaską butelkę irlandzkiej whisky.

— Do diabła z tym babskim szampanem, który podają tam na dole. Łyk tego doskonale robi, kiedy ma się przed sobą trudne zadanie. Nauczył mnie tego mój mąż. Panie, świeć nad jego duszą...

Zadzwoił telefon i dał się słyszeć głos dziewczyny:

— To była Madge Peyton. Kiedy tu pracowała, mieszkała na Czternastej Ulicy, pod numerem 498.

— Tak, ale na której Czternastej?

— Nic więcej nie ma, tylko Czternasta Ulica.

— Nie szkodzi — powiedział — są tylko dwie możliwości: zachodnia albo wschodnia.

Zanotował adres, po czym wstał, wygładził kapelusz i zapiął płaszcz z poczuciem, że ma znów cel przed sobą, że krótki okres wypoczynku się skończył.

Ona siedziała nadal za biurkiem, ręką osłaniając oczy.

— A teraz muszę się zastanowić, czy nie znalazłabym na nią jakiegoś sposobu. Ona nie powie tego dobrowolnie. — Opuściła rękę i spojrzała na Lombarda. — Ale mam przynętę. To niepozorne, ciche stworzenie. Ten typ dziewczyny, co to zawsze chodzi w spódnicy i bluzce. Wie pan, co mam na myśli, prawda? Takie są bardziej podatne i łase na pieniądze niż przystojne, bo zwykle pieniądze trudniej im przychodzą. Przeważnie boją się mężczyzn, unikają znajomości, a jak już na jakiegoś trafią, to najczęściej źle, bo nie mają w tych sprawach doświadczenia.

Musiał przyznać, że to bystra kobieta. Dlatego też nie jest już zwykłą Kitty Shaw, gdzieś z bocznej ulicy.

— Mendoza wybuliła sto dolarów za model. Myślę, że ona nie dostała więcej niż pięćdziesiąt za ściągnięcie wzoru. I tu właśnie jest ta przynęta. Niech pan spróbuje zaproponować jej drugie pięćdziesiąt. Powinien pan wtedy wyciągnąć od niej prawdę — jeżeli ją pan w ogóle znajdzie.

— Jeżeli ją znajdę — powtórzył, wlokąc się zniechęcony po schodach.

**Właścicielka** domu otworzyła drzwi pomalowane na heban, z kwadratową szybką, zasłoniętą od wewnątrz.

— He? — burknęła.

— Szukam Madge Peyton.

Potrząsnęła głową, nie chcąc tracić energii na odpowiedź.

— Młoda dziewczyna, nie bardzo ładna, raczej niepozorna.

— Wiem, o kim pan mówi. Ale już tu nie mieszka. Kiedyś mieszkała, ale wyprowadziła się już dawno.

Podczas całej rozmowy uważnie obserwowała ulicę. Tak jakby sądziła, że skoro już zadała sobie tyle trudu, by podejść do drzwi, musi to wykorzystać, nim je znów zamknie. Chyba tylko dlatego tak długo stała, bo najwyraźniej nie była zainteresowana Lombardem.

— I nie wie pani, dokąd się przeniosła?

— Wyprowadziła się i to wszystko, co mogę panu powiedzieć. Nie mam zwyczaju wtrącać się w cudze sprawy.

— Ale przecież musi być jakiś ślad. Ludzie na ogół nie rozplywają się w powietrzu. Jak przewoziła swoje rzeczy?



— W jednym ręku i na dwóch nogach. — Wskazała kciukiem kierunek. — O, w tę stronę, jeżeli to się panu na coś przyda.

To było naprawdę niewiele. Ulicę w tym kierunku przecinały trzy przecznice, dalej biegła główna arteria, a potem była rzeka i piętnaście albo dwadzieścia stanów. I wreszcie ocean.

Właścicielka domu miała już dość powietrza i obserwowania ulicy.

— Chyba pan nie czeka, że mam coś wymyślić na poczekaniu — rzekła. — Bo jeżeli chodzi o fakty, to... — Rozłożyła ręce i wydeła wargi, wyrażając tym swoją bezradność.

Już zamykała drzwi, ale jeszcze zauważyła:

— Co się stało, panie? Strasznie pan blady.

— Jakoś mi słabo — przyznał się. — Czy mogę na chwilę usiąść na progu?

— A niech pan sobie siedzi, dopóki ktoś nie będzie chciał wyjść albo wejść. I zatrasnęła drzwi.

### *16. Ósmy dzień przed egzekucją*

### *17. Siódmy dzień przed egzekucją*

### *18. Szósty dzień przed egzekucją*

**Po** trzygodzinnej podróży wysiadł na stacji i kiedy pociąg odjechał, rozejrzał się dookoła niepewnie. Była to osada przyległa do dużego miasta, która z jakiegoś jednak powodu bardziej wyglądała na spokojną wieś niż wiele innych prowincjonalnych dziur. A może dlatego, że kontrast był zbyt jaskrawy, oko nie mogło się przyzwyczaić do zmiany. Leżała w każdym razie dość blisko, by mogła jednocześnie przybrać cechy swojej metropolii: a więc znajdował się tu popularny pięcio- i dziesię-

ciocentowy bazar, supermarket oraz tak dobrze znane pijalnie soku pomarańczowego, ustawione w długim rzędzie. Ale właśnie to zdawało się jeszcze bardziej podkreślać odrębność osady, zamiast ją jakoś tuszować.

Spojrzał na kopertę, gdzie na odwrocie zanotowano w pośpiechu jedno pod drugim kilka nazwisk i przy każdym podano adres. Były to wszelkie możliwe warianty tego samego nazwiska, w dwóch językach. Wszystkie, oprócz dwóch ostatnich, były skreślone. Wyglądało to mnie więcej tak:

*Madge Payton, modystka (adres) Marge Payton, modystka (adres) Margaret Peyton, kapelusze (adres) Madame Magdax, chapeaux (adres) Madame Margot, chapeaux (adres)*

Przeszedł przez tory w stronę stacji benzynowej i zagadnął mechanika: — Nie znacie tu kogoś, kto robi kapelusze i nazywa się Marguerite?

— U starej pani Hascombe jest lokatorka, która ma w oknie jakąś wywieszkę. Tylko nie jestem pewien, czy to kapelusze tam robią, czy sukienki, nigdy nie przyglądałem się z bliska. To ostatni dom po tej stronie ulicy. Niech pan idzie prosto przed siebie. Był to drewniany dom o niezachęcającym wyglądzie. W jednym z parterowych okien widniał w rogu żaloszny, ręcznie wykonany szyld: „Marguerite, kapelusze”. Co za pretensjonalna nazwa! Nawet w takiej dziurze, zauważył ze zdziwieniem, musi być francuszczyzna. Dziwny zwyczaj!

Wszedł w ciemny, ponury ganek i zapukał. Dziewczyna, która mu otworzyła, to właśnie ona, jeśli wierzyć opisowi Kettishy. Nieładna i nieśmiała. Miała na sobie płócienną bluzkę i granatową spódniczkę. Spostrzegł, że na jednym palcu ma mały metalowy napałek.

Myślała widocznie, że chce się widzieć z właścicielką domu, bo powiedziała nie pytana:

— Pani Hascombe wyszła właśnie do sklepu, ale powinna już niedługo wrócić.

— Ależ się pani naszukałem, panno Peyton! — powiedział Lombard.

W tym momencie wyraźnie się przestraszyła, próbowała uciec i zamknąć za sobą drzwi. Ubiegł ją jednak i przytrzymał drzwi butem.

— Chyba się pan pomylił.

— A ja myślę, że nie.

Malujący się na jej twarzy przestach był dostatecznym dowodem, że się nie mylił, aczkolwiek nie mógł pojąć jego przyczyny. Potrząsała głową.

— Powiem pani, o co chodzi. Pracowała pani u Kettishy, w szwalni.

Zbladła jak papier, a więc musiała to być prawda. Widząc, że znowu ma ochotę uciec i zamknąć drzwi, chwycił ją za rękę.

— Pewna kobieta nawiązała z panią kontakt i namówiła do skopiowania kapelusza zrobionego dla aktorki Mendozy.

Potrząsała głową coraz gwałtowniej, jakby tylko to potrafiła robić. Przechylona do tyłu, rozpaczliwie usiłowała mu się wyrwać, ale mocno przytrzymał ją w drzwiach, ściskając przegub ręki. Strach potrafi być tak samo nieugięty, jak jego przeciwieństwo — odwaga.

— Potrzebne mi jest tylko nazwisko tej kobiety.

Nic nie trafiało do jej świadomości. W życiu nie widział jeszcze takiego przerażenia. Twarz jej poszarzała, a usta drżały, jakby pulsowało w nich serce. Nie chodziło tu więc o zwykłą kradzież modelu. Zbyt wielka była dysproporcja między przyczyną i skutkiem. Zbyt wielki strach przy tak małym przewinieniu. Zaczął się domyślać, że natrafił przy tej okazji na jakąś inną sprawę, zupełnie inną. Nic więcej nie mógł z tego zrozumieć.

— Tylko nazwisko tej kobiety... — Po jej rozszerzonych źrenicach widział, że nawet nie słyszy. — Nie będzie pani za to odpowiadać. Ale przecież musi pani wiedzieć, jak się nazywa.

Wreszcie odzyskała głos, lecz jakże niewyraźny i zduszony.

— Zaraz panu przyniosę. Mam w mieszkaniu. Proszę mnie puścić na chwilę...

Przytrzymał drzwi, tak że nie mogła ich zamknąć. Kiedy puścił jej rękę, zniknęła momentalnie, jakby zmieciona podmuchem wiatru.

Czekał chwilę i nagle, właściwie nie zdając sobie jasno sprawy, a może pod wpływem jakiegoś napięcia, które zawisło w powietrzu po jej wyjściu, poderwał się i rzucił przez ponury korytarz do drzwi, które zamknęła za sobą.

Na szczęście nie przekreśliła klucza. Otworzył je w momencie, kiedy nad jej głową błysnęły nożyce. Nie wiedział później, jak to się stało, że zdążył na czas. Wyciągnął rękę, by powstrzymać ją od ciosu, przy czym rozciął sobie rękaw i poranił ramię. Wyrwał jej nożyce cisnął z brzękiem w kąt pokoju. Mogłyby śmiało dosięgnąć jej serca, gdyby tylko trafiła.

— I po co to wszystko? — Drżał cały, przykładając chusteczkę do ręki.

Nagle dziewczyna się załamała. Wybuchnęła gwałtownym płaczem i potokiem słów bez związku.

— Nie widziałam go od tamtej pory. Nie wiem, co mam z tym robić... Bałam się go, bałam się mu odmówić. Powiedział, że tylko kilka dni, a to się już ciągnie miesiącami... Bałam się mówić o tym komuś, bo zapowiedział, że mnie zabije... Przysłonił jej na chwilę usta ręką. Tamta sprawa nie obchodziła go wcale.

— Zamilcz, ty zastraszona idiotko! Chcę tylko nazwiska, *nazwiska* tej kobiety, dla której skopiowała pani kapelusz Kettishy. Nie może się to pani pomieścić w głowie, co?

Była to zmiana zbyt nagła, perspektywa powracającego bezpieczeństwa wydawała się jeszcze zbyt złudna, żeby od razu mogła w to uwierzyć.

— Pan tylko tak mówi, pan próbuje mnie oszukać...

Gdzieś blisko rozległ się stłumiony, cichy płacz. Była w takim stanie, że wszystko zdawało się ją przerażać. Znow gwałtownie zbladła, mimo że płacz ledwie było słychać.

— Jakiego jest pani wyznania?

— Byłam katoliczką.

Pomyślał, że czas przeszły kryje jakąś jej tragedię.

— Ma pani różaniec? To proszę przynieść.

Postanowił przemówić do jej uczuć, skoro nie mógł do rozumu. Podała mu różaniec na wyciągniętej dłoni. Lombard ujął jej rękę w swoje dłonie i przytrzymał chwilę.

— A teraz przysięgam, że chodzi mi tylko o to nazwisko. O nic więcej. Wcale nie chcę pani krzywdy. I przysięgam, że tylko po to tutaj przyszedłem. Czy to wystarczy?

Uspokajała się stopniowo, jakby zetknięcie z różańcem wywierało jakiś kojący wpływ.

— Nazywa się Pierrette Douglas, mieszka przy Six Riverside Drive — odpowiedziała bez wahania.

Płacz stawał się coraz głośniejszy. Rzuciła mu ostatnie pełne niepewności i obaw spojrzenie, po czym skryła się w małej, zasłoniętej alkwie. Płacz raptownie ucichł. Wróciła równie szybko, jak znikła, trzymając w ramionach białe zawiniątko, z którego wyzierała mała różowa twarzyczka, spoglądająca poważnie i z ufnością. Kiedy dziewczyna patrzyła na Lombarda, była jeszcze wyraźnie przerażona, ale gdy spojrzała na twarzyczkę dziecka, w oczach jej pojawiła się bezgraniczna miłość: zabarwiona jakimś poczuciem winy, ukradkowa, lecz niezachwiana. Tak kochają istoty samotne, których uczucie z każdym dniem i tygodniem staje się coraz silniejsze, coraz bardziej niezłomne.

— Pierrette Douglas, Six Riverside Drive. — Wyciągnął pieniądze. — Ile ona pani zapłaciła?

— Pięćdziesiąt dolarów — odpowiedziała od niechcienia, jakby mówiła o dawno przebrzmiałej sprawie.

Do wywróconego kapelusza, nad którym właśnie pracowała, wrzucił pogardliwie banknot.

— A w przyszłości — powiedział już od drzwi — radzę bardziej nad sobą panować. W ten sposób tylko się pani naraża...

Nie słyszała go. Po prostu nie słuchała. Uśmiechała się, spoglądając na bezzębną, roześmianą twarzyczkę, która w niczym nie przypominała twarzy matki. Ale była to jej własność, jej na zawsze; miała kogo wychowywać i zapełnić czymś samotne życie.

— Powodzenia! — Nie mógł oprzeć się, by nie zawołać od drzwi wyjściowych.

W tę stronę jechał trzy godziny, z powrotem tylko trzydzieści minut. Albo może tak mu się zdawało? A koła stukały głośno, rytmicznie:

— No, nareszcie mam, nareszcie mam, mam... Stanął przed nim konduktor.

— Proszę bilety.

Podniósł głowę, uśmiechając się bezmyślnie.

— Jasne. Nareszcie ją mam! Nareszcie mam, mam...

## *19. Piąty dzień przed egzekucją*

Poprzez szklane drzwi dobiegał słaby warkot odjeżdżającego samochodu, chociaż przyjazdu wcale nie było słychać. Jakaś postać stanęła już w wejściu, podobna do widma na tle drzwi. Uchyliła je i stanęła w progu, oglądając się na odjeżdżające auto.

Czuł, że to musi być ona, choć nie potrafiłby tego uzasadnić. Może po prostu dlatego, że wchodziła sama, jak kobieta niezależna, na którą wyglądała. Była oszałamiająco piękna, lecz nadmiar piękna pozbawił ją wdzięku, jak to bywa ze wszystkim, jeśli w nadmiarze. Nie budziła uczuć, tylko artystyczne doznanie, niczym kamea albo posąg.

Wydawało się, że przy takich walorach zewnętrznych, dla równowagi, niewiele musi mieć zalet, a przeciwnie, nawet niejedną wadę. Była wysoką brunetką o absolutnie doskonałej figurze. Jakże jałowe musi być życie takiej kobiety — bez problemów, bez tych ciągłych walk staczanych przez inne przedstawicielki jej płci. Wszystko zresztą wskazywało, że życie jej jest puste, jak pusta jest bańka mydlana, która przyska i zostawia na ustach tylko nieprzyjemny smak mydła.

Kiedy tak stała w uchylonych drzwiach, suknia jej wyglądała niczym migocące fale płynnego srebra. Samochód już odjechał, odwróciła więc głowę i weszła.

Nie spojrzała na Lombarda, powiedziała tylko portierowi „dobry wieczór” bezbarwnym głosem.

— Ten dzentelmen na panią... — zaczął portier. Nim skończył, Lombard już był przy niej.

— Pani Pierrette Douglas — stwierdził, zamiast pytać.

— Tak.

— Chciałbym porozmawiać z panią. Musimy natychmiast pomówić. To bardzo pilne...

Zatrzymała się przed windą, bynajmniej nie zdradzając ochoty, żeby towarzyszył jej dalej.

— Nie sądzi pan, że już trochę za późno?

— Nie, na to nie jest za późno. To nie może czekać. Nazywam się John Lombard i przyszedłem tutaj w sprawie Scotta Hendersona.

— Nie znam Scotta Hendersona i obawiam się, że nie znam też pana. A może się mylę? — Pytanie to rzuciła od niechcienia, ot, taki kąsek uprzejmości.

— Henderson jest w celi śmierci stanowego więzienia karnego i oczekuje egzekucji.

— Spojrzał przez ramię na portiera. — Niechże pani nie każe mówić tego tutaj.

Podstawowe zasady uprzejmości...

— Bardzo przepraszam, ale jest już po pierwszej, a zasady przyzwoitości... No cóż, może wobec tego chodźmy tam.

Ruszyła na ukos przez hall w kierunku niewielkiej wnęki z kanapą i popielniczkami. Tam obróciła się ku niemu, ale nie usiadła. Rozmawiali, stojąc.

— Nabyła pani kiedyś kapelusz u pewnej dziewczyny, Madge Peyton, która pracowała w magazynie Kettishy. Zapłaciła jej pani pięćdziesiąt dolarów.

— Możliwe. — Zauważyła, że portier za wszelką cenę chce usłyszeć, o czym rozmawiają. — George! — zganiła go krótko. Wycofał się w drugi koniec hallu.

— W tym kapeluszu była pani pewnego wieczora w teatrze z mężczyzną.

Znowu przytaknęła mu nieznacznie.

— Możliwe. Chodzę do teatrów. W towarzystwie mężczyzn. Może pan łaskawie przystąpi do rzeczy?

— Otóż z tym mężczyzną była pani tylko raz, tego jednego wieczora. Poszła z nim pani, nie wiedząc, jak się nazywa, on zresztą też nie znał pani nazwiska.

— Och, niemożliwe! — Nie była oburzona, tylko na swój chłodny sposób pewna siebie. — To pomyłka, proszę mi wierzyć. Mam równie liberalne zasady, jak wszyscy. Przekona się pan. Ale nie pozwalają mi one pójść z kimś gdziekolwiek i kiedykolwiek, jeżeli nie był mi poprzednio formalnie przedstawiony. Mylnie pana poinformowano, na pewno chodzi o kogoś innego.

Wysunęła nogę spod srebrzystego rąbka, żeby już odejść.

— Bardzo proszę, nie rozszczepiajmy włosy na czworo, jeśli chodzi o towarzyskie konwenanse. Ten człowiek jest skazany na śmierć, w tym tygodniu wykonają wyrok. Musi pani coś dla niego zrobić!

— Może jednak spróbujmy lepiej się zrozumieć. Czy pomoże mu, jeśli zeznam fałszywie, że byłam z nim tego wieczora w teatrze?

— Nie, nie, nie — odetchnął głęboko, zupełnie wyczerpany. — Pomoże tylko wtedy, jeżeli zezna pani prawdę.

— Tego zrobić nie mogę, bo nie byłam.

Nie spuszczała z niego wzroku.

— Wróćmy więc do kapelusza — rzekł w końcu Lombard. — Kupiła pani kapelusz, model zrobiony dla kogoś innego...

— Ale my się ciągle nie rozumiemy. To, że potwierdziłam kupno kapelusza, wcale nie znaczy, że byłam z tym mężczyzną w teatrze. Oba te fakty nie mają ze sobą nic a nic wspólnego.

Musiał przyznać, że to dosyć prawdopodobne. Zdawało mu się, że stoi już na pewnym gruncie, a tu znów otwiera się przed nim przepaść.

— Niech mi pan powie coś więcej o tej wyprawie do teatru — podjęła. — Jaki ma pan dowód na to, że ja właśnie jestem kobietą, która z nim była w teatrze?

— Przede wszystkim kapelusz — wyznał. — Drugi, identyczny, miała Mendoza na scenie. Model był zresztą zrobiony dla Mendozy. Przyznała pani, że nabyła kopię tego modelu. Kobieta, która była z Hendersonem w teatrze, miała właśnie ten drugi kapelusz na głowie.

— To w dalszym ciągu wcale nie dowodzi, że ja byłam tą kobietą. Pańskie rozumowanie nie jest znowu tak bezbłędne, jak się panu wydaje.

Ale była to tylko luźna uwaga, bo najwidoczniej myślami błędziła gdzie indziej.

Wyraźnie coś się z nią stało. Coś wywarło na nią zadziwiająco korzystny wpływ.

Albo to, co powiedział, albo też coś, co zaświtało jej w głowie. Nagle dziwnie się ożywiła, zainteresowała, można powiedzieć, gorączkowo się czymś zajęła. W oczach jej zabłyśły iskierki nateżonej uwagi.

— Niech mi pan wyjaśni jeszcze dwie rzeczy. To był występ Mendozy, tak? Może mi pan w przybliżeniu podać datę?

— Mogę pani podać nawet dokładną datę. To było dwudziestego maja, od godziny dziewiątej do jedenastej z minutami.

— W maju... — powiedziała na głos do siebie. — Dosyć mnie to zainteresowało — powiadomiła Lombarda. Skinęła na niego, a nawet dotknęła jego rękawa. — Ma pan rację. Może wobec tego pójdziemy do mnie na górę.

W windzie tylko raz się odezwała:

— Bardzo się cieszę, że zwrócił się pan do mnie w tej sprawie. Wysiedli chyba na dwunastym piętrze — nie był całkiem pewien.

Otworzyła drzwi, zapaliła światło i Lombard wszedł za nią do mieszka-



nia. Etołę z rudego lisa, którą miała przewieszoną przez ramię, rzuciła niedbale na krzesło. Oddaliła się od Lombarda, a w lśniacej jak lustro podłodze odbicie jej mignęło niby srebrna wstęga dymu unoszącego się z komina.

— Dwudziesty maja, tak? — rzuciła przez ramię. — Zaraz wracam. Proszę, niech pan siada.

Poprzez nie domknięte drzwi przedostawała się smuga światła z przyległego pokoju, w którym pozostała dłuższą chwilę. Lombard siedział i czekał. Kiedy wróciła, trzymała w rękach stos papierków wyglądających jak rachunki i zaczęła je sortować. Jeszcze nim się do niego zbliżyła, znalazła ten, który jej był potrzebny, bo odłożyła wszystkie inne i tylko z tym jednym podeszła do Lombarda.

— Myślę, że nim posuniemy się dalej, musimy najpierw ustalić — odezwała się — że ja na pewno nie jestem tą, która była z tym panem w teatrze owego wieczoru. Proszę spojrzeć.

Pokazała mu rachunek za pobyt w szpitalu przez okres czterech tygodni, począwszy od trzydziestego kwietnia.

— Miałam operowany wyrostek robaczkowy i leżałam w szpitalu od trzydziestego kwietnia do dwudziestego siódmego maja. Jeżeli to panu nie wystarczy, proszę sprawdzić u lekarzy i pielęgniarek.

— Najzupełniej mi wystarczy — wykrztusił po dłuższej chwili, przytłoczony poczuciem klęski.

Zamiast jednak wykonać jakiś ruch, żeby zakończyć to spotkanie, usiadła obok Lombarda.

— Ale przecież pani kupiła ten kapelusz?

— Kupiłam.

— I co się z nim stało?

Nie odpowiedziała od razu. Myślami błądziła gdzieś daleko. Spłynęło na nich dziwne milczenie. Pod osłoną tego milczenia Lombard mógł obserwować ją i wszystko dokoła, ona zaś pochłonięta była rozważaniem jakiegoś problemu.

Pokój powiedział mu dużo. Przepych utrzymywał się tu ostatkiem sił. Ale bez żadnych kompromisów. Na zewnątrz jeden z najwytworniejszych domów.

Wewnątrz nie starczało dywanu na pokrycie lśniacej jak jezioro podłogi. I obrazów też zostało niedużo. Chyba wyprzedawano jeden po drugim, świadczyły o tym ślady na ścianach. Nie do pomyślenia jednak, by zastąpiono je jakąś tandetą. Kiedy spojrzął na nią,

spozstrzegł te same wymowne szczegóły. Pantofle miała za czterdzieści dolarów, robione na zamówienie, ale mocno znoszone. Widać to było po obcasach i połysku. O takiej sukni wiele kobiet nawet nie śmiałyby marzyć, ale też i na niej zaznaczył się ślad czasu. A już najwyraźniej wyczytać to było można w jej oczach. Błyszczała w nich jakaś niezdrowa czujność, jakby dalsze jej życie zależało od sprytu, jakby wypatrywała swej następnej szansy. Wszystkie te drobiazgi razem wzięte, o ile oczywiście ktoś potrafił je spostrzec, dawały jednolity obraz i były nieodparte, choć rozpatrywane z osobna pozwalały się łatwo obalić.

Lombard siedział i nieomal słuchał jej myśli. Tak, słuchał. Zauważył, że spojrzała na rękę. Zrozumiał to: myśli w tej chwili o pierścionku z brylantem, który niegdyś ozdobił jej palec. A gdzie znajduje się teraz? Oddany w zastaw. Potem zauważył, jak uniosła nogę i zerknęła na nią. O czym myślała? Niewątpliwie o jedwabnych pończochach. W marzeniach zobaczyła stos jedwabnych pończoch, setki par, o wiele więcej, niż mogłaby znosić. Wy tłumaczył to sobie: myśli o pieniądzach na kupno tych i wielu innych rzeczy.

„Już się zdecydowała” — powiedział do siebie, nie spuszczać z niej oka.

Odpowiedziała na jego pytanie. Cisza skończyła się, a trwała zaledwie moment.

— Otóż sprawa z tym kapeluszem jest bardzo prosta — podjęła na nowo. —

Zobaczyłam go, spodobał mi się i wyłudziłam od tej dziewczyny kopię. Jestem pod tym względem stworzeniem impulsywnym, o ile, oczywiście, mogę sobie na to pozwolić. Miałam go chyba na głowie raz, nie więcej, ale — wzruszyła ramionami, aż zaskrzyły się srebrzystym blaskiem — nie był dla mnie odpowiedni. Po prostu nie było mi w nim dobrze. Nie pasował do mnie. Do mojego typu urody. Nie robiłam z tego powodu tragedii. Kiedyś, na krótko przed moim pójściem do szpitala, odwiedziła mnie przyjaciółka. Akurat zobaczyła ten kapelusz i przymierzyła go.

Gdyby pan był kobietą, toby pan wiedział, jak się to odbywa. Kiedy jedna ubiera się, a druga na nią czeka, zwykle przymierza wtedy jej nowe rzeczy. Od razu wpadła w zachwyty na widok tego kapelusza, więc go jej podarowałam.

Na zakończenie znów wzruszyła ramionami, podobnie jak na początku. Jakby to już było wszystko, jakby w ten sposób postawiła kropkę nad i.

— A kto to jest? — spytał cicho. Chociaż zadał to pytanie mimochodem, niby przypadkowo, wiedział, że krzyżują ze sobą szpady, że nie otrzyma łatwo odpowiedzi, że to przetarg.

Odpowiedziała tak samo naturalnie i jakby przypadkowo:

— Jak pan sądzi, czy ładnie bym wobec niej postąpiła?

— Ale tu chodzi o życie człowieka. On ma umrzeć w piątek. — Powiedział to tak cicho i bezbarwnie, iż zdawało się, że tylko porusza wargami.

— Czy to z jej powodu albo może w jakiś sposób przez nią? Czy to ona zawiniła albo przyczyniła się do tego? Proszę powiedzieć.

— Nie — westchnął.

— Wobec tego jakim prawem chce ją pan w to mieszać? Wie pan dobrze, że dla kobiet też istnieje pewien rodzaj śmierci. Śmierć towarzyska. Może pan to nazwać rozgłosem, utratą reputacji, jak pan woli. Ale tu agonia trwa dłużej i wcale nie jestem pewna, czy to nie gorsze.

Pod wpływem napięcia twarz jego bladła coraz wyraźniej.

— Przecież musi być w pani coś, do czego mógłbym się odwołać. Czyż nic panią nie obchodzi, że ten człowiek umrze? Czy zdaje sobie pani sprawę, że jeśli pani odmówi...

— Mimo wszystko tę kobietę znam, a jego nie znam. Ona jest moją przyjaciółką, on nie. Każe mi ją pan narażać na niebezpieczeństwo, żeby jego ocalić.

— Ale jakież tu niebezpieczeństwo? — Nie odpowiedziała. — Więc odmawia pani?

— Na razie nie odmówiłam, ale też i nie wyraziłam zgody. Dławił się własną bezsilnością.

— Nie robi mi pani tego. To ostatnia szansa, tutaj się kończy. A pani wie i musi mi pani powiedzieć! — Oboje poderwali się z miejsc. — Myśli pani, że skoro jest pani kobietą, nie uda mi się wydobyć tego od pani? A właśnie, że mi się uda. Nie będzie pani tu dłużej tak stała i...

Spojrzała znacząco na swoje ramię.

— Niech pan uważa — odezwała się z chłodnym oburzeniem.

Cofnął rękę. Ona poprawiła srebrną suknię na ramieniu i spojrzała mu prosto w oczy z druzgocącą pogardą. Błąd, jaki często kobiety popełniają w stosunku do mężczyzn.

— Czy mam zadzwonić, żeby pana wyprowadzono?

— Jeżeli chce pani mieć tutaj porządną rozróbę, to proszę.

— Nie może mnie pan zmusić, bym powiedziała. Decyzja należy do mnie.

Doskonale to rozumiał.

— Mam wolną rękę w tej sprawie. Co wobec tego zamierza pan robić?

— To.

Na widok broni twarz jej przelotnie się zmieniła, co było całkiem naturalne pod wpływem doznanego wstrząsu. Zaraz jednak odzyskała normalny wygląd. Usiadła powoli — nie opadła w odruchu pokonanego. Przeciwnie, postawa jej wyrażała spokój i pewność siebie: jak gdyby miało to trochę potrwać, a ona postanowiła przeczekać.

Nie zdarzyło mu się jeszcze spotkać takiego człowieka. Gdy tylko odzyskała swój normalny wygląd, wszystko wskazywało, że właśnie ona, nie on, z rewolwerem czy bez, panuje nad sytuacją.

Stał nad nią z bronią w ręku, próbując przynajmniej psychicznie oddziaływać.

— Nie boi się pani śmierci? Patrzyła mu prosto w twarz.

— Bardzo — odparła niesłuchanie opanowana. — Tak samo jak każdy. Ale w tej chwili nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo. Pan nie może mnie zabić. Zabija się ludzi, żeby *nie mogli* wyjawić tajemnicy. Natomiast nigdy się nie zabija, jeżeli chce się tajemnicę od kogoś wydobyć. Bo wtedy jakże ten ktoś mógłby cokolwiek powiedzieć? Ten rewolwer nadal pozostawia decyzję w moich rękach, nie pana. Mogłabym zrobić teraz wiele rzeczy. Na przykład zawołać policję. Ale nie zrobię tego. Posiedzę sobie i poczekam, aż odłoży pan rewolwer.

Teraz ona miała go w swym ręku. Odłożył broń i przetarł dłonią czoło.

— No dobrze — odparł stłumionym głosem. Parsknęła krótkim śmiechem.

— I kto z nas miał więcej emocji? Moja twarz jest sucha, pan się błyszczy. Pan jest błądy, ja natomiast się nie zmieniałam.

Jak poprzednio, zdobył się tylko na tyle:

— Dobrze, zwyciężyła pani.

Znowu zaczęła wałkować ten sam temat, właściwie drażnić poma-lutku, a była zrećzna i bardzo sprytna.

— No, widzi pan, nie może mi pan grozić. — Przerwała, żeby mógł więcej odczytać między wierszami. — Może mnie pan tylko zainteresować.

Przytaknął. Nie jej, ale sobie.

— Czy mogę tu usiąść? — spytał, kierując się do małego biurka. Wyjął książeczkę czekową z kieszeni i otworzył ją z trzaskiem. Ostrożnie wydarł czek wzdłuż perforowanej linii. Potem zamknął książeczkę i schował ją z powrotem. Pozostała mu tylko czysta, podłużna kartka. Odkręcił pióro i zaczął pisać.

Rzucił na nią krótkie spojrzenie i spytał:

— Nie nudzę pani?

Odpowiedziała naturalnym, niewymuszonym uśmiechem, jak to często bywa, kiedy ludzie doskonale rozumieją się nawzajem.

— Świetny z pana kompan. Spokojny, ale zabawny. Tym razem on się uśmiechnął, do siebie.

— Jak pisze pani swoje nazwisko?

— O-k-a-z-i-c-i-e-l.

Zerknął na nią i znowu pochylił się nad kartką.

— Trochę pospolite, co? — mruknął lekceważąco. Napisał cyfrę 100. Podeszła bliżej i popatrzyła na czek.

— Jestem śpiąca — zauważyła i ziewnęła specjalnie, klepnąwszy się kilka razy dłonią po ustach.

— Dlaczego nie otworzy pani okien? Trochę tu duszno.

— A mnie się zdaje, że nie.

Podeszła jednak i otworzyła okno, po czym wróciła do niego. Dopisał jeszcze jedno zero.

— Jakże się pani teraz czuje, nic nie lepiej? — spytał z ironiczną troskliwością.

Rzuciła krótkie spojrzenie na czek.

— Niesłychanie odświeżona. Można powiedzieć, niemal ożywiona.

— I tak niewiele trzeba, prawda? — zagadnął cynicznie.

— Zdziwiająco, jak niewiele. Prawie nic. Bawiła się własnymi kalamburami.

Nie pisał już więcej. Pióro leżało na biurku, choć nie wypuszczał go z ręki.

— Wie pani, to niedorzeczne.

— Ja po nic do pana nie przychodziłam. Pan przyszedł do mnie. — Skłoniła głowę.  
— Dobranoc.

Pióro w jego rękę znowu uniosło się do pozycji pionowej...

Stał już potem w otwartych drzwiach, zwrócony twarzą w jej stronę, i zęgnął się, kiedy na jego sygnał nadjechała winda i otworzyły się drzwi. W palcach trzymał kawałek papieru, kartkę wydartą z notatnika i złożoną na pół.

— Mam nadzieję, że nie byłem niegrzeczny — mówił do niej. Na chwilę profil jego zarysował się w uśmiechu skruchy. — Przynajmniej wiem, że nie nudziła się pani ze mną. I proszę, niech pani daruje tę wyjątkową porę. Mimo wszystko to była raczej wyjątkowa sprawa. — Po czym dodał w odpowiedzi na jakąś jej uwagę: — Niech się pani nie obawia. Nie trudziłbym się wypisywaniem czeku, gdybym potem miał cofnąć wypłatę. To tylko taki mały kruczek, nic więcej nie kryje się za tym...

— Na dół, sir? — przypomniał mu się windziarz, żeby zwrócić na siebie uwagę. Obejrzał się.

— Jest już winda. — Po czym znów spojrzał na nią. — Dobranoc. Z gracją uniósł kapelusz i odszedł, zostawiając za sobą uchylone drzwi. Zamknęła je, ociągając się trochę, ale już nie wyjrzała za nim. W windzie popatrzył na kartkę.

— Hej, chwileczkę! — wykrzyknął, łapiąc windziarza za ramię. — Podała mi tylko imię...!

Windziarz przycisnął guzik.

— Chce pan wrócić na górę, sir?

Przez moment wyglądało, że tak. Spojrzał jednak na zegarek.

— Nie, nic nie szkodzi. Myślę, że wszystko będzie w porządku. Jedźmy.

Winda znowu pomknęła na dół. W hallu zatrzymał się przy portierze, wymachując przed nim kartką.

— Może mi pan powiedzieć, gdzie to będzie?

Wypisane na niej były dwie nazwy i cyfra: „Flora”, cyfra i „Amsterdam”.

**No**, jestem prawie u celu — mówił niedługo potem do Burgessa z telefonu w czynnym całą noc drugistorze na Broadwayu, z trudem łapiąc od-

dech. — Myślałem, że to już koniec, a tu jeszcze jeden etap, tym razem jednak chyba ostatni. Zresztą nie pora o tym mówić. W każdym razie to tam. Idę tam właśnie. Jak prędko może pan przyjechać?

**Burgess** pędził policyjnym wozem na łeb na szyję, aż spostrzegł samochód Lombarda przed jakimś domem, na pierwszy rzut oka pusty; nie bacząc na niebezpieczeństwo, wyskoczył niemal w biegu. Dopiero znalazłszy się na chodniku, dojrzał nagle na stopniu auta samego Lombarda.

W pierwszej chwili pomyślał, że musi być chory; siedział skulony, a głowę spuszczoną miał prawie do ziemi. Można go było posadzić o silne kurcze żołądka. Kilka kroków dalej stał mężczyzna w szelkach, podkoszulku i z fajką w ręce i przyglądał się Lombardowi ze współczuciem; między nogami plątał mu się pies. Lombard spojrzał pobladły na Burgessa, który zbliżał się szybkim krokiem i wreszcie przystanął przy nim. Ale już po chwili znowu odwrócił głowę, jakby nawet mówienie sprawiało mu trudność.

— Czy to tutaj? Co się stało? Był pan już w środku?

— Nie, to ten dom za nami.

Wskazał olbrzymie wejście, prawie na szerokość całego budynku. Wewnątrz, z jednego boku, widać było lśniąca mosiężną kolumnę, wmontowaną w gładki beton podłogi. Na fasadzie, na czarnym tle, widniał błyszczący napis: Straż Pożarna miasta Nowy Jork.

— To ten numer... — odezwał się Lombard, wymachując kawałkiem papieru, który wciąż trzymał w dłoni.

Łaciaty dalmatyńczyk zaczął się kręcić, węsząc zaciekawiony.

— A to jest ta Flora, jak mnie poinformowano.

Burgess otworzył drzwiczki auta, niemal spychając Lombarda na ziemię.

— Jedźmy — rzucił krótko. — I to szybko.

**Całym** ciałem bezskutecznie napierał na drzwi, zziąjany i zmachany, dopóki Burgess z wytrychem w ręku nie przyłączył się do niego.

— Zupełna cisza. Czy z dołu dodzwonili się do niej?

— Ciągle jeszcze dzwonią.

— Musiała zwać.

— Nie mogła. Widzieliby ją, gdyby wychodziła, chyba że wydostała się jakąś okreżną drogą... Chwileczkę, niech pan pozwoli. W ten sposób nic pan nie zrobi... Drzwi otworzyły się i wtargnęli do środka. Salon, który stanowił przedłużenie przedpokoju, położony o jeden stopień niżej, pusty był teraz, ale wymowny w swym milczeniu. Obaj jednym spojrzeniem objęli cały pokój.

Palily się wszystkie światła. Na popielniczce leżał jeszcze nie dopalony papieros, z którego unosiły się leniwie srebrzystoniebieskie spirale dymu. Francuskie okna były otwarte na oścież, a poza nimi rozciągała się olbrzymia płachta czerni. Tylko w jednym rogu przeświecała duża gwiazda, a w drugim trochę mniejsza, co wyglądało, jakby ktoś przymocował pineskami czarną zasłonę nocy.

Tuż pod oknem leżał na boku srebrny pantofel, niczym mała wywrócona łódeczka. Wąski, długi chodnik biegnący od schodka prawie do okien, przez środek lśniącej podłogi, był po brzegach zmarszczony, a na samym końcu całkiem pofałdowany. Wyglądało to, jakby ktoś się potknął.

Burgess, idąc pod ścianą, zbliżał się do okna. Wychylił się nad nisko, chyba tylko dla dekoracji umieszczoną barierką po zewnętrznej stronie i pozostał dłuższą chwilę bez ruchu.

Wreszcie wyprostował się, odwrócił i skinął na Lombarda, który stał w głębi pokoju, jakby niezdolny wykonać żadnego gestu.

— Leży tam, widać ją między dwoma wysokimi murami, w przejściu dla służby. Jak szmata, która spadła ze sznura do bielizny. Chyba nikt nie słyszał, bo z tej strony ciemno we wszystkich oknach...

Dziwna rzecz, ale Burgess nie zrobił nic w tej sprawie, nawet nie zameldował od razu. Wszystko zastygło w bezruchu, nawet Lombard. Oprócz tłącego się niedopałka, który to właśnie przyciągnął uwagę Burgessa. Detektyw podszedł bliżej i podniósł go. Pozostał już niewielki kawałek, ale było jeszcze za co go ująć.

Burgess mruczał pod nosem.

— Musiało to nastąpić w momencie, kiedyśmy się zjawili. Potem wyjął swojego papierosa i trzymając oba w palcach, ołówkiem zaznaczył na nim długość niedopałka.

Następnie wsadził własnego papierosa do ust, przytknął ogień i pociągnął raz, żeby się zapalił. Z kolei ułożył go starannie w tej samej popielniczce, w której leżał niedopałek, i spojrzał na zegarek.



— Po co pan to robi? — zapytał Lombard apatycznym głosem człowieka, którego już nie jest w stanie zainteresować.

— To taki prosty sposób obliczenia, jak dawno się to stało. Nie wiem, czy można na tym polegać i czy oba spalają się z tą samą szybkością. Muszę jeszcze popytać palaczy.

Podszedł, obejrzał go z bliska i znów się oddalił. Kiedy zbliżył się po raz drugi, wziął do ręki papierosa i uniósłszy w górę, przyjrzał mu się tak, jak się patrzy na termometr. Potem znów zerknął na zegarek, a następnie zgasił peta i wyrzucił.

Obliczył już, co było mu trzeba.

— Wypadła dokładnie trzy minuty przed naszym przybyciem. Odliczając pełną minutę na wyglądanie przez okno, nim zmierzyłem papierosa. To znaczy, jeżeli tylko raz pociągnęła, jak ja. Jeżeli pociągnęła więcej razy, byłoby to tuż przed naszym przybyciem.

— Może jej papieros był długi — odezwał się Lombard.

— To lucky strike, znać jeszcze markę na ustniku. Myśli pan, że traciłbym czas, gdybym tego przedtem nie zauważył?

Lombard nie odpowiedział, błędził myślami gdzieś daleko.

— Wygląda na to, że nasz telefon stał się przyczyną jej śmierci — podjął Burgess.

— Przestraszyła się, pewno wykonała nieodpowiedni ruch przy oknie i wyleciała.

Cała historia maluje się przed naszymi oczami bez słów. Stała właśnie przy oknie i wyglądała. Mogła akurat marzyć i upajać się orzeźwiającym powietrzem nocy, snuć swoje plany, gdy nagle z dołu zadzwonił telefon. Niezgrabnie się obróciła. Może zbyt szybko albo też za bardzo była wychylona. A może to wina pantofli? Ten chyba jest trochę wykoślawiony, obcas ma krzywy od długiego chodzenia. W każdym razie chodnik zsunął się po wywoskowanej podłodze. Musiała pośliznąć się jedną, a może nawet obiema nogami. Przechyliła się do tyłu. Pantofel spadł jej i wyleciał w powietrze. Nic by się nie stało, gdyby nie była tak blisko okna. To, co mogło być tylko zabawnym kłapnięciem na siedzenie, stało się koziołkiem w przestrzeń i śmiertelnym upadkiem.

Po chwili dodał:

— Ale nie pojmuję jednego, sprawy tego adresu. Czyżby to był figiel? Jak ona się zachowywała? Pan przecież z nią rozmawiał.

— Nie żartowała — odpowiedział Lombard. — Na pewno chciała tych pieniędzy, widać to było wyraźnie.

— Rozumiałbym, gdyby dała panu jakiś zagmatwany adres, którego musiałby pan długo szukać, a ona tymczasem podjęłaby pieniądze i po prostu zwała. Ale ten? Ledwie kilka domów dalej? Mogła przypuszczać, że wróci pan za pięć, dziesięć minut. Co to za sztuczka?

— A może uznała, że dostanie więcej od owej kobiety, więcej, niż ja jej dawałem, jeżeli ją ostrzeże i doniesie o wszystkim, i dlatego chciała się mnie pozbyć tylko na tak długo, by z nią załatwić transakcję.

Burgess potrząsnął głową, jakby to wyjaśnienie było niezadowolające, i wciąż powtarzał, że nie pojmuje...

Lombard nie słuchał. Odwrócił się i chwiejnym krokiem, jak po paru głębszych, odszedł zobojętniały na bok. Burgess obserwował go ciekawie. Wydawało się, że nic już go nie interesuje, że całkiem jest oklapnięty. Podeszedł do ściany i stał przez chwilę pochylony, jak ktoś, kto zaznał zbyt wielu rozczarowań i ma już wszystkiego dosyć.

Nim się Burgess zorientował, zacisnął rękę, zamierzył się i zaczął walić w bezduszną ścianę, jakby to był największy wróg.

— Czyś pan zwariował? — jęknął Burgess osłupiały. — Co pan właściwie robi? Chce pan sobie rękę rozwalić? I co zawiniła ściana?

Lombard, skręcony jak korkociąg, z twarzą wykrzywioną raczej bezsilną wściekłością niż bólem, przyciskając zaczerwienioną pięść do żołądka, odparł zdławionym głosem:

— Te ściany wiedzą! Teraz tylko one wiedzą, a ja nie mogę tego od nich wydobyć!

## ***20. Trzeci dzień przed egzekucją***

**Szklaneczka** whisky, jaką wypił, wysiadając z pociągu na stacji koło więzienia, niewiele mu pomogła. Bo i cóż tu mogła pomóc jedna, a nawet kilka szklaneczek. Nie mogła, niestety, zmienić faktów ani złych wiadomości na dobre. Nie mogła odwrócić zguby — przynieść ocalenia.

Wspinając się z trudem po stromej ulicy w kierunku ponurych budynków więziennych, przez cały czas myślał: Jak się oznajmia człowiekowi, że musi umrzeć? Ze nie ma już nadziei, że zniknęła ostatnia szansa ratunku?

Nie umiał sobie wyobrazić, jak to jest, a przecież właśnie teraz — za chwilę — przekona się osobiście. Zastanawiał się nawet, czy nie byłoby lepiej wcale mu się nie pokazywać na oczy, oszczędzić mu tego ostatniego, bezsensownego widzenia. Zdawał sobie sprawę, jakie to będzie koszmarne. Dotarł już na miejsce i czuł, że go przechodzą ciarki. Przecież musi tam pójść, nie może teraz stchórzyć. Nie może zostawić go w niepewności jeszcze przez trzy długie, pełne śmiertelnej męki dni. I pozwolić, żeby wyprowadzono go w piątek wieczór — i żeby przez całą drogę odwracał się, oczekując wciąż jeszcze wstrzymania egzekucji, na co wcale nie ma już nadziei.

Kiedy szedł za strażnikiem na pierwsze piętro, wolno obtarł sobie usta wierzchem dłoni. „Jak stąd wyjdę, zaleję się w trupa — postanowił z goryczą. — Do nieprzytomności, tak, że wezmą mnie do szpitala i wyjdę stamtąd, jak już będzie po wszystkim”.

Strażnik zatrzymał się, a Lombard wszedł do środka, przekonać się, czym to pachnie. Pogrzebem, i tyle.

Bo właściwie to już teraz był koniec, bezkrwawy, czysty, poprzedzający to, co nastąpi za trzy dni — koniec wszystkich nadziei.

Głucho zabrzmiały kroki oddalającego się strażnika. Zapanowała straszna cisza, której obydwaj nie mogliby znosić dłużej.

— A więc to tak — odezwał się wreszcie Henderson cichym głosem.

Zrozumiał.

W każdym razie przełamał ten śmiertelny bezruch. Lombard, odwróciwszy się od okna, podszedł do Hendersona i klepnął go po ramieniu. — Widzisz, chłopie...

— W porządku — przerwał mu Henderson. — Rozumiem. To widać po twojej twarzy. Nie ma o czym mówić.

— Znów mi się wymknęła. Tym razem już chyba na dobre.

— Powiedziałem ci, że nie ma o czym mówić — powtórzył cierpliwie Henderson.

— Widzę, jak się czujesz. Na miłość boską, nie mówmy już o tym.

Wydawało się, że to Henderson próbuje podnieść Lombarda na duchu, a nie odwrotnie.

Lombard osunął się na brzeg pryczy. Henderson, jako gospodarz, ustąpił mu miejsca i lekko pochylony oparł się o przeciwległą ścianę.

Przez chwilę w celi słychać było tylko szelest celofanu. To Henderson nieustannie zwijał puste opakowanie po papierosach, powoli rozwijał je i znowu zwijał, i tak stale, aby tylko zająć czymś palce.

Taki nastrój był nie do zniesienia.

Wreszcie Lombard odezwał się:

— Przestań, dobrze? Zwariować można.

Henderson spojrział na swoje ręce zdumiony, jakby nieświadomy tego, co robi.

— To moje stare przyzwyczajenie — powiedział nieśmiało. — Nie zdołałem się nigdy tego oduczyć, nawet w dobrych czasach. Przypominasz sobie, prawda? Nawet jak jechałem pociągiem, to samo robiłem z rozkładem jazdy. W poczekalni u lekarza czy u dentysty z czasopismami, w teatrze z programem... — Urwał, spoglądając jakby we śnie na ścianę tuż nad głową Lombarda. — Przypominam sobie, że tamtego wieczora, kiedy byłem z nią na przedstawieniu, miałem program. I wtedy też... Czy to nie śmieszne, że człowiek pamięta takie głupstwa, i to po tak długim czasie, podczas gdy wiele istotnych rzeczy, od których mogłoby... Co się stało? Dlaczego tak na mnie patrzysz? Przecież już nic nie robię...

I jakby dla zadokumentowania tego, co mówi, cisnął na bok wymię-toszony celofan.

— Ale z pewnością wyrzuciłeś tamten program jeszcze tego samego wieczora? Zostawiłeś go na krześle albo na podłodze, co?

— Nie, pamiętam, że ona schowała obydwie programy. Dziwne, ale doskonale to pamiętam. Poprosiła o mój. Nawet chyba powiedziała coś takiego, że zostawi to sobie na pamiątkę swojej impulsywności. Nie mogę sobie teraz dokładnie przypomnieć, jak to określiła. Ale wiem, że ich nie wyrzuciła, wyraźnie widziałem, jak kładła je do torebki.

Lombard zerwał się.

— To już jest coś. Żebyśmy teraz tylko wiedzieli, jak się do tego zabrać.

— Co przez to rozumiesz?

— To przecież jedyny przedmiot, o którym wiemy na pewno, że jest w jej posiadaniu.

— Ale wcale tak na pewno nie wiemy, czy w dalszym ciągu go ma — poprawił Henderson.

— Jeżeli wtedy zatrzymała, to i teraz je ma. Bo ludzie dzielą się na takich, co to od razu wyrzucają programy, i takich, co je zbierają i przechowują latami. Trzeba pomyśleć, by ją tu złapać na tę przynętę! Myślę, że to jest chyba jedyne wspólne ogniwo, które was łączy — ten twój program, kartka po kartce pozaginany w prawym górnym rogu... Gdyby tylko udało nam się ją ściągnąć, niczego nie podejrzewającą, od razu byśmy ją mieli.

— Myślisz, że można by dać ogłoszenie, co!

— Coś w tym rodzaju. Ludzie kolekcjonują najprzeróżniejsze rzeczy: znaczki, muszelki, jakieś meble stoczone przez korniki... Płacą często każdą cenę za coś, co dla nich przedstawia bezcenną wartość, choć dla innych żadną. Tracą poczucie jakiegokolwiek proporcji, kiedy już połknęli haczyk kolekcjonerstwa.

— A więc?

— No cóż, ogłoszę, że jestem kolekcjonerem programów teatralnych. Kapryśny, ekscentryczny milioner rozrzucający pieniądze na prawo i lewo. To już coś więcej niż zwykle hobby, to po prostu obsesja. Muszę mieć wszystkie programy z kolejnych sezonów w mieście rok po roku. Nagle zjawię się nie znany nikomu, otworzę archiwum i dam ogłoszenie. To się rozejdzie natychmiast. Dziwak, daje pieniądze za nic. Każdy powinien skorzystać, póki czas. Gazety pewno to rozdmuchają, dodając odpowiednie zdjęcie. Ot, jeszcze jeden z tych zbzikowanych pomysłów, które zdarzają się od czasu do czasu...

— Jednakże ten twój plan nie jest znów taki bez skazy. Skąd wiesz, czy te nadzwyczajne perspektywy zdołają ją przyciągnąć? Przypuśćmy, że jej się dobrze powodzi?

— Założmy jednak, że nie.

— A skąd pewność, czy nie wywęszy pisma nosem?

— To tylko dla nas ten program jest taki cholernie ważny, nie dla niej. Bo niby dlaczego miałby być? Ona może nawet wcale nie zwróciła uwagi na te wiele mówiące zagięcia, a jeżeli spojrzy, to i tak przez . myśl jej nie przejdzie, że właśnie one powiedzą nam to, na czym nam zależy. Ty przypomniałeś sobie o tym zaledwie kilka minut temu, a dlaczego ona miałaby pamiętać? Nie jest chyba jasnowidzem, skąd może wiedzieć, że teraz tu o tym rozmawiamy...

— To wszystko jest chyba jednak zbyt wątpliwe.

— Oczywiście, że tak — przyznał Lombard. — Szansa jedna na tysiąc. Ale trzeba ją chwytać. Żebrak musi się zadowalać ochłapami. Dlatego, Hendy, chcę spróbować. Mam jakieś dziwne przeczucie, że skoro wszystko inne zawiodło, to właśnie nam się powiedzie...

Odwrócił się i podszedł do krat, aby go strażnik wypuścił.

— Do zobaczenia... — odezwał się nieśmiało Henderson.

— Przyjdę jeszcze! — odkrzyknął Lombard.

Henderson, słysząc oddalające się kroki przyjaciela, pomyślał: „Przecież on w to nie wierzy, tak samo jak ja”.

**Dział ogłoszeń, do wszystkich porannych i wieczornych gazet:**

***JAK ZAMIENIĆ STARE PROGRAMY TEATRALNE NA PIENIĄDZE?***

*Przebywający z krótką wizytą bogaty kolekcjoner zapłaci każdą sumę za programy niezbędne mu do uzupełnienia zbiorów. To jego życiowe hobby. Zgłaszajcie więc wszystkie, zarówno stare, jak i nowe, ze szczególnym uwzględnieniem music-hallu i rewii z ostatnich sezonów, kiedy to przebywał za granicą. Pożądane z teatrów: „Alhambra”, „Belvedere”, „Casino” i „Coliseum”. Wykluczeni zawodowi sprzedawcy i pośrednicy. J. L. Franklin Square 15. Oferty składać do godziny dziesiątej w piątek wieczorem, to znaczy do chwili jego wyjazdu.*

## **21, Dzień egzekucji**

O wpół do dziesiątej, chyba po raz pierwszy tego dnia, nie było ogonka przed sklepem. Ruch nieomal ustał, pozbyli się ostatnich dwóch klientów, a Lombard i jego młody pomocnik odetchnęli z ulgą.

Lombard opadł bezwładnie na fotel i wysunął dolną wargę, wydmuchnął powietrze, aż rozwiały mu się włosy opadające na czoło. Był tylko w kamizelce, kołnierzyk u koszuli miał rozpięty. Wyciągnął chusteczkę z kieszeni i przytknął do twarzy. Chusteczka zrobiła się szara. Tamci nie zadawali sobie nawet tyle trudu, by je odkurzyć przed przyniesieniem tutaj. Jakby myśleli, że im bardziej zakurzone, tym więcej będą warte. Wytrzeł ręce i wyrzucił chusteczkę.

Odwrócił głowę i powiedział do kogoś ukrytego za wysoko piętrzącymi się stertami programów:

— Możesz iść, Jerry. Już czas. Za pół godziny będę zamykał. Ruch się kończy. Wychudły młodzieniec lat około dziewiętnastu wyprostował się w przejściu między dwoma stertami, tworzącymi coś w rodzaju okopu, wyszedł stamtąd i włożył płaszcz.

Lombard wyjął pieniądze.

— Jerry, masz tu piętnaście dolarów za te trzy dni. Chłopak był wyraźnie zawiedziony.

— To jutro nie będzie mnie pan już potrzebował?

— Nie, bo jutro już mnie tu nie będzie — odparł Lombard w zamyśleniu. — Ale powiem ci, co możesz zrobić. Możesz to sprzedać na makulaturę. Jakiś handlarz starzyzną może da ci za nie kilka centów.

Chłopak spojrział na Lombarda, wybałuszając ze zdumienia oczy.

— Ojej, to pan po to przez trzy dni je kupował, żeby teraz się pozbywać?

— Już taki ze mnie dziwak — przyznał Lombard. — Tylko na razie nie mów nikomu.

Chłopak wyszedł, ale nim znalazł się na chodniku, rzucał jeszcze Lombardowi wyleknione spojrzenia. Lombard wiedział, że bierze go za wariata. I wcale nie miał mu tego za złe. Sam zresztą myślał, że zwariował. Bo też jak mógł się ludzić, że mu się uda, że dziewczyna połknie haczyk i przyjdzie. To był od początku chory pomysł...

Kiedy Jerry stanął na chodniku, ulicą przechodziła właśnie jakaś dziewczyna.

Lombard zauważył ją tylko dzięki temu, że patrzył za odchodzącym pomocnikiem, którego mu przesłoniła. Nic szczególnego. Przechodzień, po prostu dziewczyna.

Kiedy mijala sklep, zajrzała do środka i jakby powodowana ciekawością, zawahała się, po czym znowu ruszyła dalej i zniknęła za pustym oknem wystawowym.

Lombardowi wydawało się jednak przez chwilę, że ma zamiar tu wejść.

Cisza prysnęła, wszedł jakiś przedpotopowy okaz w płaszczu z bobrowym kołnierzem, okularach dyndających na czarnym sznurku i nieprawdopodobnie wysokim kołnierzyku. W ręku dzierżył laskę. Ku przerażeniu Lombarda za jego plecami pojawił się taksówkarz, wlokąc staroświecki kuferek. Nowo przybyły zatrzymał się przed drewnianym

stołem, który służył Lombardowi za biurko, i przybrał pozę tak kabo-tyńską, że aż zakrawało to wszystko na żart. Lombard podniósł wzrok. Przez cały okrągły dzień przychodziły do niego takie typy. Ale nie od razu z pełnym kufierkiem.

— Ach, sir — zaczął zabytek z ubiegłego stulecia głosem o bogatym brzmieniu, który mógłby robić wrażenie, gdyby tylko jego właściciel mniej gestykulował. — Ma pan wielkie szczęście, że przeczytałem pańskie ogłoszenie. Zdolny jestem bowiem wzbogacić pańską kolekcję przeogromnie. Mogę dodać do niej tyle, co nikt inny w całym mieście. Mam tu ze sobą takie perełki, które uradują pańskie serce. Od starego teatru Jeffersona, aż do...

Lombard czym prędzej potrząsnął przecząco głową.

— Nie interesuje mnie teatr Jeffersona, mam już pełen komplet.

— To może „Olympia”... No i...

— Nie potrzebuję, nie potrzebuję. Nie obchodzi mnie, co pan posiada, bo już wszystko mam. Jeszcze potrzebny mi jest jeden program, nim pogaszę światła i zamknę sklep. Z teatru „Casino”, z ostatniego sezonu. Czy ma pan?

— Coś takiego! „Casino”? — Starowina wypluwał słowa szybko i z oburzeniem. — Pan mówi do mnie o „Casino”? A cóż ja mogę mieć wspólnego z tymi nowoczesnymi bzdurnymi rewiami? Ja, kiedyś jeden z największych tragiców sceny amerykańskiej!

— Właśnie to zauważyłem — powiedział Lombard sucho. — Obawiam się, że nie ubijemy ze sobą interesu.

Taksówkarz z kufierkiem wyszedł, natomiast właściciel kufierka zatrzymał się w progu i z pogardą prychnął: — „Casino”, a pfuj! — po czym zniknął za drzwiami. Krótka chwila przerwy i zjawiała się kobieta wyglądająca na sprzątaczkę.

Wystrojona była na tę okazję w duży, miękki kapelusz z ogromną różą na czubku. Robił on wrażenie, jakby go wyciągnięto z kubła od śmieci albo z szafy, gdzie leżał zapomniany od wieków. Na kościstych policzkach miała płomienne, okrągłe placki różu, nałożone niewprawną ręką kobiety, która już dawno zapomniała, jak się to robi.

Kiedy podniósł na nią wzrok, niechętnie i z politowaniem, zauważył na wysokości jej ramienia tę samą dziewczynę co przedtem, znowu mijającą sklep, ale tym razem z przeciwnej strony. A nawet teraz zrobiła więcej, bo na moment zatrzymała się i cofnęła o krok, by stanąć na



wprost otwartych drzwi. Po czym, zlustrowawszy uważnie sklep, ruszyła dalej. Była niewątpliwie zainteresowana tym, co się tu dzieje. Co prawda gazety narobiły tyle szumu, że przechodnie mogli zwracać uwagę, dlatego też i ona pewnie po raz drugi zajrzała. Przecież nawet przysłano tu fotografów. Teraz po prostu mogła wracać stamtąd, dokąd szła niedawno. To zupełnie naturalne, że ktoś wraca tą samą drogą, którą szedł.

Stojąc przed nim, stara, zaharowana kobieta jąkała nieśmiało:

— Czy to prawda, panie? Naprawdę kupuje pan stare programy? Ponownie zwrócił na nią uwagę.

— Tak, ale tylko niektóre.

Pogrzebała w przewieszonej przez rękę siatce na zakupy.

— Mam zaledwie kilka, proszę pana. Jeszcze z tych czasów, kiedy należałam do chóru. Przechowuję je wszystkie, bo to dla mnie taka pamiątka. „Przechadzki o północy” i „Igraszki” z 1911 roku... — Drżała z podniecenia, kiedy kładła je przed Lombardem. Przewróciła jedną z pośliskłych kartek, jakby chciała go przekonać, że mówi prawdę. — Widzi pan, ta tutaj to ja, Dolly Golden, tak się nazywałam. Grałam Ducha Młodości w finałowej scenie...

Pomyślał, że czas jest większym mordercą niż ludzie. Takim mordercą, którego nie można ukarać. Patrzył na jej szorstkie, spracowane ręce, nie na programy.

— Po dolarze — rzucił szorstko, sięgając po portfel. Kobieta nie posiadała się z radości.

— O, niech pana Bóg błogosławi. Zupełnie jakby z nieba spadło. — Nim zdążył ją powstrzymać, chwyciła jego rękę i podniosła do ust. Róż spływał po jej policzkach strużkami łez. — Nawet nie przypuszczałam, że są tyle warte.

Oczywiście nie były. Nie były warte złamanego szeląga.

— To dla pani, moja droga — powiedział ze współczuciem.

— Och, a teraz pójde coś zjeść... jakiś porządny obiad... — Zatoczyła się jak pijana, pijana tą niespodziewaną gratką.

Za nią stała młodsza kobieta i spokojnie czekała, aż ta ustąpi jej miejsca. Musiała wejść dopiero co, niepostrzeżenie, bo wcale jej nie zauważył. Była to owa dziewczyna, która przechodziła dwukrotnie koło sklepu, w tę i z powrotem. Miał nieomal pewność, chociaż poprzednio widział ją zbyt migawkowo. Z odległości wydawała mu się o wiele

młodsza niż teraz, kiedy stała tak blisko. Może dlatego, że zachowała jeszcze wysmukłą figurę. Poza tym była zniszczona, prawie tak zniszczona jak ta sprzątaczką, która tu była przed nią — chociaż w inny sposób.

Wyraźnie czuł, jak mu się podnoszą włosy na karku. Starał się nie przyglądać jej zbyt natarczywie, obrzucił ją jednym taksującym spojrzeniem i spuścił oczy. Nie mogła więc nic poznać po jego twarzy.

Odnosił wrażenie, że jeszcze do niedawna musiała być ładną dziewczyną. I że niewątpliwie ostatnio tak się raptownie zmieniła. Znać jeszcze po niej było jakąś nieuchwytną subtelność, a nawet kulturę. Teraz pokryła ją twarda skorupa wulgarności i wkrótce pewnie stłumi te lepsze cechy, zniszczy je na dobre. Już chyba za późno dla niej na ratunek... Jak mógł wywnioskować na pierwszy rzut oka, przyśpieszyły ten proces bądź zgubne skutki całodniowych pijatyk, bądź też dotkliwa, a nie zaznana przedtem nędza. A może próby zagłuszenia nędzy alkoholem... Zaznaczał się też jeszcze jakiś czynnik, który to poprzedził albo spowodował owe pijatyki i nędzę, ale który teraz nie był już decydujący: dotkliwe cierpienie moralne, ciężkie przygnębienie, strach pomieszany z poczuciem winy, który nurtował ją przez nieskończone długie miesiące. Wywarł na niej swe piętno, ale teraz ważniejszą rolę grała fizyczna rozwiązłość. Stała się głośna i frywolna — typowa kobieta z ulicy czy barów, taka, co już nie może stoczyć się niżej. Widać zresztą było, że tak już skończy. Prawdopodobnie z pomocą kurka gazowego w jakimś sublokatorskim pokoju.

Musiała się nieregularnie odżywiać. Policzki miała zapadłe, kości obciążone skórą. Była ubrana na czarno, ale nie we wdowie kiry ani też w czerń podyktowaną nakazem mody; jej suknia była wyrudziała i niechlujna, praktyczna, bo mało brudząca. Nawet pończochy miała czarne, z białymi półksiężycami dziur na piętach. Odezwała się. Głos miała zdarty i ochryply od picia taniej whisky na umór, dzień i noc. Ale znać też było po niej resztki kultury. Jeżeli mówiła gwara, to nie dlatego, by nie umiała inaczej, ale po prostu dlatego, że obcowała teraz z tak mówiącymi ludźmi.

— Ma pan jeszcze forszę na te programy, czy może się spóźniłam?

— Najpierw zobaczmy, co pani przyniosła — powiedział ostrożnie.

Rozległ się trzask zamka u tandetnej, za dużej torby i na stół wyleciały dwa programy. Jednakowe, z tego samego przedstawienia. Z „Reginy”, z komedii muzycznej granej poprzedniego sezonu. Zastanawiał się, z kim była wtedy. Prawdopodobnie była wówczas ufna i spokojna, nawet jej się nie śniło... Udawał, że sprawdza spis potrzebnych mu programów, wyszukując luki, które należy uzupełnić.

— Wydaje mi się, że brak mi tego właśnie. Siedem pięćdziesiąt — powiedział. Zauważył błysk w jej oczach. Miał nadzieję, że na to ją złapie.

— A może ma pani więcej? — podsunął chytrze. — To już ostatnia okazja, wie pani. Likwiduję ten sklep dziś wieczór.

Zawahała się. Spostrzegł, że zerknęła na torbę.

— A zechce pan kupić taki jeden?

— Każdą ilość.

— Jak już tu jestem... — Otworzyła ponownie torbę, ale przechyliła ją w swoją stronę pod takim kątem, że Lombard nie mógł zajrzeć do środka, i wyciągnęła jeszcze jeden program.

Zanim go podała, zatrzasnęła torebkę. Dopiero potem wręczyła Lombardowi program. Nie uszło to jego uwagi. Wziął program i przeczytał:

*TEATR „CASINO”*

Pierwszy od trzech dni. Przekartkował go z udaną obojętnością, przerzucił kolumny ogłoszeń i zatrzymał się na stronie z obsadą aktorską. Tak jak wszystkie programy teatralne, i ten był datowany na cały tydzień. „Od 17 maja”. Aż mu dech zaparło. To było właśnie w tym tygodniu. Dwudziestego maja wieczorem. Oczywiście miał spuszczone tak, że nie mogły go zdradzić. Ale niestety... górne prawe rogi stron były nie naruszone. Nie dlatego, by je wygładzono, nie nosiły nawet śladu po zagięciach, bo po prostu nigdy nie były zaginane.

Z trudem zdobył się na niedbały ton.

— Nie ma pani drugiego takiego samego? Najczęściej przynoszą mi je od razu w dwóch egzemplarzach, wie pani, wtedy mógłbym więcej zapłacić.

Obrzuciła go badawczym spojrzeniem. Zauważył nieznaczny ruch ręki w kierunku torebki, po czym ręka znów opadła.

— Co pan myśli, że ja je drukuję?

— Woleę, o ile to możliwe, kupować parami, po dwa programy. Czy była pani sama na tym przedstawieniu? Co się stało z tym drugim pro...?

Wydało jej się to coś niewyraźne. Obrzuciła podejrzliwie spojrzeniem sklep, jakby w poszukiwaniu pułapki. Cofnęła się ostrożnie kilka kroków od stołu.

— No, kończmy już, mam tylko jeden. Kupuje pan czy nie?

— Nie mogę dać tyle, ile bym dał za dwa. Najwyraźniej spieszno jej było do wyjścia.

— Niech będzie, ile tam pan daje.

Już bliska była skuszenia się na jego pieniądze, ale tkwiła w miejscu, a on nie wiedział, jak ją przyciągnąć do stołu, przy którym załatwiał transakcje.

Pozwolił jej dojść do drzwi. I dopiero wtedy zawołał za nią, ale spokojnie, takim tonem, żeby nie miała cienia powodu do obaw:

— Chwileczkę. Czy mógłbym panią prosić z powrotem na moment? Zapomniałem o czymś.

Zatrzymała się natychmiast i posłała mu przez ramię niedowierzające spojrzenie.

Nie była to u niej automatyczna reakcja na czyjś głos — obejrzała się ostrożnie i czujnie... A kiedy wstał, kiwając na nią palcem, wydała stłumiony okrzyk, rzuciła się przerażona ku drzwiom i zniknęła mu z oczu.

Odepchnął gwałtownie stół, żeby się wydostać, i popędził za nią.

Wysokie stosy programów, tak mozolnie poukładane przez chłopca, zachwiały się i rozsypały po podłodze, tworząc jakby grube zaspy śniegu.

Kiedy wypadł na chodnik, dziewczyna zniknęła już za następnym rogiem, drobiąc na wysokich obcasach. Obejrzała się za siebie i widząc, że pędzi w jej stronę, znowu krzyknęła, tym razem głośniejsz. Jakby dźgnięta ostrogą zwiększyła szybkość i pognęła w następną ulicę, nim zdążył chociażby o połowę zmniejszyć dzielącą ich odległość.

Wreszcie dopadł ją zaledwie kilka kroków za swoim samochodem, który przez cały dzień stał w bocznej uliczce, na wypadek takiej właśnie ewentualności.

Zaszedł jej drogę, blokując przejście, chwycił za ramiona, pociągnął przed dom i tam przycisnął do muru.

— No, dosyć tego, niech pani stoi spokojnie... to nie ma sensu... — dyszał ciężko. Z większym niż on trudem odzyskiwała głos: alkohol zabił jej energię. Przez chwilę myślał, że się dusi.

— Proszę mnie puścić! Co takiego zrobiłam?

— To dlaczego pani ucieka?

— Ja... — Jej głowa opadła mu na ramię, gdy usiłowała złapać oddech. — Ja nie lubię, jak ktoś tak patrzy.

— Muszę zajrzeć do torebki. Proszę ją otworzyć. No już, bo inaczej sam to zrobię.

— Ręce przy sobie! Zostaw mnie w spokoju!

Lombard nie tracił czasu na tłumaczenie. Tak gwałtownie wyrwał spod jej pachy torebkę, że aż rozdarła się postrzępiona rączka. Otworzył torebkę, napierając na dziewczynę całym ciałem, tak że nie mogła uciec ani się nawet poruszyć. Po chwili wyciągnął rękę z identycznym programem, jaki sprzedała mu w sklepie.

Upuścił torebkę, chcąc oswobodzić ręce. Próbował przerzucić stronicę, ale nie było to łatwe. Zaczął oddzielać jedną kartkę od drugiej. Wszystkie po kolei były pozaginane w prawym górnym rogu. Przyjrzał im się w niepewnym świetle latarni — daty obu programów się zgadzały.

Program Scotta Hendersona, biednego Scotta Hendersona, odnaleziony w ostatniej godzinie...

## ***22. Godzina egzekucji***

**Godzina 22.55.** Koniec, ach, koniec wszystkiego jest zawsze tak gorzki. Było mu zimno, choć na dworze panował upał, drżał cały, choć lał się z niego pot. Wmawiał w siebie nieustannie: — Nie boję się — i prawie nie słuchał kapelana. A bał się, wiedział o tym, że się boi, i kto by go za to potępił? Przecież to natura zasiała mu w sercu instynkt życia...

Położył się na pryczy twarzą w dół i głowa, ogolona na czubku, zwisała przez krawędź ku podłodze. Przy nim siedział kapelan, z ręką pocieszająco zaciśniętą na jego ramieniu, jakby dla złagodzenia strachu.

Za każdym razem, kiedy ramię Hendersona unosiło się wstrząsane łkaniem, unosiła się też współczująco ręka, chociaż kapelan miał żyć, i to jeszcze długie lata. Ramię Hendersona wstrząsało się w regularnych odstępach czasu. Straszna to rzecz znać godzinę swojej śmierci.

Kapelan cichym głosem zaintonował psalm Dwudziesty Trzeci: — „Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego” ... —Ale nie była to dla Hendersona pociecha, wcale nie chciał tamtego drugiego świata, chciał zostać na tym.

Miał uczucie, że zjedzony przed kilkoma godzinami kurczak, naleśniki i brzoskwińowe ciasteczka utkwily mu w przełyku. Ale to nieważne, nie spowoduje to niestrawności, nie będzie już czasu.

Zastanawiał się, czy zdąży wypalić papierosa. Kilka godzin temu przynieśli mu razem z obiadem dwie paczki. Jedna leżała teraz mię-toszona i pusta, druga do połowy opróżniona. Wiedział, że to głupio myśleć o tym, bo właściwie co za różnica, czy wypali całego, czy wyrzuci, zaciągnąwszy się raz jeden. Ale on był zawsze oszczędny w takich drobiazgach, a niełatwo jest wyzbyć się wieloletnich przyzwyczajzeń.

Przerywając kapelanowi cichą modlitwę, spytał go o to. Kapelan nie odpowiedział wprost, tylko rzekł:

— Zapal sobie, chłopcze.

I potarłszy zapałkę, podał mu ogień. A to znaczyło, że rzeczywiście nie ma już czasu.

Głowa znów mu opadła, a z poszarzałych i prawie niewidocznych ust uniósł się dym. Kapelan ponownie oparł mu rękę na ramieniu, uspokajając i łagodząc jego strach. Dobiegły ich równe, przeraźliwie powolne kroki po kamiennej posadzce korytarza. Nad całą zaległa głucha cisza. Henderson, zamiast podnieść głowę, opuścił ją jeszcze niżej. Papieros wypadł mu z dłoni i potoczył się po podłodze. Kapelan mocniej przycisnął rękę, nieomal przygwoździł nią Hendersona do pryczy. Kroki zatrzymały się. Wiedział, że ten ktoś stoi pod drzwiami i spogląda na niego, i chociaż Henderson usiłował nie patrzeć, nie potrafił się powstrzymać i wbrew woli zwrócił się ku drzwiom. Spytał:

— To już?

Drzwi celi uchylily się i zabrzmiał głos strażnika:

— Tak, Scott, czas na ciebie.

\*

Program Scotta Hendersona, biednego Scotta Hendersona, odnaleziony w ostatniej godzinie... Patrzył na ten program. Torebka, którą jej wyrwał, leżała teraz porzucona u jego stóp.

A dziewczyna wiała się, usiłując uwolnić ramię z żelaznego uścisku.

Lombard schował najpierw troskliwie program do wewnętrznej kieszeni marynarki, a potem, trzymając dziewczynę obu rękami, brutalnie pociągnął ją po chodniku do czekającego samochodu.

— Wsiadaj, ty bezduszna kreaturo! Jedziesz ze mną. Wiesz, do czego byś doprowadziła?

Szamotała się chwilę, ale otworzył drzwiczki i wepchnął ją do auta; upadła najpierw na kolana, po czym odwróciła się i wgramoliła na siedzenie.

— Puść pan, no już, puszczaj! — Jej głos rozległ się donośnie po całej ulicy. — Daj mi pan spokój! Ratunku, niech mi kto pomoże! Nie ma tu żadnego policjanta, żeby zrobił porządek z takim facetem...

— Policjanta? Będziesz ich miała, ile tylko zechcesz. Aż cię zemdli od ich widoku, nim się z tobą załatwię.

Próbowała się wydostać drugimi drzwiami, lecz skoczył za nią i szarpnął gwałtownie do tyłu, aż się odbiła od niego. Zatrzasnął za sobą drzwi.

Dwukrotnie zamierzył się na nią, żeby ją uciszyć. Za pierwszym razem była to pogrożka, za drugim uderzył naprawdę. W końcu pochylił się nad kierownicą.

— Nigdy jeszcze nie postąpiłem tak z kobietą. — Zgrzytnął zębami. — Ale z ciebie nie kobieta, tylko zwykła ulicznica, i do tego pijaczka!

Auto zarzuciło, gdy ruszali od krawężnika, naprostował je i dodał gazu.

— Teraz chcesz czy nie chcesz, jedziemy, ale radzę siedzieć spokojnie. Nie próbuj tylko krzyku czy innych sztuczek, jak będę manewrował w tym ruchu, bo znów użyję siły. Radzę ci się zastanowić...

Uspokoila się i opadła zrezygnowana na oparcie, spoglądając spode łba, kiedy skręcali na rogach i przeganiali samochody zdużające w tym samym kierunku. W pewnej chwili, gdy światło zatrzymało ich na skrzyżowaniu, spytała pokonana, nie usiłując już uciekać:

— Gdzie mnie pan wiezie?

— Nie wiesz, co? — odciął się. — To dla ciebie nowina, prawda?

— Do niego? — spytała ze spokojną rezygnacją.

— Och, do niego? Dobry z ciebie numer! — Wcisnął pedał gazu aż obie ich głowy odchyliły się zgodnie. - Zaslugujesz na porządne baty za to, że mogłaś pozwolić, aby ginał niewinny człowiek, kiedy wystarczyło pójść i powiedzieć im wszystko.

— Czułam, że o to chodzi — powiedziała głucho. Spojrzała na ręce i spytała: — Kiedy to ma być... dzisiaj w nocy?

— Tak.

Na tablicy rozdzielczej zobaczył odbicie jej szeroko otwartych oczu, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z grozy sytuacji.

— Nie wiedziałam, że to ma być już tak szybko. — Aż się zachłysnęła. <sup>J</sup>

— No, teraz to już nie tak szybko — zapewnił ją szorstko. — Wreszcie cię znalazłem!

Znów zatrzymało ich światło na skrzyżowaniu. Zaklął, ocierając wielką chustką twarz. A ich głowy jednocześnie szarpnęły się teraz do tyłu.

Siedziała wpatrzona nieruchomo przed siebie. Nie zwracała uwagi na to, co się działo dookoła, nawet za przednią szybą, mimo że przez cały czas miała wzrok w niej utkwiony. Mógł obserwować ją w lusterku. Coś rozpamiętywała.

Prawdopodobnie przeszłość. Robiła obrachunki z całego życia. Nie było w tej chwili baru pod ręką, gdzie by mogła szukać ratunku. Musiała siedzieć i rozpamiętywać, a auto pędziło dalej przed siebie.

— Musisz być całkiem bez serca — rzucił nagle. Odpowiedziała niespodziewanie i wyczerpująco.

— Niech pan spojrzy, co się ze mnie zrobiło! O tym to pan nie pomyślał, co? Dostyc się z tego powodu nacierpiałam! Nic mnie nie obchodzi, co się stanie z nim czy kimkolwiek innym! Bo niby kim on jest dla mnie? Jego mają stracić dzisiaj, a ja już nie żyję od dawna. Ja już jestem trup, słyszy pan, trup! Wiezie pan trupa. — W głosie jej brzmiała przejmująca, tragiczna nuta. Nie było to zwykłe kobiece zawodzenie ale potworny, przesywający do głębi jęk bólu. - Czasem we śnie widzę kobietę, która miała piękny dom, kochającego męża, pieniądze, masę pięknych rzeczy, szacunek przyjaciół, dobrobyt — przede wszystkim spokój i bezpieczeństwo. I tak miało być aż do śmierci. W każdym razie wszystko na to wskazywało. Nie mogę uwierzyć, że to byłam ja.



To nie mogłam być ja. Ale czasem w pijanym widzie wiem, że tak było. Wie pan, jak to w snach...

Lombard siedział zapatrzony w ciemność, która nadpływała ku nim, rozbijała się o roziskrzoną maskę auta i znów łączyła się za nimi, spływając tajemniczą falą. Oczy miał podobne do dwóch nieruchomych szarych kamyków — nie błyskał w nich nawet cień współczucia dla niej.

— Pan nie wie, co to znaczy być wyrzuconą na bruk. Dosłownie, wyrzuconą. O drugiej w nocy, w jednym jedynym ubraniu... Słyszeć za sobą zgrzyt przekręcanego klucza i słowa ostrzeżenia skierowane do służby, że tracą miejsce, jeśli wpuszczą swą dawną panią... Pierwszą noc przesiedziałam na ławce w parku. Następnego dnia musiałam pożyczyć pięć dolarów od własnej pokojówki, by móc wynająć pokój i znaleźć wreszcie schronienie.

— Dlaczego więc nie zgłosiła się pani przedtem? Skoro już straciła pani wszystko, co więcej miała pani do stracenia?

— Nadal miał nade mną władzę. Zagroził, że jak puszczę parę z ust czy zrobię coś, co mogłoby zniesławić i zhańbić jego nazwisko, zamknie mnie w zakładzie dla alkoholików. Łatwo mógłby to zrobić, ma stosunki i pieniądze. Już bym nigdy się stamtąd nie wydostała. Kaftan bezpieczeństwa i zimne prysznice.

— To żadne usprawiedliwienie. Przecież wiedziała pani, że jej szukamy, nie mogła pani nie wiedzieć. Musiała pani słyszeć, co grozi temu człowiekowi. Tylko stchórzyła pani. Jest pani tchórzem! Ale jeśli nawet nigdy dotąd nie zrobiła pani nic dobrego i nie zamierzała nigdy nic dobrego zrobić, to teraz musi pani. Ma pani powiedzieć prawdę i ocalić Scotta Hendersona.

Długi czas milczała. Potem wolno odwróciła głowę.

— Tak — odezwała się w końcu. — Powiem. Chcę powiedzieć. Chyba musiałam być ślepa przez te wszystkie miesiące, żeby nie widzieć, jak to jest naprawdę. Aż dotąd nie myślałam o nim, tylko o sobie: co ja przez to stracę. — Znów podniosła wzrok na Lombarda. — *A teraz* chciałabym zrobić coś dobrego, po prostu dla odmiany.

— I zrobi pani — przyrzekł ponuro. — O której godzinie spotkała go pani w barze tamtego wieczora?

— Dziesięć po szóstej. Taka godzina była na zegarze, który wisiał przed nami.

— Powie im to pani? Czy może pani przysiąc?

— Tak — odrzekła zrezygnowanym głosem — powiem im to i mogę przysiąc.

Odpowiedział jej tylko tyle:

— Niech Bóg pani przebaczy wszystko, co pani zrobiła temu człowiekowi.

I wtedy to przyszło. Tak jakby coś w niej odtajało, rozkruszyło się. A może to ta twarda skorupa, która, jak zauważył, opancerzała ją, teraz kurczyła się, grożąc uduszeniem. Podniosła ręce do pochylonej nisko twarzy i zakrywszy ją, tak już pozostała. Nie wydała żadnego głosu.

Nigdy nie widział, żeby ktoś tak drżał jak ona. Staczała ze sobą walkę i nawet przeszło mu przez myśl, że chyba nie zdoła się opanować.

Milczał. Nie patrzył wprost na nią, widział ją tylko w lusterku. W pewnej chwili zauważył, że już się uspokaja. Opuściła ręce. Usłyszał, że coś mówi, raczej do siebie niż do niego:

— Kiedy człowiek decyduje się wreszcie na coś, czego się tak bał, ciężar spada mu z serca.

Pędzili naprzód w milczeniu, tylko ich dwoje, w nikłym świetle tablicy rozdzielczej. Ruch na szosie zmalął, wszystkie samochody jechały teraz im naprzeciw, nie razem z nimi, jak poprzednio. Minęli już roгатki, mknąc gładką, prostą szosą, która prowadziła w głąb kraju. Mijające ich wozy pędziły tak szybko, że w bocznych szybach pozostawiały nieprzerwane smugi światła.

— Dlaczego jedziemy tak daleko? — spytała podejrzliwie. — Czemu nie jedziemy do sądu, w którym...?

— Wiozę panią prosto do więzienia — powiedział surowo. — Trzeba ominąć tę całą biurokrację. To najkrótsza droga.

— Mówił pan, że to ma być dziś w nocy?

— Tak, za jakieś półtorej godziny. Zdamy.

Wpadli teraz na szosę obsadzoną drzewami: pobielone pnie wytyczały w ciemnościach jej granicę. Nie było tu już latarni, tylko od czasu do czasu samochód, zbliżając się, rozżarzał smugę światła, a gdy ich mijał, przygaszał je w pozdrowieniu, niby wędrowiec uchylający kapelusza.

— A przypuścmy, że coś nas zatrzyma? Złapiemy gumę albo coś takiego? Czy nie lepiej byłoby zadzwonić?

— Wiem, co robię. Co się pani nagle zrobiła taka niecierpliwa?

— Och, i to bardzo — szepnęła. — Do tej pory byłam ślepa, ślepa! Teraz doskonale widzę, co było snem, a co rzeczywistością.

— Całkowite odrodzenie — powiedział z wyrzutem. — Przez pięć miesięcy nie kiwnęła pani palcem, by mu pomóc. A teraz nagle, w ciągu piętnastu minut, staje się pani taka niespokojna i przejęta.

— Tak — odparła ulegle. — Bo wszystko inne w tej chwili wydaje się takie nieważne. I mój mąż, i zakład dla alkoholików, i ta cała reszta. Pan pomógł mi zobaczyć tę sprawę w innym świetle. — Znużonym ruchem przesunęła ręką po czole, mówiąc z uczuciem odrazy: — Chcę choć raz być odważna, już mi zbrzydło to wieczne tchórzostwo.

Dalej jechali w milczeniu. Wreszcie spytała zaniepokojona:

— A czy moje zeznanie pod przysięgą wystarczy, by go ocalić?

— Wystarczy przynajmniej, żeby wstrzymać wyznaczone na dziś wykonanie wyroku. A jak już raz zostanie odroczone, my przekażemy sprawę adwokatom i już oni poprowadzą ją do końca.

Nagle spostrzegła, że na skrzyżowaniu skręcili w lewo, na bezludną, o kiepskiej nawierzchni drogę. Jechali już tak dłuższą chwilę, nim sobie to uświadomiła. Nawet samochód posuwał się wolniej. Nikt ich nie mijał. Nie było tu ani śladu życia.

— Dlaczego tędy? Myślałam, że do więzienia stanowego prowadzi ta szosa, którą jechaliśmy. To on nie jest w wię...?

— Jedziemy krótszą drogą — odpowiedział zwięźle. — Dzięki tym skrótom zyskuje się na czasie.

Szum wiatru wzmógł się, zawodził głośnie skargą, kiedy przedzierali się przezeń, mącąc jego spokój.

Znów się odezwał. Brodą opierał się prawie o kierownicę, a nieruchome i bez wyrazu spojrzenie utkwiał w dali.

— Zdążymy akurat, jak trzeba.

Już nie byli tylko we dwoje.

W jakimś nieuchwytnym momencie zalegającej ciszy pojawił się ktoś trzeci i usadowił teraz pomiędzy nimi. Lodowatozimny cień strachu obejmował kobietę uściskiem niewidocznych ramion, a jego palce sięgały jej aż do gardła.

Od dziesięciu minut nie przejechało obok nich ani jedno auto. Przez ten czas nie zamienili ze sobą słowa. Szara masa drzew przesuwała się za oknami. Wiatr był ostrzeżeniem, ale zauważyli to zbyt późno. Ich dwie widmowe twarze odbijały się jedna przy drugiej w przedniej szybie.

Lombard zwolnił, cofnął się i znów skręcił, tym razem w boczną, ciemną i nie brukowaną drogę, niewiele lepszą niż leśna ścieżka.

Podskakiwali na wybojach, zeschnięte liście szeleściły pod kołami i wznosiły się w górę, unoszone podmuchem z rury wydechowej.

Koła przejeżdżały przez ledwie widoczne korzenie, błotniki ocierały pnie sterczące po prawej stronie drogi. Światła sunęły wśród drzew, jak w głębokiej grocie, zamieniając bliższe pnie w olśniewające stalagmity, gdy tymczasem dalsze pozostawały ciemne i niewidoczne. Niczym zły, zaczarowany las z baśni dla dzieci: taki zaczarowany las, w którym zdarzają się okropne historie.

Spytała stłumionym głosem:

— Co pan robi? — Strach ścisnął ją mocniej, owiewając szyję lodowatym tchnieniem. — Bardzo mi się to nie podoba. Po co to wszystko?

Nagle zahamował. Nim pojechała, co się dzieje, rozległ się zgrzyt hamulców i samochód stanął. Lombard zgasił silnik i wokół zaległa głucha cisza. Wszyscy zastygli w bezruchu — samochód, on, ona i jej strach.

A właściwie nie wszyscy i nie wszystko. Spoczywające na kierownicy palce Lombarda poruszały się niespokojnie, jakby ćwiczył na pianinie palcówki.

Odwróciła się i zaczęła bić Lombarda pięściami w bezsilnym przerażeniu.

— Co to? Niech pan powie wreszcie! Czego pan siedzi i nic nie mówi?

Dlaczegośmy się zatrzymali? Cóż pan sobie myśli? Dlaczego pan tak patrzy?

— Niech pani wysiada! — rozkazał, robiąc przy tym energiczny ruch brodą.

— Nie, nie wysiadę. Co pan chce zrobić?

Siedziała, patrząc na niego z wzrastającym przerażeniem. Sięgnął do klamki i otworzył drzwiczki.

— Powiedziałem, że ma pani wysiadać.

— Nie! Pan coś zamyśla. Widzę po pańskiej minie.

Wypchnął ją, ścisnąwszy mocno za rękę. Po chwili oboje stali już przy samochodzie, obcasy ich grzęzły w rudobrazowych, pożółkłych liściach. Zatrzasnął za sobą drzwiczki. Pod drzewami było wilgotno i przenikliwie chłodno, otaczały ich czarne niczym smoła ciemności, tylko przed nimi światła wozu tworzyły widmowy tunel.

— Chodźmy tędy — rzekł spokojnie, idąc w obranym kierunku. Przytrzymał ją za łokieć, żeby nie uciekła. W tej niesamowitej ciszy liście pod ich nogami głośno chrzęściły i wzlatywały w górę. Oddalili się już od samochodu. Ona szła nienaturalnie przegięta i wpatrywała się w jego nieprzeniknioną twarz. Jej głośny oddech odbijał się echem pośród konarów drzew. Lombard oddychał ciszej.

Posuwali się jak w pantomimie, aż doszli do miejsca, gdzie prawie nie docierało już światło reflektorów. Na tej granicy światła i cienia Lombard zatrzymał się i puścił jej łokieć. Postąpiła naprzód jeden krok, ale on przyciągnął ją do siebie, ponownie ujmując pod rękę.

Wyjął papierosa i poczęstował ją. Odmówiła.

— Proszę — nalegał, wpychając jej papierosa do ust. — Niech pani bierze.

Zapalił zapalną, osłaniając dłońmi płomień. Ale ta drobna grzeczność, wyświadczona w takim skupieniu, powiększyła tylko jej niepokój. Zaciągnęła się raz i papieros wypadł jej z ust, nad których drzeniem nie potrafiła zapanować.

Przezornie zdusił go nogą, by nie zapaliły się liście.

— No, dobrze — powiedział. — Proszę teraz wracać do samochodu. Niech pani idzie tą smugą światła i zaczeka na mnie w wozie. Tylko proszę się nie rozglądać i iść prosto przed siebie.

Zdawała się nie pojmować, co do niej mówi, albo też strach zupełnie ją sparaliżował. Musiał ją pchnąć lekko, by się ruszyła. Zrobiła kilka chwiejnych, niepewnych kroków, powłócząc nogami po zwiędniętych liściach.

— Naprzód, i tak jak mówiłem, w kierunku światła! — zawołał za nią. — I niech się pani nie ogląda!

Była tylko kobietą, i do tego przerażoną. Jego przestrogi odniosły wręcz odwrotny skutek, bezwiednie bowiem odwróciła głowę.

Lombard trzymał w ręku pistolet, ale jeszcze na pół uniesiony. Musiał wyciągnąć go cicho, jak odchodziła.

Krzyk jej podobny był do głosu schwytanego w szpony i umierającego ptaka, który zdobywa się jeszcze na to, by wzbić się w ostatnim porywie ponad drzewa, nim martwy opadnie na ziemię. Próbowała zbliżyć się do Lombarda, jakby w nim miała znaleźć oparcie, a przecież to właśnie z jego strony groziło jej niebezpieczeństwo. — Nie ruszać się! — ostrzegł. — Chciałem to pani jakoś złagodzić i dlatego nie kazałem się oglądać.

— Niech pan tego nie robi! Po co to? — szlochała. — Przecież mówiłam, że powiem im wszystko, co tylko pan zechce. Mówiłam, że *powiem!* Powiem... powiem...

— Nie — zaprzeczył z mrozącym krew w żyłach spokojem. — Mogę panią zapewnić, że teraz już nic im pani nie powie. Powie pani tylko Hendersonowi, kiedy za jakieś pół godziny spotkacie się na tamtym świecie. — Uniósł pistolet, przygotowując się do strzału.

Jej sylwetka wyraźnie rysowała się na tle świateł reflektorów. Niezdolna była uskoczyć w bok i skryć się w zbawienną ciemność, światło bowiem rozlewało się tak szeroko, że tylko kręciła się w kółko jak pijana i w końcu znów stanęła przed nim.

Na nic więcej nie starczyło czasu.

Nagle rozległ się strzał i głośnym echem odbił o sklepienie drzew nad ich głowami. Jej krzyk tworzył jego kontrapunkt.

A więc spudłował, nawet z tak dogodnej odległości. Z lufy się nie dymiło, choć powinno; nie miała czasu zastanawiać się teraz nad tym. Była zupełnie pozbawiona czucia, stała w oszołomieniu i chwiała się jak chorągiewka na wietrze. Lombard na drżących nogach podszedł do najbliższego drzewa i przycisnął twarz do pnia, jakby ruszyło go sumienie. Zobaczyła, że przytrzymuje sobie ramię. Pistolet, który upuścił, błysnął ku niej jak kawałek rozżarzonego węgla.

W smudze światła ujrzała mężczyznę zbliżającego się w jego stronę. Trzymał w ręku pistolet wycelowany w zgiętą przy drzewie postać. Pochylił się i podniósł coś z ziemi. Potem zbliżył się; w świetle reflektora zabłyśły kajdanki i rozległ się trzask łamanej gałęzi. Lombard wyszedł z za drzewa, zachwiał się i wyprostował.

W grobowej ciszy usłyszała wyraźnie głos mężczyzny:

— Aresztuję pana za zamordowanie Marcelli Henderson! Przytknął coś do ust i po całym lesie rozległ się żałosny gwizd. A potem znów zaległa cisza wokół ich trojga.

Burgess pochylił się współczująco i podniósł ją z kolan, na które osunęła się, kryjąc zalaną łzami twarz.

— Wiem, że to było okropne. Ale już po wszystkim. Już minęło. Wykonała pani zadanie i ocaliła go. Proszę się o mnie oprzeć, o tak. Niech się pani teraz porządnie wypłacze. No, proszę. Należy się pani.

Jak typowa kobieta, od razu przestała płakać.

— Nie chcę już. Już dobrze. To tylko dlatego... myślałam, że nie zdążycie...

— Nie zdążylibyśmy za wami. Za szybko pędził.

Jakiś drugi samochód zahamował gdzieś dalej na drodze. Ale nikt jeszcze się nie zbliżył.

— Nie mogłem ryzykować. Nie wiedziała pani? Przez cały czas jechałem za panią. Siedziałem w bagażniku i wszystko słyszałem. Schowałem się tam, jak tylko weszła pani do sklepu.

Podniesionym głosem zawołał w stronę latarek mrugających pomiędzy drzewami:

— Czy to Gregory i reszta chłopaków? Zawracajcie, szkoda czasu na wysiadanie! Dojedźcie jak najszybciej do autostrady i do najbliższego telefonu. Połączcie się z biurem prokuratora okręgowego. Pozostało nam już tylko parę minut. Pojadę za wami drugim wozem. Powiedzcie im tam, że wiozę faceta, który się nazywa John Lombard i sam się przyznał do zamordowania pani Henderson. Niech zawiadomią dyrektora więzienia...

— Nie macie ani cienia dowodu przeciwko mnie — burknął Lombard, krzywiąc się z bólu.

— Czyżby? Nie potrzebuję nic więcej, wystarczy to, co widziałem. Złapałem pana na gorącym uczynku, jak chciał pan z zimną krwią zamordować dziewczynę poznaną zaledwie godzinę temu. I to tylko dlatego, że mogła ocalić Hendersona, zmasać z niego winę. Dlaczego nie chciał pan do tego dopuścić? Bo to by oznaczało rewizję całej sprawy, a wtedy pańskie bezpieczeństwo byłoby pod znakiem zapytania. Oto mój dowód przeciwko panu.

Stapając ciężko, podszedł do nich policjant stanowy.

— Pomóc?

— Zanieś dziewczynę do samochodu. Miała teraz paskudne przejście i potrzebuje opieki. A ja się nim zajmę.

Krzepki policjant podniósł ją z ziemi jak piórko i wziął na rękę.  
— Któż to? — zapytał przez ramię, gdy szedł świetlną smugą.  
— Bardzo dzielna osóbką! — odkrzyknął Burgess, pociągając za sobą więźnia. —  
Uważaj, idź wolno. To Carol Richman, dziewczyna Hendersona! Najwięcej warta z  
nas wszystkich.

### ***23, Pierwszy dzień po egzekucji***

**Siedzieli** w saloniku w skromnym mieszkaniu Burgessa na Jackson Heights.  
Spotkali się po raz pierwszy po wyjściu Hendersona z więzienia. Burgess tak to  
urządził. Kazał jej czekać tutaj, aż Henderson przyjedzie pociągiem. Wyjaśnił tylko:  
— I po cóż się spotykać przy bramie więziennej? Oboje macie już tego dosyć. Niech  
pani zaczeka u mnie. Co prawda meble mam kupione na raty, ale za to nie  
więzienne.

Siedzieli obok siebie na kanapie, w świetle lampy, pogrążeni w błogim spokoju —  
choć trochę jeszcze oszołomieni. Henderson objął ją, ona oparła mu głowę na  
ramieniu.

Na ten widok Burgessa ścisnęło coś w gardle.

— No, jak tam się trzymacie? — spytał szorstko, żeby nie okazać wzruszenia.

— Och, wszystko jest takie wspaniałe! — zachwycił się Henderson. — Już prawie  
zapomniałem, jak może być wspaniałe. Dywany na podłodze. Jasne, łagodne  
światło. Miękką poduszkę na kanapie. A najwspanialsze ze wszystkiego... —  
Przesunął policzkiem po jej włosach. — Wszystko to moje, odzyskane,  
przynajmniej jeszcze na te następne czterdzieści lat.

Burgess i dziewczyna wymienili współczujące spojrzenia.

— Właśnie wróciłem z Prokuratury Okręgowej — odezwał się Burgess. —

Wreszcie wydobyli z niego pełne zeznanie. Przypieczętowane i podpisane.

— Nie mogę tego pojąć — powiedział Henderson, potrząsając głową. — Po prostu  
nie mogę uwierzyć. Co się za tym kryje? Czyżby się kochał w Marcelli? O ile mi  
wiadomo, widziała go zaledwie dwa razy w życiu.



— O ile panu wiadomo — rzekł chłodno Burgess.

— Myśli pan, że prowadziła podwójną grę?

— Nie zauważył pan, że często wychodziła z domu?

— Tak, ale jakoś się nad tym nie zastanawiałem. Po prostu nie łączyły nas serdeczne stosunki.

— Otóż to, właśnie dlatego. — Burgess przechadzał się po pokoju. — Myślę jednak, że należy się panu wyjaśnienie. To była miłość nie odwzajemniona. Pańska żona nie kochała Lombarda. Bo gdyby kochała, najprawdopodobniej do dziś by żyła. Ona właściwie nie kochała nikogo oprócz siebie. Lubiła, aby ją podziwiano, aby jej wszyscy schlebiali. Należała do kobiet, co to lubią sobie poflirtować, nie angażując się na serio. Z dziewięcioma mężczyznami na dziesięciu to nieszkodliwa igraszka. Ale z dziesiątym czasem się nie udaje. Lombarda trzymała w rezerwie, żeby mieć z kim wyjść i zemścić się na panu — a jednocześnie mieć poczucie, że się bez pana obejdzie. Tak się niefortunnie złożyło, że właśnie on był tym dziesiątym. Nie nadawał się wcale do tej roli. Większą część życia spędził gdzieś na końcu świata, w zagłębiach naftowych, i brakło mu doświadczenia z kobietami. Nie miał pod tym względem za grosz poczucia humoru. Wziął to bardzo na serio. Jej znów cała gra sprawiała tym większą przyjemność, im bardziej poważnie ją traktował. Nie ulega wątpliwości, że obeszała się z nim paskudnie. Zwodziła go do ostatniej chwili, choć z góry wiedziała, jak się to skończy. Pozwoliła mu układać plany na przyszłość dla nich obojga, doskonale wiedząc, że nie będzie tej przyszłości z nim dzielić. Pozwoliła mu podpisać pięcioletni kontrakt z towarzystwem naftowym w Ameryce Południowej. Wybrał już nawet i urządził domek, w którym mieli zamieszkać. Zaraz po przyjeździe miała wszcząć sprawę rozwodową z panem i wyjść za niego... Mimo wszystko chłop w tym wieku — już nie młodzik — nie godzi się łatwo z taką porażką...

A ona, zamiast wycofywać się z tego powoli, przygotowywać go stopniowo, żeby jakoś go ugłaskać, załatwiła to w najgorszy sposób. Nie chciała rezygnować z przyjemności wcześniej, niż to konieczne: z jego telefonów, wspólnych obiadów, kolacji i pocałunków w taksówce. Wszystko to było jej potrzebne. Przyzwyczyła się i teraz odczuwałaby brak tego. Więc zwlekała i zwlekała. Czekwała do owego wieczoru, kie-

dy mieli razem odpłynąć do Ameryki Południowej; czekała, aż zjawi się — już po pana wyjściu — żeby ją zabrać na statek.

Nie dziwię się wcale, że przyplącała to życiem. Dziwiłbym się, gdyby się stało inaczej. Mówi, że był tam już, zanim pan wyszedł, toteż ukrył się na schodach o piętro wyżej i zszedł dopiero wtedy, kiedy pan wściekły wypadł z domu. Tego wieczoru nie było na dole portiera, nikt więc nie widział go wchodzącego, nikt też — jak wiadomo — nie widział, żeby wychodził.

W każdym razie otworzyła mu drzwi, wróciła do lustra i kiedy spytał, czy już spakowana, roześmiała się. Miała chyba taki dzień, że się ze wszystkich śmiała. Spytała, czy rzeczywiście wierzył, że zagrzebie się gdzieś w Ameryce Południowej, zda się na jego łaskę i spaliwszy za sobą mosty, będzie czekać, by się z nią ożenił? A ponadto miałyby jeszcze pana uwolnić i zostawić komu innemu? Wołała dotychczasową sytuację. Nie miała ochoty porzucać rzeczy pewnej dla jakiegoś ryzyka. Najgorzej jednak podziałał na niego ten jej śmiech. Gdyby płakała, gdyby chociaż mówiła to z poważnym wyrazem twarzy, twierdzi, że chybaby się z tym pogodził. Po prostu odszedłby, może spił się na umór, ale ona by żyła. I ja też tak myślę.

— A tak ją zabił — odezwał się Henderson cicho.

— A tak ją zabił. Na podłodze leżał porzucony przez pana krawat. Nieświadomie musiał go podnieść i trzymać w ręce w chwili, kiedy spadło to na niego jak grom z jasnego nieba. — Burgess wymownie strzelił palcami.

— Trudno mu się dziwić — szepnęła Carol, patrząc w podłogę.

— Rzeczywiście — przyznał Burgess. — Ale nie sposób wybaczyć mu tego, co uczynił potem. Świadomie zwałił winę na starego przyjaciela i jeszcze tyle się przy tym natrudził.

— Co ja mu takiego zrobiłem? — zapytał Henderson bez urazy.

— Zaraz to wyjaśnimy. On nie rozumiał i zresztą do dziś nie rozumie, co naprawdę skłoniło ją do takiego postępowania. Czemu tak bezlitośnie go zwodziła? Nie zdawał sobie sprawy, że to tak doskonale pasuje do jej charakteru, że to dla niej typowe. Całkiem niesłusznie uznał, że musiała się w niej odrodzić miłość do pana. Dlatego pana o to winił. Przez pana ją utracił. Zaczął pana nienawidzić. Chciał się więc zemścić. No cóż, najściślejsza definicja, jaką ja potrafię podać, to pato-

logiczna zazdrość doprowadzona do szaleństwa przez śmierć pożądanej osoby.

— Ho, ho — wtrącił cicho Henderson.

— Wyszedł więc przez nikogo nie widziany i podążył za panem. Okoliczność warta wykorzystania stanowiła kłótnia między wami, którą słychać było aż na schodach. Z początku, jak mówi, miał zamiar nawet dołączyć do pana, udać, że spotkaliście się przypadkowo, i być razem tak długo, aż sam by się pan nie wkopał. A w każdym razie, póki by pan czegoś nie palnął. On zacząłby na przykład: „Hej, sądziłem, że będziesz razem z żoną”. A wtedy, oczywiście, pan by wyjaśnił: „Przed samym wyjściem z domu mieliśmy piekielną awanturę”. Najistotniejsze było, żeby pan sam napomknął o tej awanturze. To mu właśnie było potrzebne. W przeciwnym razie nie mógłby o tym wspomnieć, nie zdradzając jednocześnie, że był wtedy na schodach w zasięgu głosu. Tego musiał dowiedzieć się od pana bezpośrednio, rozumie pan? Potem już dopilnowałby, żeby pan sobie podpisał, o ile, oczywiście, potrzebna byłaby panu dodatkowa zachęta, i na koniec odprowadziłby pana pod same drzwi. Tak więc, kiedy pan dokonałby tego strasznego odkrycia, on byłby też na miejscu; a potem wspominałby policji, aczkolwiek niechętnie, o tej okropnej awanturze między wami, o której słyszał od pana. Pomysł, by towarzyszyć mężowi aż do miejsca, gdzie zamordował jego żonę, był sprytny. Automatycznie sprowadziłby siebie tylko do roli obserwatora zbrodni. Byłby w ten sposób zabezpieczony przed wszelkimi podejrzeniami. Zeznał to nam dobrowolnie, powiedziałbym nawet, że jak do tej pory, nie okazuje cienia skruchy.

— Pięknie, nie ma co! — odezwała się Carol ponuro.

— Myślał, że będzie pan sam. Wiedział, że ma pan zamiar być w dwóch miejscach. Wspomniał mu pan tego popołudnia, kiedy wpadł pan do niego, że wybieracie się z żoną do „Maison Blanche”, a potem do „Casino”. O barze nic nie wiedział, bo zresztą i pan też nie wiedział, dopóki nie wszedł pan tam całkiem niespodzianie. Udał się wprost do „Maison” i wypatrywał uważnie, ukryty w foyer. Wreszcie zobaczył pana. Musiał pan akurat wejść. Przekonał się, że nie jest pan sam. To zmieniło postać rzeczy. Już nie tylko nie mógł teraz przyłączyć się do pana w nadziei, że dokona jakiegoś pomyślnego odkrycia, ale na dodatek ta nieznana trzecia osoba mogła zapewnić panu całkowite alibi, zależnie od tego, kiedy się pan z nią spotkał. Inny-

mi słowy, od razu, od pierwszego wejrzenia pojął, jak ogromnie ważną rolę odgrywa ona w tej sprawie; ze względu na jego, jak i na pana interesy.

Wycofał się na ulicę i przechadzał w pobliżu, przez cały czas pilnując wejścia, ale jednocześnie nie za blisko, żeby go nikt nie dostrzegł. Wiedział, że następne przewidziane miejsce to teatr „Casino”, ale oczywiście nie miał pewności. Nie mógł sobie pozwolić, żeby wierzyć panu na słowo.

Wyszliście we dwoje, pojechaliście taksówką. On drugą, za wami, do samego teatru. Był *tam*! I to naprawdę mnie zszokowało! Kupił bilet na miejsce stojące, jak to często robią ludzie, którzy mają zaledwie tyle czasu, żeby obejrzeć jeden akt, i stał na parterze, ukryty za filarem, stale mając was na oku.

Widział, jak wychodziliście. O mało nie zgubił was w tłumie, ale szczęście mu sprzyjało. Incydentu z niewidomym nie zauważył, bo nie śmiał iść blisko za wami. Potem pańska taksówka z takim trudem przedzierała się przez zator, że udało mu się nadążyć za wami drugą.

W ten sposób zaciągnął go pan z powrotem do Anselma, choć wcale nie podejrzewał, że właśnie tu tkwi źródło tej znajomości. Znowu wałęsał się na zewnątrz, bo wejść do środka nie śmiał w obawie, by go pan nie spostrzegł. Niedługo zobaczył, że zostawia ją pan w barze i wychodzi, i już z tego musiał wywnioskować, o ile do tej pory miał jeszcze wątpliwości, że wypełnił pan groźbę rzuconą głośno na odchodnym, groźbę, którą podsłuchał ze schodów: zamiast żony zaprosił pan pierwszą napotkaną kobietę.

Musiał decydować prędko, czy iść za panem i ryzykować, że zgubi jej ślad, czy też zająć się jej osobą i stwierdzić, jak dalece może ona przydać się panu, a jemu zaszkodzić.

Nie wahał się długo. Znowu sprzyjało mu szczęście i prawie instynktownie wybrał słuszną dla siebie drogę. Było już za późno, żeby przyłączyć się do pana i żeby to wyglądało przekonująco o tej porze. Zamiast pana bardziej pograżyć, wkopałby siebie. Statek jego właśnie w tej chwili odpływał — a on powinien się na nim znajdować.

Tak więc zostawił pana, a wybrał ją, nie przypuszczając nawet, jak słusznie postępuje. Czekał okazji, stojąc na dworze, obserwując ją z ukrycia. Wiedział, że nie zostanie w barze przez całą noc, że będzie musiała w końcu dokądś się udać.

Wreszcie wyszła. Cofnął się, by dać jej wolną drogę. Był wystarczająco przebiegły, żeby nie zaczepić jej z miejsca; zdradziłby się przed nią. Z chwilą gdyby się okazało, że może ona panu zapewnić alibi on byłby nieodwołalnie pogrążony przez sam fakt, że się dopytywał, że okazywał zainteresowanie tą sprawą.

Zdecydował roztropnie, że musi postąpić tak: przede wszystkim dowiedzieć się, jak się nazywa i gdzie mieszka, aby w razie potrzeby móc ją znowu odnaleźć; zostawić ją w spokoju na jakiś czas, a tymczasem przekonać się, o ile to możliwe, jak dalece może być panu pomocna. W tym celu planował przejść całą pańską trasę zrobioną tego wieczoru wyśledzić, o ile to możliwe, miejsce waszego spotkania, a przede wszystkim upewnić się, jak prędko po pańskim wyjściu z domu ono nastąpiło. I ostatnia rzecz: gdyby okazało się, że jej ewentualne zeznania mogą mieć naprawdę duże znaczenie, postanowił zająć się tym tak, by przezornie wymazać wszelkie ślady. A więc odnaleźć ją w miejscu, które wytropi, idąc za nią teraz, i jakoś zapewnić sobie jej milczenie. Gdyby się okazało, że nie jest skłonna milczeć, przyznał się nam, że świtał mu już w głowie inny ponury sposób zatarcia śladów. Zatajenie pierwszej zbrodni przez popełnienie drugiej. Ruszył więc za nią. Mimo tak późnej pory z jakiejś niezbadanej przyczyny szła pieszko; dzięki temu łatwiej mógł ją mieć na oku. Z początku myślał, że mieszka gdzieś niedaleko, w pobliżu baru, ale kiedy stopniowo coraz bardziej się oddalała, zaczął doszukiwać się jakiegoś innego powodu. Czy czasem nie zdaje sobie sprawy, że ktos idzie za nią, i celowo nie usiłuje go zmylić, sprowadzić na niewłaściwy trop. Po chwili zdecydował, że nawet to nie może wchodzić w rachubę. Nie widać było po niej, że robi to celowo, że się czymś niepokoi. Szła spacerkiem bez celu, niemal się wlokła, przystając przy wszystkich me oświetlonych gablotach, by obejrzeć ich zawartość, to znów głaszcząc bezdomnego kota. Niewątpliwie urozmaicała sobie drogę ale nie z jakiegoś zewnętrznego przymusu. Przecież gdyby się chciała od niego uwolnić, o wiele prościej byłoby wskoczyć do taksówki lub podejść do policjanta i szepnąć mu słowo. Po drodze minęli już kilku i do żadnego z nich nie podeszła. W końcu nie potrafił już sobie inaczej wytłumaczyć jej dziwnej wędrówki, jak tym, że widać nie ma stałego miejsca zamieszkania, że wędruje na chybił trafił. Na bezdomną była za dobrze ubrana łamał więc sobie głowę, co to wszystko może znaczyć.

Poszła w górę Alei Lexington do Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy, a następnie skręciła w kierunku zachodnim i dotarła aż do Piątej Alei. Potem na północ, dwie przecznice dalej. Z kolei usiadła sobie na ławce pod pomnikiem generała Shermana, tak jakby to była trzecia po południu. Ponieważ jednak co trzeci kierowca wjeżdżający lub wyjeżdżający z Central Parku wymownie zwalniał koło niej, podniosła się i znów poszła spokojnie w kierunku wschodnim przez Pięćdziesiątą Dziewiątą Ulicę. Po drodze obejrzała dokładnie wystawę sklepu z obrazami, a Lombard czuł, że powoli doprowadza go do szału.

Wreszcie, kiedy zaczął już przypuszczać, że pójdzie piechotą przez Queensborough Bridge na Long Island, nagle skręciła i weszła do małego, obskurnego hotelu na samym końcu Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Zajrzał do środka i zobaczył, że podpisuje się w rejestrze. Wyglądało to na taką samą improwizację, jak cała dotychczasowa włóczega.

Gdy tylko zniknęła mu z oczu, natychmiast wszedł za nią. Uznał, że najszybciej odkryje, jak się nazywa i który zajmuje pokój, jeżeli sam też się tu zatrzyma. Kiedy się wpisywał, tuż nad nim widniało „Fran-ces Miller” i numer 214. Wybrzydzał dotąd, aż dostał sąsiedni pokój 216. W paru pokojach, które mu pokazano, znalazł takie lub inne niedociągnięcia, aż wreszcie zdobył ten, na który miał oko. Cały hotel był zresztą w ostatnim stadium rozkładu, niewiele lepiej wyglądał niż pokoje do wynajęcia, więc postępowanie takie było całkiem usprawiedliwione.

Poszedł na górę tylko po to, by popatrzeć na jej drzwi z hallu i przekonać się, że wreszcie leży w łóżku i że powinien ją zastać, jak wróci. Nie mógł marzyć o pewniejszych dowodach. Poprzez matową szybkę nad drzwiami przebijało światło. W tej rozlatującej się budzie mógł słyszeć każdy jej ruch, zgadywał niemal, co robi. Słyszał pobrzękiwanie drucianych wieszaków w pustej szafie, kiedy wieszala suknię. Przyszła tu oczywiście bez bagażu.

Słyszał, jak nuciła pod nosem, a nawet rozróżniał melodię. „Czika, czika, bum”, melodia z przedstawienia, na które pan ją zabrał. Słyszał szum wody w umywalce, kiedy szykowała się do snu. Na koniec zgasło światło nad drzwiami i usłyszał skrzypienie rozklekotanych sprężyn łóżka. Nad tym wszystkim długo się rozwodzi w ostatecznej wersji zeznania.

Przeszedł przez swój nie oświetlony pokój i wyrzwał oknem, które wychodziło na nędzny ślepy zaułek. Popatrzył uważnie, co może stąd dostrzec w jej pokoju. Roleta sięgała parapetu, ale łóżko stało w takiej pozycji, że jeżeli usiadł okrakiem na oknie i dobrze się wychylił, w mroku nocy widział ogieniek jej papierosa, którego trzymała w opuszczonej ręce. Między ich oknami była rynna, przymocowana do ściany obręczą, na niej więc można by wygodnie oprzeć stopę. Dobrze to sobie zapamiętał na wypadek, gdyby się to okazało konieczne.

Upewnił się już co do niej, mógł więc pójść dalej. Była prawie druga nad ranem. Popędził taksówką wprost do Anselma. W opustoszałym lokalu mógł bez większego trudu porozmawiać poufnie z barmanem i wyciągnąć od niego wszystko, co tylko wiedział w tej sprawie. Zaczął z nim pogawędkę i jakby nawiasem rzucił luźno pytanie, wie pan, ot tak: „Któż to była ta samotna babka, która niedawno siedziała tu przy końcu baru?” Coś w tym rodzaju. Tak tylko, aby zacząć.

Barmani to ludzie gadatliwi, tyle wystarczyło, aby się rozgadał. A więc, że była tu już raz przedtem, około szóstej, wyszła z kimś, kto potem ją znowu przyprowadził i zostawił samą.

Kolejne jedno czy dwa zręczne pytania i barman wyjaśnił wszystko, na czym właśnie Lombardowi zależało. Że zagadnął ją pan natychmiast po wejściu, nie zwlekając ani chwili, i że było zaledwie parę minut po szóstej. Innymi słowy, było o wiele gorzej, niż się obawiał. Mogła pana nie tylko potencjalnie osłaniać, ale zapewnić absolutne i bezwarunkowe ocalenie. Należało się tym zająć. I to niezwłocznie.

Burgess przerwał.

— Czy nie nudzą pana te wszystkie szczegóły?

— Bądź co bądź, dotyczą mojego życia — zauważył sucho Henderson.

— Nie marnował ani chwili. Pierwszy interes załatwił z miejsca, niemal na oczach paru zapóźnionych klientów. Barman był typem niewątpliwie łatwym do przekupienia, o lepkich palcach, jak to się mówi. Kilka ostrożnych słów, uścisk dłoni nad barem i sprawa załatwiona. „Ile panu trzeba, żebyś pan zapomniał, że ta babka spotkała się tutaj z tym facetem? Jego może pan pamiętać, jej nie”. Barman odparł, że wystarczy mu drobna suma. „Nawet gdyby się okazało, że wkroczy w to policja?” Barman zaczął się wahać, kiedy to usłyszał. Lombard po-

stanowił dać mu sumę pięćdziesiąt razy większą, niż ten się spodziewał. Dał mu tysiąc dolarów żywą gotówką. Miał przy sobie sporo forsy, chciał się przecież urządzić z Marcellą w Ameryce Południowej. Załatwił barmana na mur, nie tylko tym — bardziej jeszcze paroma spokojnie wypowiedzianymi, ale mrożącymi krew w żyłach groźbami. A grozić umiał. Może dlatego, że groźby te nie były czcze — słuchacz doskonale je zrozumiał.

Barmana unieszkodliwił, i to na długo, tak że ani my, ani nikt inny nie był w stanie wydobyć z niego słowa. I to nawet nie z powodu tego tysiąca dolarów; wystraszył się porządnie, tak samo jak i wszyscy *ram*. A skutki strachu widać było najlepiej po Cliffie Milburnie. Piekielnie bezwzględny był ten Lombard. To człowiek całkowicie pozbawiony skrupułów, zasad...

Gdy załatwił barmana, poszedł dalej, cały czas tą samą trasą, jaką pan odbył ledwie kilka godzin wcześniej. Nie ma sensu opowiadać wszystkiego ze szczegółami. Restauracja i teatr oczywiście były już zamknięte, zdobył jednak adresy tych facetów, o których mu chodziło, a potem ich odszukał. Odbył nawet wyprawę na dalsze przedmieście, aby jednego z nich wyciągnąć z łóżka. Do czwartej rano skończył, skontaktował się z tymi trzema osobami, z którymi koniecznie musiał dojść do porozumienia: z kierowcą Alpem, ze starszym kelnerem w „Maison Blanche” i z kasjerem w teatrze „Casino”. Dał im różne sumy. Kierowcy, by tylko zaprzeczył, że ją widział. Starszemu kelnerowi, żeby podzielił się z kelnerem, bądź co bądź od niego zależnym, i żeby upewnił się, czy ów będzie milczał. Kasjerowi dał tyle, że właściwie zdobył w nim sprzymierzeńca. On to powiedział Lombardowi, że jeden z muzyków przechwala się na prawo i lewo, jakie to wrażenie zrobił na tej akurat kobiecie — jak mu się wydawało — i nawet podsunął mu myśl, że i z tym muzykiem należałoby pogadać. Lombard nie był już w stanie zająć się nim tej nocy, dopiero następnego, ale, szczęściem dla niego, myśmy tego muzyka całkiem przeoczyli i ta zwłoka wcale nie pokrzyżowała mu planów.

Tak więc jeszcze przed świtem wykonał swoje zadanie. Sprawił, że pani widmo zniknęła z horyzontu, przynajmniej w granicach ludzkich możliwości. Teraz tylko nią samą musiał się zająć. Wrócił więc tam, gdzie ją zostawił, aby i tego dopilnować. Przyznaje się, że był zdecydowany. Nie miał zamiaru kupować jej milczenia, chciał zapewnić je so-



bie w sposób niezawodny — poprzez morderstwo. A wtedy już nic nie groziłoby całej konstrukcji, którą tak zręcznie zbudował. Oczywiście, że ktoś inny mógł się wygadać, ale bez niej nie byłoby żadnego dowodu.

Wrócił więc do pokoju hotelowego i usiadł na chwilę po ciemku, by się zastanowić. Doskonale zdawał sobie sprawę, o ile bardziej ryzykuje, że wyśledzą go jako mordercę w tym przypadku niż w przypadku pańskiej żony. Występował tu jednak tylko jako nieznaną mężczyzna, wpisany pod fikcyjnym nazwiskiem, a nie jako Jack Lombard. Zamierzał jeszcze dogonić swój statek, nikt by go tu drugi raz nie zobaczył, jakaż więc szansa, że zostałby rozpoznany? Podejrzewano by, że to „on” ją zabił, ale nikt by nie wiedział, kim ten „on” jest. Jasne, prawda?

Wyszedł na korytarz i nasłuchiwał pod jej drzwiami. Było cicho, spała. Nacisnął ostrożnie klamkę, ale jak było do przewidzenia, drzwi miała zamknięte, tedy więc nie mógł się dostać. Pozostała mu tylko rynna między oknami, jedyna możliwość, o której zresztą przez cały czas myślał.

Roleta spuszczone była prawie do samego parapetu, tak jak przedtem. Spokojnie i zwinnie wysunął się na zewnątrz, oparł stopę na obręczy i bez większego trudu przedostał się na parapet sąsiedniego okna, a następnie pod roletą wsunął do pokoju. Nie wziął ze sobą nic, zamierzał posłużyć się gołymi rękami i pościelą.

Kiedy w ciemności, posuwając się ostrożnie, dotarł do łóżka, podniósł ręce i mocno przycisnął stłamszoną pościel, aby nie mogła krzyknąć. Pościel ugięła się pod jego rękami; łóżko było puste. Wyszła. Zniknęła tak samo dziwnie, jak się pojawiła.

Odeszła, nim dzień zaświtał. Dwa pety, ślady pudru koło lustra i pomięta pościel — tyle po niej zostało.

Kiedy już otrząsnął się trochę i zszedł na dół, aby ogłędnie o nią zapytać, powiedzieli mu, że tuż przed jego powrotem oddała klucz i spokojnie wyszła na ulicę. Nie wiedzieli, w którą ruszyła stronę, ani dokąd, ani dlaczego; wiedzieli tylko, że wyszła — tak samo tajemniczo, jak przyszła.

Jego własna strategia obróciła się przeciw niemu. Poświęcił całą noc i setki dolarów, aby przeobrazić tę kobietę w widmo dla pana, Henderson, tymczasem ona przeobraziła się w widmo — ale dla niego. Absolutnie tego nie chciał. Cała sprawa stawała się przez to zbyt niebez-

piecznie mglista. Pani widmo mogła w każdej chwili zniecka pojawić się znów na scenie.

Przeżył piekło w ciągu tych kilku godzin, które mu jeszcze pozostały do odlotu, jeśli miał dogonić swój statek. Wiedział, że to beznadziejne. Zdawał sobie sprawę, tak jak pan i ja, co to znaczy odnaleźć kogoś natychmiast w Nowym Jorku.

Polował na nią wszędzie, z uporem maniaka, i nigdzie nie mógł jej znaleźć. Minał dzień, potem znowu noc, musiał się śpieszyć, nie mógł zatrzymać się ani chwili dłużej. Musiał zostawić sprawę nie zakończoną. Od tego momentu groźba ciosu miała ciągle nad nim wisieć.

Odleciał z Nowego Jorku w dwa dni po popełnieniu morderstwa, w tym samym dniu przebył jeszcze krótką trasę z Miami do Hawany i zdążył wsiąść na swój statek, który właśnie dopływał tam po trzech dniach podróży. Urzędnikom żeglugi wytłumaczył, że tego wieczoru, kiedy statek odpływał, wypił za dużo i spóźnił się. Oto dlaczego przyjechał tak od razu po otrzymaniu depeszy, którą wysłałem w pana imieniu; tego mu właśnie było trzeba, aby wszystko rzucić i wracać. Przez cały czas żył w panicznym strachu, co go zupełnie wykańczało. Mówi się, że mordercę zawsze ciągnie na miejsce zbrodni. Przyciągało go to jak magnes. Pańska prośba o pomoc była dla niego uzasadnieniem, którego tak bardzo potrzebował. Mógł teraz otwarcie przyjechać i pomóc w poszukiwaniach. Dokończyć łowów, których celem była śmierć, a których nie dokończył za pierwszym razem. Dopilnować, aby — jeżeli kiedykolwiek odnajdą panią widmo — nie odnaleźli jej żywej.

— A więc podejrzewał go pan już wtedy, w mojej celi, pisząc tę depeszę w moim imieniu?

— Nie mogę określić dokładnie dnia ani godziny. Następowало to stopniowo, kiedy już nabrałem przekonania, że nie pan to zrobił. Od początku do końca zresztą nie było żadnego przesądającego sprawę dowodu jego winy, dlatego właśnie musiałem obrać tak okrężną drogę. W mieszkaniu nie stwierdzono odcisków palców; dokładnie wytarł wszystko, czego dotykał. Pamiętam, że na paru kławkach w ogóle nie było żadnych śladów.

Zacznijmy od tego, że to właśnie pan wspomniał mimochodem jego nazwisko w czasie przesłuchania. Wspomniał pan o nim jako o starym przyjacielu, którego zaproszenie na pożegnalny wieczór świadomie,

choć z żalem, odrzucił pan ze względu na żonę. Zarządziłem zwykle w takiej sytuacji dochodzenie w związku z jego osobą, raczej po to, by się dowiedzieć czegoś o pańskiej przeszłości, niż w jakimkolwiek innym celu. Dowiedziałem się, że wyjechał, tak jak zamierzał i jak pan mówił. Ale jednocześnie w biurze żeglugi odkryłem całkiem przypadkowo, że nie odpłynął stąd, tylko złapał statek w Hawanie, w trzy dni później. I jeszcze coś. Że zarezerwował najpierw miejsce dla dwóch osób, dla siebie i żony, ale potem, kiedy już dogonił statek, był sam i całą podróż odbył samotnie. Niezależnie od tego sprawdziłem również, że nigdy nie był żonaty.

No cóż, jak dotąd w tej historii nie było jeszcze nic specjalnie podejrzanego, prawda? Ludzie spóźniają się na statki, zwłaszcza gdy zbyt uroczyście oblewają swój wyjazd. I przyszłym żonom zdarza się zmienić plany w ostatniej minucie, wycofują się, a czasem zamierzone małżeństwo bywa odkładane za obopólną zgodą. Toteż nie zastanawiałem się nad tym dłużej. Ale z drugiej strony stałe tkwiło mi to w głowie. Ten drobny szczegół, że najpierw spóźnił się na statek, a potem sam go dogonił, pozostał mi w pamięci. Tak się niefortunnie dla niego złożyło, że zwrócił na siebie moją uwagę. A jak się zwróci na siebie uwagę policjanta, rzadko wychodzi to człowiekowi na dobre. Potem, kiedy zaczęło się ulatniać przekonanie o pańskiej winie, pozostała próżnia. Otóż próżnia ma to do siebie, że musi być wypełniona albo wypełnia się sama. Powoli zaczęły wychodzić na jaw dotyczące go fakty i nim się zorientowałem, zapełniały już próżnię.

— A przede mną pan pary nie puścił — stwierdził Henderson.

— Nie mogłem. Aż do ostatniej chwili nie byłem pewien. To znaczy, do owego wieczoru, kiedy wywiózł do lasu pannę Richman. Zaufanie panu mogłoby się okazać bardzo ryzykowne. Najprawdopodobniej nie podzieliłby pan moich podejrzeń i kto wie, może nawet ostrzegł go w jakimś porywie lojalności. Albo też, nawet jeśli by dał się pan przekonać i podzielił moje podejrzania, świadomość, ku czemu zmierzamy, nie pozwoliłaby panu dobrze odegrać tej roli. Mógłby zauważyć coś w pańskim zachowaniu i wytrąciłoby nam to broń z ręki. Był pan przecież wtedy w stanie okropnego napięcia. Uznałem, że najszlachetniej postąpię, jeśli będę działał poprzez pana, jeśli posłużę się panem jako nieświadomym narzędziem, tak, by się pan w tej grze nie orientował. To wcale nie było łatwe. Ta historia z programami, na przykład...

— Myślałem, że pan zwariował — w każdym razie myślałbym, gdybym sam był normalny — kiedy tak kazał mi pan powtarzać w kółko, do znudzenia, każdą najdrobniejszą scenę, każde słówko, żeby mnie właśnie na to naprowadzić. Wie pan, co wtedy myślałem? Że chce pan uśmierzyć moje cierpienie, żebym nie myślał, że czas ucieka. Dostosowałem się i robiłem, co mi pan kazał, ale właściwie uważałem to za bzdurę.

— Pan to uważał za bzdurę, a ja miałem duszę na ramieniu — zaśmiał się Burgess ponuro.

— A czy miał on coś wspólnego z tymi wypadkami, które wciąż tak pana prześladowały? Czy zdołał się pan czegoś na ten temat dowiedzieć?

— Miał, i to z wszystkimi. Najdziwniejsza jest sprawa z Cliffem Milburnem, bo to wyglądało na morderstwo, a w toku śledztwa okazało się najzwyczajszym samobójstwem; no i oczywiście barmana zabito nieumyślnie. Ale dwie osoby, których śmierć zdawała się skutkiem wypadku, zostały zamordowane. I zrobił to właśnie Lombard. Mówię o śmierci tego ślepeca i Pierrete Douglas. Oba morderstwa popełnił nie posługując się bronią. Śmierć ślepeca to była szczególnie paskudna robota.

Zostawił go na chwilę w pokoju, pozornie, żeby zbiec na ulicę i zadzwonić do mnie. Wiedział, że człowiek ten ma awersję do policji, jak każdy oszust, i że z miejsca będzie się starał uciec. Lombard liczył na to. Toteż ledwo się znalazł za drzwiami, przeciągnął nad górnym stopniem mocną czarną nić na wysokości kostki, to znaczy przywiązał ją do słupka poręczy z jednej strony, a z drugiej do wystającego ze ściany gwoźdź. Potem zgasił światło, wiedząc, że ten ślepiec musi jednak posługiwać się oczami, udał, że pędzi na dół, tupiąc po schodach coraz ciszej — znana sztuczka — i przykucnął sobie na niższej kondygnacji schodów, tak aby go nie było widać nad podestem.

Ślepiec, nie rozglądając się, w pośpiechu wypadł z mieszkania, aby uciec, zanim Lombard wróci ze swoim przyjacielem-policjantem, no i wszystko odbyło się według planu. Zaczepił o nić i zleciał ze schodów głową w dół, tak że upadając, walnął nią o ścianę. Nić oczywiście pękła, ale on nie zabił się przy upadku, rozwalił sobie tylko paskudnie głowę i stracił przytomność. Lombard popędził na górę, przeskoczył nad nim i usunął zwisające z obu stron zdradliwe kawałki nici.

Wrócił do leżącego żebraka i obmacawszy go stwierdził, że oddycha. Głowę miał silnie odgiętą do tyłu, a szyję wyprężoną, tak że tworzyła coś w rodzaju wiszącego mostu między leżącymi na płask ramionami i uniesioną, wspartą o ścianę głową. Zaobserwował przegięcie szyi, potem wyprostował się i uniósłszy nogę w ciężkim bucie...

Carol gwałtownie odwróciła głowę.

— Przepraszam — mruknął Burgess. Opanowała się.

— No cóż, to należy do sprawy. Proszę mówić dalej.

— Dopiero wtedy wybiegł i zadzwonił do mnie. A po powrocie stał w bramie i był na tyle przezorny, że przez cały czas oczekiwania rozmawiał z posterunkowym, aby na wszelki wypadek mieć alibi.

— Czy od razu odkrył pan prawdę? — spytał Henderson.

— Późnym wieczorem obejrzałem dokładnie zwłoki w kostnicy, jak już odesłałem Lombarda do domu, i zauważyłem niewielkie czerwone pręgi po nitce na obu goleniach. A poza tym ślady kurzu z tyłu szyi. Wtedy zrozumiałem wszystko. Wywnioskowałem to z tych dwóch śladów, ale dość trudno byłoby poradzić sobie z nim tylko na tej podstawie. Choć mogło się to udać. Wolałem jednak czekać i przyłapać go na czymś większym. Wypadek ślepcy nie byłby żadnym dowodem zasadniczym — w tym leżał cały kłopot. Nie chciałem wyciągnąć po niego ręki przedwcześnie, żeby mi znów nie uciekł. Wolałem, jak już raz wpadł mi w ręce, nie dać mu się ponownie wymknąć. Zaciśnąłem więc zęby i popuściłem mu cugli...

— I mówi pan, że z tym narkomanem nie miał nic wspólnego?

— Było to rzeczywiście samobójstwo, jak się na pozór zdawało, mimo dowodu z nożykiem do golenia. Cliff Milburn poderżnął sobie gardło w chwili depresji i strachu spotęgowanego przez narkotyki. Ten nożyk musiał zostawić na półce albo poprzedni lokator, albo też jakiś przyjaciel, który przyszedł do niego i golił się w łazience. Ciekawe zagadnienie dla psychologa-behawiorysty. Nawet kiedy już zdecydował się na samobójstwo, instynktownie unikał użycia brzytwy niezgodnie z jej przeznaczeniem. To zresztą cecha charakterystyczna każdego z nas; stąd ta złość, ilekroć żona brzytwą ostrzy ołówek.

Carol wtrąciła szeptem:

— Już nigdy w życiu nie będę mogła patrzeć na brzytwę.

— Ale śmierć pani Douglas to jego dzieło? — dociekał dalej Henderson.

— Załatwił to chyba jeszcze zręczniejszym niż poprzednim razem. Długi chodnik leżał pośrodku mocno wyfroterowanej podłogi, od schodka aż po francuskie okno.

Lombard sam się pośliznął na tej niebezpiecznie lśniącej podłodze, narażając się na śmiech tej kobiety, i wtedy właśnie przysłała mu do głowy ta możliwość. Potem, kiedy prowadził z nią rozmowę, reszty dokonały pomiary wzrokowe. Długi, równy pas chodnika zdawał się sam zapraszać. Naznaczył w myśli punkt, z którego mogłaby wylecieć przez okno, gdyby nagle straciła równowagę, i dobrze go sobie zapamiętał. Nie było to wcale takie łatwe, bo przecież równocześnie musiał sam się poruszać i rozmawiać, a tej sprawie mógł poświęcić zaledwie część uwagi.

Nie opieram tego bynajmniej na przypuszczeniu, wszystko to zeznał teraz sam

Lombard czarno na białym. Od owej chwili był to właściwie taki kontredans

śmierci, w czasie którego on niepostrzeżenie starał się naprowadzić ją na

odpowiednie miejsce. Wypisał czek, wstał i podszedł z nim do okna, jakby chciał,

żeby atrament szybciej wysechł. Następnie przesunął się i stanął tuż obok punktu,

który dla niej w myśli wyznaczył, ale poza chodnikiem. Przez podanie czeku

spowodował, że opuściła zajmowane dotychczas miejsce. Po prostu wyciągnął rękę,

tak że nie pozostawało jej nic innego jak podejść. Taką samą zasadę stosuje się w

walce byków. Byk posuwa się za płachtą, którą toreador trzyma wyciągniętą w bok

na długość ramienia. I ona również sunęła w stronę czeku. Dopiero kiedy znalazła

się w wyznaczonym miejscu, podał jej czek.

Przez chwilę stała bez ruchu, wpatrując się w papier. Od razu przeszedł przez pokój,

jakby chciał się natychmiast oddalić, i już ze stopnia zawołał ku niej: „Do

widzenia!” Uniosła głowę znad czeku i odwróciła się do niego, to znaczy plecami do

okna. Była teraz w pozycji dokładnie takiej, jakiej potrzebował, bo gdyby

wylatywała przodem czy nawet bokiem, mogłaby pewnie złapać się ramy, co by ją

uratowało. A tak było to niemożliwe — stawy rąk nie zginają się w tym kierunku.

Schylił się i poderwał chodnik do góry, aż nad głowę. Wystarczyło mu musiał zrobić

nic więcej. Wyleciała jakby zmieciona podmuchem wiatru. Nawet nie zdołała

krzyknąć. Musiało się to zdarzyć w chwili jej wydechu. Gdy pantofel spadał na

podłogę, jej już nie było widać.

Carol przymrużyła oczy.

— Takie morderstwo jest stokroć okropniejsze niż za pomocą noża czy rewolweru, bo straszliwie podstępne.

— Tak, ale też i trudniejsze do udowodnienia przed sądem. Nawet jej nie dotknął. Zabił ją z odległości paru kroków. Dowodu dostarczył mi sam chodnik.

Zauważyłem to, jak tylko wszedłem do mieszkania. Przy drzwiach był sfałdowany, a tam, gdzie stała ona, gładki, może trochę odsunięty. Gdyby się sama pośliznęła albo potknęła, fałdy byłyby z tamtego końca, od jej strony. Przy stopniu natomiast chodnik leżałby prosto, nie tknięty, wykluczone przecież, żeby się pofałdował aż tak daleko.

Został też papieros, jeszcze się tłący, jakoby przez nią zapalony. Miało to stworzyć pozory, że wyleciała tuż przed naszym przybyciem, podczas gdy on telefonował do mnie piętnaście minut wcześniej. A gdybym nie zwrócił na to uwagi, to i tak miał alibi, bo przynajmniej od ośmiu, a nawet dziesięciu minut był ze mną, to jest od chwili naszego spotkania przy straży pożarnej.

Nie nabrałem się na to, ale pełne trzy dni zajęło mi rozwikłanie mechanizmu tego oszustwa. Stojąca popielnica miała w środku otwór, którym popiół miał spadać w dół, przez wysoką nóżkę aż do podstawki. Wprawdzie była tam ruchoma klapka, ale wtłoczył ją tak, że nie zasłaniała otworu. Wziął po prostu trzy papierosy, w dwóch odsypał trochę tytoniu na końcach i wetknął jeden w drugi, tak że utworzyły papieros potrójnej długości. Ostatni papieros nasadził tak, aby na samym końcu pozostała nazwa, na wypadek, gdyby niedopałek poddano oględzinom. Następnie zapalił to i umieścił całość na popielniczce w pozycji pochylonej, tak że żarzący się koniec wetknięty był niemal w otwór. W takiej pozycji papieros raczej nie gaśnie, nawet jeśli się go nie pociąga. Żar powoli, ale nieustannie posuwał się coraz dalej, z jednego papierosa na drugi. Dwa pierwsze spadły jako popiół na dno popielniczki i nie zostawiły po sobie śladu. Trzeci, który dobrze opierał się na pochyłym obwodzie, leżał tam do samego końca, tak jak tego chciał Lombard, i kiedy weszliśmy do pokoju, znaleźliśmy tylko niedopałek jednego papierosa.

Jednakże to alibi zaszkodziło mu w inny sposób. Byłoby o wiele lepiej dla niego, gdyby w ogóle dal sobie z tym spokój. Ograniczyło to odległość do miejsca, w które mogła go jakoby posłać — na ten fałszywy

adres. Musiał mieć pewność, że zdoła stamtąd wrócić dość prędko, aby niedopałek jeszcze na coś się przydał. Toteż musiał wybrać jakieś miejsce w pobliżu, i do tego takie, które na pierwszy rzut oka zdradzałyby, że to bluff, a co za tym idzie, że absurdem jest sprawdzać tu cokolwiek. Stąd ta cała bujda ze strażą pożarną. Wystarczyło jedno spojrzenie i znów gnaliśmy z powrotem do pani Douglas. Innymi słowy, skrępowany czasem papierosowego alibi, osłabił prawdopodobieństwo tej historii od drugiej strony. Czemuż wysyłałaby go tak blisko domu, na wyraźnie zmyślony adres? Albo dałaby mu adres prawdziwy, albo odmówiłaby stanowczo, albo, gdyby naprawdę chciała go wykantować z tym czekiem i zyskać na czasie, wymyśliłaby taki adres i takie nazwisko, że musiałby się porządnie naganiać przez resztę nocy i większą część dnia następnego. On jednak wolał zniszczyć wszystko, co rzucałoby choć cień podejrzenia, że to morderstwo, nawet za cenę prawdopodobieństwa całej historii. Nie zapominajmy, że była już sprawa ze ślepcem; myślę, że bał się zanadto przeciagać strunę. Oprócz tego jednego potknięcia reszta była dobrze pomyślana. Tak to urządził, żeby windziarz słyszał słowa skierowane w głąb pustego pokoju, nawet drzwi za sobą zamykał tak, jakby ona je zamykała.

Mogłem go już wtedy przyłapać — ciągnął Burgess — ale to niekoniecznie oznaczałoby, że potrafię mu udowodnić zabicie pańskiej żony. Dalej więc udawałem głupiego. Chodziło o to, żeby jeszcze raz zechciał tę sztuczkę powtórzyć, ale tym razem na kimś, kogo my byśmy mu podsunęli, przez cały czas trzymając rękę na pulsie. Dotąd zawsze sam wybierał sobie ofiarę, a my dowiadywaliśmy się za późno.

— Czy to był pana pomysł, żeby posłużyć się Carol? — spytał Henderson. — Całe szczęście, że nic o tym nie wiedziałem. Gdybym wiedział, to chybabym panu...

— To nie był mój pomysł, ale Carol. Ja urządziłem wszystko tak, że tę rolę miała odegrać obca, specjalnie zaangażowana dziewczyna. Ale Carol wepchnęła się na siłę. Wpadła do nas jak burza w ostatniej chwili, tam, skąd mieliśmy jego sklep cały czas na oku, i oznajmiła stanowczo, że ona tam pójdzie i z nim to załatwi. Że i tak postawi na swoim, czy się na to zgodzę, czy nie. Do licha, przecież nie mogłem trzymać jej siłą, a tym bardziej pozwolić, żeby poszły obie, jedna za drugą; musiałem w końcu się zgodzić. Mieliśmy ze sobą charakteryzatora z teatru, który dobrze ją zrobił, i poszła.



— Pomyśleć tylko — wtrąciła buntowniczo Carol, właściwie pod niczym adresem — że miałabym tam siedzieć z założonymi rękami i pozwolić, aby jakaś durna statystka spaprała nam wszystko przez to, że gra jak noga. Już nie mogliśmy sobie pozwolić na robienie głupstw.

— A tamta nie zjawiała się wcale, co? — zastanawiał się Henderson. — Mam na myśli tę prawdziwą. Zdumiewające! Nie wiem, kto to jest ani gdzie mieszka, pewne jest tylko jedno: że do samego końca bawiła się z nami w chowanego.

— Wcale tego nie chciała, wcale nie bawiła się w chowanego — odparł Burgess. — Ta historia jest jeszcze o wiele bardziej zdumiewająca...

I Henderson, i dziewczyna drgnęli jednocześnie i w czujnym wyczekiwaniu pochyliłi się do przodu.

— Skąd pan wie? Czy to znaczy, że w końcu trafił pan na jej trop? Odkrył pan, kto to taki?

— O tak — odparł Burgess jakby nigdy nic. — I to dawno. Od tygodni, a nawet miesięcy wiem, kto to był...

— Był? — przerwał Henderson. — Nie żyje?

— Nie w takim sensie, jak pan myśli. Ale tak jakby nie żyła, przynajmniej dla nas. W tym sensie, że nam się na nic nie może przydać. Żyje w szpitalu psychiatrycznym — nieuleczalnie chora.

Sięgnął do kieszeni, zaczął przebierać w papierach i kopertach, podczas gdy tamci dwoje siedzieli jak sparaliżowani.

— Sam tam jeździłem, i to nie raz. Rozmawiałem z nią. Niewiele nawet widać po jej zachowaniu. Może jest trochę zamyślona, dziwna. Ale nie pamięta, co było wczoraj, przeszłość jest dla niej zupełnie zamazana, zasnuta mgłą. Nie przydałaby się nam na nic, nie mogłaby zeznawać. Dlatego musiałem zatrzymać to dla siebie i tak właśnie rozegrać tę partię. Pozostawała tylko jedna możliwość: podstawić kogoś na jej miejsce i w ten sposób zmusić go, żeby się przyznał.

— Jak dawno to...?

— Zamknęli ją w trzy tygodnie po tamtym wieczorze. Poprzednio bywała w szpitalu okresowo, ale potem kłamka zapadła na dobre.

— Ale jak pan...?

— Okrężną drogą. Teraz to już nie ma znaczenia. To kapelusz sam się nam napatoczył w jakimś sklepie ze starzyzną. Wie pan, w takim

sklepie, gdzie to sprzedają wszystko jak leci, po kilka centów. Zauważył go jeden z moich ludzi. Potem już tropiliśmy krok po kroku, tak samo jak później Lombard, tylko w odwrotnym kierunku. Jakaś baba wyciągnęła go ze śmietnika i przehandlowała w sklepie ze starzyzną. Schodziliśmy wszystkie domy w sąsiedztwie, bo określiła nam tylko w przybliżeniu, gdzie był ten śmietnik. Zająłoby to parę tygodni. Wreszcie znaleźliśmy dziewczynę, która go wyrzuciła. Jej panią niedawno umieszczono w szpitalu dla psychicznie chorych. Pytałem też męża i członków rodziny. Nikt oprócz samej chorej nie wiedział nic o tym wieczorze z panem. Ale to, co mi o niej powiedzieli, w zupełności wystarczyło: od razu wiedziałem, że to ona. Podobno już od jakiegoś czasu zachowywała się tak nieobliczalnie, całe noce spędzała poza domem, sypiała w hotelach. Pewnego razu znaleźli ją o świcie w parku na ławce. To też od nich dostałem...

Podał Hendersonowi zdjęcie. Zdjęcie kobiety.

Henderson patrzył długo i uważnie. W końcu kiwnął głową, jakby przytakując swoim myślom.

— Tak — powiedział cicho — tak, to chyba ona. Nagle Carol wyrwała mu zdjęcie.

— Nie patrz już na nią. Dostyc z jej powodu przeszedłeś. Daj spokój, przestań o niej myśleć. Niech pan schowa to zdjęcie.

— Przydało nam się — mówił dalej Burgess, chowając je — tego wieczoru, kiedy szykowaliśmy Carol do odegrania tej roli. Charakteryzator mógł łatwiej odtworzyć podobieństwo. Wystarczające w każdym razie, by nabrać Lombarda. Widział ją przecież tylko owej nocy, z odległości, i to w niepewnym świetle.

— Jak się nazywa? — spytał Henderson.

Carol przerwała mu gwałtownym ruchem dłoni. — Nie, niech pan nie mówi. Nie chcę jej wśród nas. Zaczniemy od nowa — bez widm.

— Carol ma rację — odezwał się Burgess. — Trzeba z tym skończyć, pogrzebać to na zawsze.

Wszyscy troje zamilkli, myśląc o niej, świadomi, że jednak wspomnienie pani widma będzie do nich powracać. Coś takiego zostaje w człowieku na całe życie. Stali potem już w drzwiach, trzymając się pod rękę, gdy Henderson odwrócił się jeszcze do Burgessa ze zmarszczonym czołem.

- Przecież w tym wszystkim powinna być jakaś nauczka, jakiś *sens*. Niech mi pan nie mówi, że i ona, i ja przeszliśmy przez takie piekło na próżno. Musi w tym być morał.

Burgess klepnął go życzliwie po ramieniu, żeby się ich wreszcie pozbyć

- Jeżeli już koniecznie musi pan mieć morał, to powiem panu: Niech pan nie zaprasza obcych kobiet do teatru, chyba że ma pan bardzo dobrą pamięć do twarzy.